KAROL NAWROCKI CZŁOWIEKIEM WOLNOŚCI TYGODNIKA „SIECI"

SIECI

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE

45 (675) 2025
3–9 listopada 2025
CENA: 12,90 ZŁ
(w tym 8% VAT)

TYLKO U NAS

UKRAINO, MUSISZ POPROSIĆ!

KAROL NAWROCKI NA NOWO UKŁADA RELACJE WARSZAWY Z KIJOWEM. WIEMY, CO CHCE DLA NAS WYWALCZYĆ PREZYDENT

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694
Numer w sprzedaży do 10 XI 2025 r.

Stawiamy na rozwój telewizji wPolsce 24

Mobilne centrum transmisyjne
to **telewizja bliżej widzów**

Chcemy być wszędzie tam,
gdzie **bije serce Polski!**

WESPRZYJ patriotyczne media

numer konta: **69 1020 4900 0000 8202 3036 2577**

tytuł wpłaty: **DAROWIZNA**

Twoje dane osobowe będą przetwarzane zgodnie z polityką RODO

eprasa.pl 93eeccb096

System Tuska kontra kobiety

„Pani »rzecznik« SG, twarz bestialskich, bandyckich standardów państwa pis". Tak brzmiał wpis Piotra Zelta zamieszczony w mediach społecznościowych przed czterema laty. Aktor dołączył doń zdjęcie rzecznik Straży Granicznej kpt. Anny Michalskiej. Trwał wówczas atak rosyjskiego i białoruskiego reżimu na naszą granicę za pomocą hord nielegalnych migrantów, często regularnych bandytów udających uchodźców.

Zelt *de facto* nazwał panią funkcjonariusz bandytą i bestią. Za to, że wykonywała swoje obowiązki i informowała o koniecznych działaniach swojej formacji broniącej granicy. Aktora nie spotkał zawodowy ostracyzm, nikt się od niego nie odwrócił, nie podziękowano za jego usługi w żadnym z licznych projektów, dzięki którym żyje jak pączek w maśle. Niewiele należy od niego wymagać. To tylko przeciętny odtwórca, który zresztą budował kiedyś swój wizerunek na współczuciu, uzewnętrzniając się na temat swojej depresji. Gdy już się otrząsnął, sam zaczął działać tak, by na traumy narażać innych, a jego ofiarą padła kpt. Michalska.

Ona pracę straciła. Od stycznia br. nie jest już rzecznikiem prasowym SG. Można się było łudzić, że to tylko rutynowa wymiana rzecznika po zmianie komendanta głównego. Ale dziś widać, że to było coś więcej – etap w niszczeniu jej.

Oto bowiem, jak się dowiedziała telewizja wPolsce24, prokurator generalny Waldemar Żurek nakazał śledczym wycofać wniosek apelacyjny złożony w sądzie po wyroku I instancji uniewinniającym aktora. W tym tygodniu ma się odbyć ostatnia rozprawa, na której miał zapaść wyrok. W tej sytuacji chyba go nie będzie, skoro strona oskarżająca nagle uznała, że nie będzie już walczyć w tej sprawie.

Tak właśnie obecnie rządząca ekipa staje „murem za polskim mundurem" i za krzywdzonymi kobietami.

To grzmiący symbol dwulicowości dzisiejszej władzy, która chce zamknąć w czeluściach niepamięci kpt. Michalską.

„Piekło kobiet" – krzyczano niedawno na ulicach. Gdzie te kobiety, tak dbające o swoje towarzyszki z chromosomami XX? Gdzie premier, który szedł do wyborów z tezą, że „mamy u władzy partię mężczyzn, którzy nienawidzą kobiet"? Gdzie pani była minister Kotula? Gdzie bohaterscy mężczyźni Lewicy, którzy w przerwach między biciem kobiet a mobbingowaniem ich recytowali formułki o ich prawach?

Ale trzeba też zapytać: gdzie są dziś przełożeni pani Michalskiej? Generałowie, inni dowódcy, których mundur powinien do czegoś obligować? W sprawie pani kapitan zachowują się jak po Smoleńsku, gdy w trosce o własne kariery nie mieli odwagi, by bronić swoich kolegów, którzy bronić się już nie mogli.

System Tuska odziera z honoru nawet wojskowych. A dostrzega prawa tylko takich kobiet, które są wpatrzone w wodza jak w obrazek. Jeśli zaś dzieje się krzywda kobiecie, którą system uznaje za politycznego przeciwnika (nawet wtedy, gdy nie ma ona nic wspólnego z polityką), to pozwala się po niej jeździć nawet takim indywiduom jak podrzędny aktorzyna, który swoje frustracje wylewa w mediach społecznościowych.

Oni nie mają nic wspólnego z troską o kobiety. Apelację od haniebnego wyroku każe wycofać minister, który pozwał własne córki o zwrot alimentów. A robi to na chwałę swojego pryncypała, o którym własna żona pisała, że to „gnojek", który „spieprzył jej całe życie". Nigdy dość przypominania, jaka jest prawdziwa twarz Donalda Tuska. Nikt nie opowie tego lepiej niż jego małżonka. Oddajmy więc jej głos: „Kiedy robię obiad, muszę bardzo uważać. Kiedyś przygotowałam jajka w sosie musztardowym. Przepis dostałam od teściowej. Kładę więc na talerzu te jajka i chcę polewać sosem, a tu, niestety, leci jakaś papka. Mąż spojrzał wściekły, chwycił jajka i rzucił nimi o ścianę. Bywa też »mendowaty«. Wtedy chodzi i »mendzi«: »Masło znowu niewyjęte z lodówki!«, »Skąd tu te rysunki?« albo taki zniechęcony patrzy na mnie i mówi: »Ale ty masz grube nogi«".

Nie oczekujmy więc od Tuska i jego podwładnych, że będzie brał w obronę krzywdzone kobiety. On tego we krwi nie miał i nie ma. Ale miejmy tego świadomość.

Marek Pyza

Autopromocja

eprasa.pl 93eeccb096

SIECI

spis treści

28 Gorycz i żal marszałka
Jan Rokita

39 Eurostręczyciele
Łukasz Wróblewski

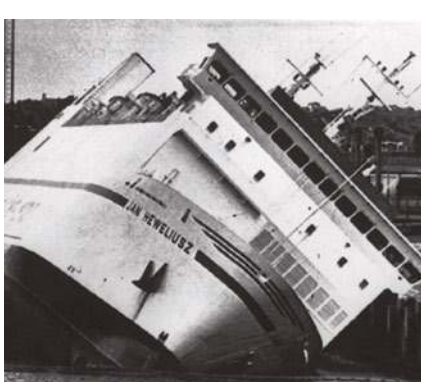

54 Tajemnica promu Jan Heweliusz
Stanisław Płużański

NA POCZĄTEK

5 UCIECZKA OD PRZEZNACZENIA
Bronisław Wildstein

6 POLSKA JEST SKAZANA NA WIELKOŚĆ
Prezydent Karol Nawrocki Człowiekiem Wolności tygodnika „Sieci”

9 NOWE STARE
Dorota Łosiewicz

10 SYGNALISTA NADAJE
Nieoficjalny przegląd tygodnia

12 UNIJNA FARSA ENERGETYCZNA
Daniel Obajtek

13 ATAK NA CHRZEŚCIJAŃSKIE FUNDAMENTY PAŃSTWA
Marta Kaczyńska-Zielińska

14 ŚWIATOWE ŻYCIE
redaguje Konrad Kołodziejski

16 SPRAWA ANNY
Samuel Pereira

17 ŚWIAT SIĘ ZMIENIA…
Jan Pietrzak

17 SĄDECKI UKŁAD W RATUSZU ZACZYNA PĘKAĆ
Arkadiusz Mularczyk

18 WALIZKA DR. RAFAŁA LEŚKIEWICZA
Michał Korsun

20 MEANDRY DIETY
Ryszard Makowski

TEMAT TYGODNIA

21 RESTART
Piotr Gursztyn

KRAJ

25 DWIE POLSKI, DWA ŚWIATY
Stanisław Janecki

28 GORYCZ I ŻAL MARSZAŁKA
Jan Rokita

31 KSIĄŻĘ I ŻEBRAK
Konrad Kołodziejski

34 CYFROWE UZALEŻNIENIE NISZCZY MŁODE POKOLENIE
Dorota Łosiewicz

36 DR KONTEK W MATNI TEORII SPISKOWYCH
Maciej Walaszczyk

39 EUROSTRĘCZYCIELE
Łukasz Wróblewski

OPINIE

42 TRZEBA MĄDRZE MÓWIĆ O SAMOBÓJSTWIE
Z ks. Tomaszem Trzaską rozmawia Goran Andrijanić

ŚWIAT

45 WIELKI POJEDYNEK: ORBÁN KONTRA MAGYAR
Grzegorz Górny

48 CZARNY SCENARIUSZ PUTINA
Marek Budzisz

51 UPADŁA V REPUBLIKA
Dariusz Matuszak

HISTORIA

54 TAJEMNICA PROMU JAN HEWELIUSZ
Stanisław Płużański

SIECI KULTURY

57 FENOMEN TILDY
Jolanta Gajda-Zadworna

60 HITY I KITY
Piotr Zaremba

62 SIGMA, CZYLI JÓZEF
Robert Tekieli

GOSPODARKA

64 POLSKA ENERGETYKA JĄDROWA – ROZWÓJ CZY WALKA O PRZETRWANIE?
Z Grzegorzem Czelejem i Andrzejem Piotrowskim rozmawia Maciej Wośko

PODRÓŻE

68 MOJE SZLAKI: MARCIN PIOTROWSKI
Jolanta Gajda-Zadworna

KUCHNIA

69 SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

70 PAMIĘCI FELIKSA KONECZNEGO
Wojciech Reszczyński

71 OGNIEM NA WPROST
Andrzej Rafał Potocki

72 NIENAWIŚĆ NASZA POWSZEDNIA
Aleksander Nalaskowski

73 PKOL POD POLITYCZNĄ NAWAŁNICĄ
Ryszard Czarnecki

74 CHOPIN JAK DANTE: PRZEWODNIK PO BÓLU ISTNIENIA
Katarzyna Zybertowicz

eprasa.pl 93eeccb096

BRONISŁAW WILDSTEIN

Ucieczka od przeznaczenia

Najnowsza pozycja Ryszarda Legutki „Rekapitulacja" to książka ważna. Można tego oczekiwać po duchowej autobiografii jednego z najwybitniejszych myślicieli współczesnej Polski, który pierwszy potrafił stawić czoła intelektualnym wyzwaniom naszych czasów.

Jego dzieło kończy się ewangeliczną przypowieścią o „podzielonym królestwie", które nie może przetrwać. Stajemy zatem w samym środku obecnej, gorącej realności politycznej. Ale przecież stan wojny wewnętrznej – zwykle zimnej, choć niekiedy z elementami fizycznego konfliktu – towarzyszy naszej historii już bardzo długo. Jego podstawowym elementem jest stała obecność sporej i wpływowej grupy, która odżegnuje się od polskiej tożsamości i dąży do jej unicestwienia.

Sienkiewicz w „Potopie" pokazuje grunt, na którym wyrastać mogą takie postawy i ich reprezentanta, Bogusława Radziwiłła, któremu od mowy polskiej „wargi pierzchną". To nastawienie trwałe, które dziś niewiele różni się od tamtego. To kompleks niższości, eksponowany jako wyraz wyższej świadomości przez elity, które i dziś potrafią z dumą deklarować, że za granicą nawet we własnym gronie nie mówią po polsku, ponieważ wstydzą się przynależności do tego narodu. Jak zwykle więc, w przypadku takiego kompleksu, to mieszanka postawy niższości i wyższości: tej pierwszej wobec obcych, drugiej wobec swoich.

Targowica, która walnie przyczyniła się do utraty polskiej niepodległości, odwoływała się do „świętej wolności szlacheckiej" i z pewnością wielu jej uczestników było autentycznie motywowanych tym hasłem. Założyciele konfederacji szukali jednak protekcji u zagranicznych potęg i fascynowała ich wielka, monolityczna Rosja w przeciwieństwie do skłóconej Rzeczypospolitej, w której głos byle szaraka znaczyć miał tyle, co wielkiego pana.

Współcześnie polska ojkofobia przybrała ideologiczny kształt, jest wariantem doktryny emancypacji człowieka od jego tradycyjnych form bytowania, m.in. przezwyciężenia narodowej tożsamości. Polskie wcielenie tej postawy jest jednak szczególne. Europejczycy kwestionują swoją cywilizację, i to w jej konkretnych narodowych przejawach, ale Francuz, Niemiec czy Anglik nie będzie pragnął naśladować innych, co w establishmencie naszego kraju jest normą. Takie jest również nasze dziedzictwo. To przejaw ucieczki przed własnym – zgódźmy się – niełatwym losem.

W ciągu historii często byliśmy konfrontowani z niebezpieczeństwami, które groziły naszej narodowej egzystencji. Od 500 lat Polska znajduje się pod stałą presją dwóch niechętnych, a potężnych sąsiadów, którzy jej istnienie słusznie uznają za przeszkodę w ich imperialnej ekspansji i dążą do naszego unicestwienia.

To Niemcy i Rosjanie. Ci drudzy swoje ambicje już od XV w. lokują w moskiewskiej despocji. Nawet bolszewicka rewolucja przeprowadzona przez autentycznych rusofobów skończyła się przekształceniem komunistycznego państwa w kolejne wcielenie moskiewskiego imperium.

Niemcy funkcjonowali w różnych formach państwowych, ale Drang nach Osten był ich cechą dystynktywną. Charakteryzowała ona zarówno średniowieczną Rzeszę, jak i jej poszczególne państwa czy niemieckie zakony rycerskie. Już na początku XVI w. Habsburgowie sprzymierzali się z Moskwą przeciw Polsce, chociaż pierwotnie ich ambicje kierowały się głównie na południe, gdzie zwycięsko rywalizowali z Jagiellonami o czesko-węgierski tron.

Rozbiory przekreśliły istnienie polskiego państwa i postawiły pod znakiem zapytania egzystencję narodu. Jego przetrwanie wiązało się z wielkimi ofiarami i wyrzeczeniami, a zagrożenia nie skończyły się do dziś, choć przybrały inne formy. Nic dziwnego, że pojawia się wśród Polaków pragnienie ucieczki od dramatyzmu ich narodowego bytowania, chęć rezygnacji z polskości.

To nasz narodowy resentyment. Niezdolność do sprostania losowi, który został nam zadany, przybiera zwykle kostium postępowego pragmatyzmu. Jeśli polskość to nienormalność, odrzućmy ją i stańmy się „Europejczykami", takimi prawie Niemcami czy Francuzami. Ideologia emancypacji podsuwa piękne etykiety dla tchórzostwa i małości. Nazywają się one osobniczą autonomią, samorealizacją i przede wszystkim wolnością. Gwiazdy opinii publicznej ogłaszają przy aplauzie widowni, że nie oddadzą Polsce ani kropelki krwi, a w wypadku zagrożenia uciekną jak najdalej.

Resentyment ten stał się oficjalną ideologią III RP i wyznawany jest przez jej establishment. Mamy odrzucać brzemię polskości, transformować się, modernizować i europeizować. Podstawowy konflikt polityczny w naszym kraju możemy postrzegać na osi obrony polskiej podmiotowości i rezygnacji z niej. Rządzący dziś są reprezentantami tej drugiej postawy. Gdy okazało się, że większość Polaków nie chce wyrzec się swojej tożsamości, również oni zaczęli używać narodowej retoryki, ale praktyka pokazuje, że to jedynie sztafaż. W tym starciu trudno o kompromis.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 93eeccb096

Polska jest skazana na wielkość

„Dzisiaj ja jako prezydent chcę powiedzieć Polakom: my wszyscy od wieków – i mam wielką nadzieję, że także na wieki – jesteśmy wezwani do wolności. To także udowodniliśmy 1 czerwca 2025 r. Ta wolność nasza, polska, wypływająca z wartości chrześcijańskich, jest czymś, co jest naszym wielkim narodowym kapitałem" – powiedział prezydent Karol Nawrocki, odbierając statuetkę Człowieka Wolności tygodnika „Sieci"

Redakcja tygodnika „Sieci" już po raz 12. przyznała tytuł Człowieka Wolności. Nagrodę co roku otrzymują ludzie, dla których wolność jest wartością najważniejszą, a jej obrona i szerzenie – codzienną powinnością. Uroczysta gala, będąca finałowym akordem plebiscytu, odbyła się w minioną środę w Warszawie.

Z MIŁOŚCI DO POLSKI

Laudację na cześć laureata nagrody wygłosił Jacek Karnowski, redaktor naczelny tygodnika „Sieci" i telewizji wPolsce24. Dziennikarz wskazał na rangę zwycięstwa Karola Nawrockiego w wyborach prezydenckich. „Przypomina nieco wielkie średniowieczne bitwy: bywało, że po klęsce znikały całe państwa, całe narody. My tego losu uniknęliśmy. A mieliśmy już miecz na gardle. Oczywiście to nie koniec tego boju, on w pewnym sensie nie skończy się nigdy, ale mamy dziś szansę na pełne zwycięstwo, na trwanie polskiej niepodległości i polskiej wolności. Bez 1 czerwca tej szansy by nie było" – stwierdził.

eprasa.pl/3eeccb096

Jacek Karnowski zwracał uwagę na wiele cech laureata, które pozwoliły mu wygrać wybory. „Postawmy też pytanie: skąd tyle siły w tym człowieku, który po ciężkiej, wielomiesięcznej kampanii, już po zwycięstwie, zdecydował się na parę dni odpoczynku tylko i wyłącznie pod wpływem presji rodziny i lekarzy? Odpowiedź jest prosta: Karol Nawrocki jest człowiekiem, którego siła wyrasta z miłości: do Polski, do polskiej historii, do własnego narodu, do własnej wspólnoty, do sportu. To tworzy potężną energię, która dziś wzmacnia, ocala naszą wspólnotę. A wiemy przecież, że jeśli ta wspólnota upadnie, skończy się również nasza wolność. Bo przypadek Polski jest szczególny: Polska, niepodległa Polska, będzie istniała tylko wówczas, gdy Polacy będą bardzo chcieli, by istniała. Bez tego presje zewnętrzne, ta międzynarodowa fizyka, zmiażdżą nasze państwo w ciągu najdalej pokolenia" – podkreślił redaktor naczelny tygodnika „Sieci".

„Wspomniałem już o historii, tu rozumianej jako dyscyplina naukowa. Nie będę opisywał całej drogi Karola Nawrockiego jako historyka. Lista funkcji, które pełnił, lista pomników, które wzniósł, i tych które zburzył – jest naprawdę bardzo długa. Ale nie mogę nie wspomnieć o heroicznym boju o włączeniu do ekspozycji stałej Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku bohaterów narodowych: o. Maksymiliana Kolbego, rtm.Witolda Pileckiego i rodziny Ulmów. To było jedno z tych starć, które decydują o tym, czy o nich zapomnimy, czy zachowamy w pamięci i uczcimy w sposób godny. To był moment, w którym decydowało się, czy spadnie na nas hańba zgody i milczenia, czy jednak obronimy ich godność, a tym samym naszą własną godność. Udało się. Pomimo przejęcia Muzeum II Wojny Światowej przez nowe władze, o. Kolbe, rtm. Pilecki i rodzina Ulmów pozostali. Męczennicy walki o wolność, męczennicy wyrastającej z chrześcijaństwa miłości bliźniego są na wystawie głównej. I wszyscy wiedzą, że w Polsce pamięci bohaterów się broni. Panie prezydencie, bardzo za ten wysiłek dziękujemy!" – mówił Jacek Karnowski.

Dziennikarz przypomniał też wystąpienie Karola Nawrockiego kilka dni przed II turą wyborów prezydenckich. „W czasie tego przemówienia, 25 maja na placu Zamkowym, gdy emocje sięgały zenitu, gdy los naszej niepodległości wisiał na włosku, także przywołał pan Pismo Święte, znany Psalm, w zmienionej formie: »Choćbym szedł ciemną doliną, zła się nie ulęknę, bo Wy jesteście ze mną!«. Ja powiem tak: to trzeba również odwrócić, bo to było sprzężenie zwrotne. Pan, panie prezydencie, nie bał się, ponieważ Polacy byli z panem. Ale Polacy przestali się bać, nie dali się ani zastraszyć, ani ogłupić, ani oszukać, bo pan szedł na czele, bardzo odważnie, bardzo dzielnie, i także bardzo mądrze, roztropnie. I dziś wiemy to wszyscy: tylko pan mógł poprowadzić polski obóz patriotyczny do tego nieprawdopodobnego sukcesu. Do zwycięstwa, które ocaliło polską wolność" – mówił szef tygodnika „Sieci".

> „Mamy w naszej przyszłości do wygrania wolność naszej ukochanej, suwerennej Rzeczypospolitej w ramach UE, musimy tam się bić o naszą wolność i niepodległość, bo nikt z nas nie zapisywał się do parapaństwa, któremu na imię Unia Europejska" – oświadczył prezydent

Nagrodę prezydentowi wręczyli Romuald Orzeł, prezes zarządu Grupy Medialnej Fratria, a także Jacek Karnowski. Następnie głos zabrał laureat.

NIE ZAPISYWALIŚMY SIĘ DO PARAPAŃSTWA

Karol Nawrocki nie ukrywał, że poruszyła go laudacja na jego cześć. „W czasie całej kampanii wyborczej żartowaliśmy, że jestem człowiekiem pozbawionym układu nerwowego, że nic nie jest w stanie mnie złamać, natomiast po tej laudacji Jacka Karnowskiego po raz pierwszy od dłuższego czasu poczułem się dotknięty i wzruszony" – przyznał prezydent. I zadedykował swoją nagrodę wszystkim tym, którzy wspierali go podczas kampanii prezydenckiej. „Dedykuję tę nagrodę także wszystkim tym, którzy 1 czerwca 2025 r. wybrali właśnie wolność i nie ulegli propagandzie, kłamstwom, stereotypom, które powielano. Dziękuję wam wszystkim za to wielkie wsparcie, dziękuję tygodnikowi »Sieci«, telewizji wPolsce24, kapitule tej nagrody, bo także dzięki wam stoję jako prezydent Polski, Człowiek Wolności, a to dla mnie bardzo ważna nagroda. To dzięki wam to jest możliwe, dziękuję wszystkim ludziom wolności, że mogę przyjąć tę nagrodę" – mówił Karol Nawrocki.

Zdjęcia: Andrzej Wiktor

eprasa.pl 93eeccb096

W tym miejscu przytoczył fragment Pisma Świętego. „Zacytuję List św. Pawła do Galacjan, który napisał: »Przyjaciele, wszyscy jesteście wezwani do życia w wolności«. Dzisiaj ja jako prezydent chcę powiedzieć Polakom: my wszyscy od wieków – i mam wielką nadzieję, że także na wieki – jesteśmy wezwani do wolności. To także udowodniliśmy 1 czerwca 2025 r. Ta wolność nasza, polska, wypływająca z wartości chrześcijańskich, jest czymś, co jest naszym wielkim narodowym kapitałem. Jest wolnością daleką od tej krzykliwej, często aroganckiej wolności do wszystkiego i od wszystkiego. To nie jest polskie, nasza wolność jest konstruktywna, jest zawsze wolnością w odpowiedzialności za narodową wspólnotę, za drugiego człowieka. Musimy z tego jako naród korzystać" – powiedział laureat.

Prezydent podkreślał, że jego zwycięstwo w wyborach prezydenckich to dopiero pierwszy krok ku wolności. „Mamy jeszcze wiele jako wspólnota narodowa do zdobycia w naszej wolności i przyszłości. Tak, mamy do wygrania wolność w sieci, w mediach, abyśmy mogli jasno dzielić się swoimi poglądami [...], mamy w naszej przyszłości do wygrania wolność naszej ukochanej, suwerennej Rzeczypospolitej w ramach Unii Europejskiej, musimy tam się bić o naszą wolność i niepodległość, bo nikt z nas nie zapisywał się do parapaństwa, któremu na imię Unia Europejska. My chcemy, aby Polska była Polską w ramach UE!" – zaznaczyła głowa państwa.

Prezydent wskazał też na istotne znaczenie wielkich inwestycji dla polskiej wolności: „Mamy też do zdobycia naszą wolność w budowie wielkich idei i inwestycji, które musimy zrealizować [...]. 7 sierpnia zgłosiłem projekt CPK. Tak, nasza wolność wymaga też od nas domagania się wielkich idei i inwestycji takich jak CPK, polskie porty, polska żegluga śródlądowa. Zdobywając naszą wolność, nie możemy się oglądać na sąsiadów, którym nasz rozwój może nie do końca odpowiada, ale w ramach mechanizmów gospodarczych i partnerstwa mamy prawo do wygrywania naszej wolności także w naszej gospodarce, bo Polska jest skazana na wielkość, ambicję, na wielkie idee i tej wolności chyba wszyscy chcemy".

Karol Nawrocki, który jest przecież historykiem, przypomniał o ważnej rocznicy przypadającej w dzień wręczenia mu nagrody Człowieka Wolności tygodnika „Sieci". „Dzisiaj jest 29 października. Nie wiem, czy państwo pamiętają, chociaż to było dość dawno temu, ale 29 października 1611 r. car rosyjski Wasyl IV Szujski, pozostający w niewoli polskiego króla Zygmunta III Wazy, oddał hołd ruski polskiemu królowi. Z jednej strony warto o tym pamiętać, że w kolejnych wiekach te balanse siły, zagrożeń i przetasowań na scenie geopolitycznej przez wiele wieków wskazywały, jaką wielką wartością, siłą jest Rzeczpospolita. Ale musimy też z trwogą zastanowić się nad tym, że zaledwie 160 lat po hołdzie ruskim Rzeczpospolita zaczęła znikać z mapy świata i ostatecznie zniknęła na ponad wiek. Dlatego jako prezydent bardzo proszę wszystkich państwa, żebyśmy każdy dzień, każdy tydzień, każdy miesiąc, a ja gwarantuję, że będę ciężko pracował, żebyśmy dbali o naszą wolność, suwerenność, rozwój, ambicje, bo nasza historia, mapy świata na przestrzeni wieków pokazują, że w każdej dekadzie i wieku wiele może się wydarzyć. Niech żyje wolność, niech żyje wolna, niepodległa Rzeczpospolita Polska!" – zakończył swoje wystąpienie prezydent Karol Nawrocki.

Galę prowadzili dziennikarze tygodnika „Sieci" i telewizji wPolsce24 – Dorota Łosiewicz i Marcin Wikło.

Adam Stankiewicz

17/1025/F, 18/1025/F, 19/1025/F, 20/1025/F, KS/0311/25

PARTNER GŁÓWNY:

SALTUS 30 lat UBEZPIECZENIA

PARTNERZY:

lubelskie Smakuj życie!

Urząd Marszałkowski Województwa Lubelskiego w Lublinie

WARSAW PRESIDENTIAL HOTEL
The No. 1 Best Warsaw Hotel

SKOK

STEFCZYK FINANSE

eprasa.pl 93eeccb096

WIEŻA BAB

Nowe stare

Platforma nie tyle przestała istnieć, ile raczej przeszła na dietę cud. Zrzuciła nazwę, ale zachowała nawyki

Platforma Obywatelska przestała istnieć. Niestety nie chodzi o nagłe oświecenie, po którym politycy Donalda Tuska ruszyli w stronę klasztoru kontemplacyjnego, tylko o kongres zjednoczeniowy, na którym PO połączyła się z Nowoczesną Adama Szłapki i Inicjatywą Polska Barbary Nowackiej, czyli z partiami, o istnieniu których mało kto w ogóle pamiętał. Tak narodziła się Koalicja Obywatelska (która przecież już funkcjonowała jako klub parlamentarny) – w teorii silniejsza, a w praktyce to po prostu nowa-stara nazwa tego samego.

Platforma zjadła swoje przystawki. Nowoczesna, jeszcze niedawno świeża i dynamiczna niczym start-up z warszawskiego Mordoru, dziś zgasła jak aplikacja po trzecim crashu. Adam Szłapka może teraz z ulgą odetchnąć: jego partia nie spłaci już dwumilionowego długu, bo formalnie przestała istnieć. W polityce jak w życiu – wystarczy zmienić nazwę i problem znika. Dług? Jaki dług? To było przed rebrandingiem!

Barbara Nowacka także odnalazła się w nowej strukturze – Inicjatywa Polska wchłonięta przez Koalicję Obywatelską brzmi trochę jak matrioszka po przejściach. Na kongresie mówiło się o nowym początku, nowej energii i nowym otwarciu, choć catering był ten sam, co zawsze. I znów można łączyć kropki.

Oficjalnie chodzi o konsolidację tzw. obozu demokratycznego, który z demokracją ma niewiele wspólnego. A może nowa partia to pomysł na uniknięcie konieczności tłumaczenia się z kampanijnych obietnic? „100 konkretów" można teraz spokojnie schować do szuflady z napisem: „Archiwum tożsamości zbiorowej" i świeże, prawie nieużywane, odpalić przed kolejnymi wyborami. Gdy ktoś przypomni o kwocie wolnej od podatku na poziomie 60 tys., zmianach w służbie zdrowia, które miały zajść jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki (a właśnie w ten sposób zniknęła nagle pani Leszczyna) czy większej dostępności mieszkań, nowa formacja z uśmiechem odpowie: „To nie my obiecywaliśmy, to jakaś inna partia, która już nie istnieje".

Rekonstrukcja rządu, która miała być nowym otwarciem, wyszła raczej jak lekkie drgnięcie powieki po trzecim espresso. Zmieniono kilka nazwisk, kilka stanowisk, ale impetu brak. Teraz, gdy główna partia koalicji rządzącej przeszła lifting, pytanie brzmi: ilu jeszcze impulsów potrzeba, by coś się ruszyło?

Bo impulsów było już wiele. Pierwszy – gdy KO objęła władzę i ogłosiła „nowy styl rządzenia". Drugi – gdy pojawiły się problemy z budżetem. Trzeci – gdy wielki rząd miał się zmniejszyć, a zostało po staremu. Czwarty impuls właśnie nastąpił, ale zamiast iskry dostaliśmy raczej statyczny szmer.

Kongres zjednoczeniowy miał być triumfalnym marszem w stronę przyszłości, a wyszło trochę jak zjazd rodzinny, na którym nikt nie pamięta imion kuzynów. Uściski dłoni, wspólne zdjęcia, hasła o „silnej demokracji", a w tle pytanie: kto tu właściwie rządzi? Bo wciąż nie wiemy, czy leci z nami pilot. Wiadomo natomiast, że wróg jest wciąż ten sam, czyli PiS i Jarosław Kaczyński. Gdyby nie istnieli, KO musiałaby ich wymyślić, bo bez nich nikt by nie wiedział, o co rządowi chodzi. A chodzi o to, by odsunąć od władzy PiS, który nie rządzi od dwóch lat.

Platforma więc nie tyle przestała istnieć, ile raczej przeszła na dietę cud. Zrzuciła nazwę, ale zachowała nawyki. Dalej mówi o „przyszłości, odpowiedzialności i wspólnych wartościach", co w tłumaczeniu na język polityczny znaczy: „Nic się nie zmienia, ale brzmi nowocześnie". Zmieniło się też logo. Zniknął kontur Polski i to akurat dobrze – przynajmniej nikt już nie ukrywa, że idzie tu o dobro ojczyzny, a raczej o własne. I pojawiło się serce wydmuszka – puste w środku. Jak cała koalicja rządząca.

Nowa Koalicja Obywatelska ma być symbolem jedności i nowym otwarciem. Ale właśnie: ile trzeba tych „nowych otwarć", ile trzeba tych impulsów, by nie zmienić niczego? Bo wygląda na to, że było trzeba zmienić dużo, żeby tak naprawdę wszystko pozostało bez zmian. Dziś Koalicja Obywatelska tłumaczy: „Musieliśmy się połączyć, by móc udawać, że zaczynamy od zera". Tylko czy wyborcy to kupią?

Dorota Łosiewicz

Sygnalista nadaje

Jest afera z jakimś pastwiskiem niedaleko CPK. Jej bohaterem stał się Telus Robert z PiS i jakiś Romanowski (inny niż ten, którego ścigają Bodnar z Żurkiem), też z PiS. Afera wyglądała na grubą, bo naczelne organy partii kaczystowskiej od razu zawiesiły tych dwóch swoich członków.

Wszyscy podniecają się działką sprzedaną facetom od groszku w puszkach. A to nie jest żaden problem, bo CPK i tak nie powstanie (nie jest potrzebne, bo fajne lotnisko będzie w Berlinie). Najgorsze w tej aferze jest co innego. Ten, który kupił to pastwisko, ma nazwisko Wielgomas. Nic wam ono nie mówi? To czekajcie! To rodzina tej dziwnej laski o pseudonimie Luna, która publicznie śpiewa, mimo że wszyscy ją proszą, aby tego nie robiła. To ta o wyglądzie drag queen z rozmazanym makijażem. W zeszłym roku reprezentowała Ten Kraj na konkursie Eurowizji. To dopiero była prawdziwa afera, straszny dramat i jeszcze większy obciach – wstyd.pl! Panie ***Telus***! Ten Kraj wszystko wybaczy, ale jeśli wyjdzie na jaw, że wspierał pan występy Luny, to marny pana los. O resztę nie mamy pretensji, bo poza tym rodzina Wielgomas postępowała właściwie. Wpłacała pieniądze na Campus i kampanię naszego kandydata na prezydenta. Tego, który wygrał wybory, ale niestety kaczyści je sfałszowali i dzisiaj kto inny zasiada w pałacu.

Rafał Trzaskowski (pamiętacie tego kocura?) nie zamierza wziąć udziału w Marszu Niepodległości. Kiedyś zamierzał: „Chętnie wezmę w nim udział" – opowiadał. Chwilę temu, bo w 2020 r. Ale nie wziął, bo cóż szkodzi obiecać, zwłaszcza że czasy się zmieniają.

Ofensywa zupowa premiera Donalda Franciszka trwa! Ostatnio premier zjadł żurek. Obiecał, że będzie drugie danie i deser. Pewnie będzie, bo wiemy, że premier zawsze dotrzymuje swoich obietnic. Tak jak wtedy, gdy jadł szczawiową od Gosi. Wtedy też obiecał powodzianom, że pomoże im w odbudowie. A skoro obiecał, to znaczy, że pomoże. Czekajcie cierpliwie, kiedyś to się stanie.

Jedyna prawdziwa najprawdziwsza prawica, czyli Konfederacja (bo PiS to socjaliści), już nie bojkotuje Ikei. Kiedyś był jakiś bojkot z tego powodu, że to lewacka firma. Ale okazało się, że patelnie (z pokrywką), ręczniki, a także fartuszki kuchenne w ogóle nie są socjalistyczne. Są za to wolnorynkowe. Ich jedyna wada jest taka, że trzeba za nie płacić. A wiadomo, że nie ma darmowych patelni, ręczników ani fartuszków. Nie każdy to wcześniej wiedział, więc za uświadomienie społeczeństwa w tej materii wziął się poseł Konfederacji ***Konrad Berkowicz*** (nie mylić z Berkiem Joselewiczem). Zgodnie ze swoim powiedzeniem, które w nauce funkcjonuje jako prawo Berkowicza: „Złodzieje byli, są i będą, a okazja ujawnia złodzieja".

No i ujawniła, choć nie wszyscy zrozumieli prawdziwe intencje Konrada i zaczęli go oskarżać o to, że dokonał przekształceń własnościowych. Oczywiście niesprawiedliwie

eprasa.pl 93eeccb096

oskarżać. A co gorsza – krytykować, choć już dawno ustalono, że krytykować innych może tylko Konfederacja. Lecz ludzi dobrej woli jest więcej. Konrada wziął w obronę mecenas Roman Giertych, mówiąc, że każdy może się pomylić przy jakichś drobnych transakcjach. Roman np. troszkę się pomylił przy transakcjach Polnordu. Na jakieś banalne 90 mln i nikt normalny nie ma do niego o to pretensji. Zwłaszcza prokuratura. Prawdziwy prezydent naszych serc Rafał Trzaskowski też stanął murem za Kondziem, mówiąc, iż żaden poseł nie połaszczyłby się na głupie 400 zł. Trochę za to dokopał Konradowi premier Donald Franciszek. To było jednak niepotrzebne, bo przecież Konfa, PO – jedno dobro!

Jeśli zaś chodzi o zawsze nieomylnych polityków Konfederacji, to najbardziej nieomylny z nich, czyli ***Przemek Wipler***, chwali się, że okręcił sobie Karola Nawrockiego wokół palca: „Myślę, że bywamy częściej w pałacu prezydenckim niż za czasów Andrzeja Dudy" – oznajmił narodowi Przemek. To dla nas kłopotliwa sprawa, bo nie wiemy, czy teraz Nawrockiego pochwalić, czy skrytykować. Pochwalić za to, że ma dobre serce i wybaczył Przemkowi raport o jakichś swoich kontaktach z gangsterami, czy może jednak skrytykować za to, że jest zbyt łatwowierny w stosunkach z innymi ludźmi? PS Oczywiście wiemy, że Przemek nie ma nic wspólnego z tym raportem i że kładł rękę na sercu. To, że przechodził obok tragarzy niosących ten raport do Onetu, nie jest przecież żadnym dowodem.

Mecenas Roman to złoty człowiek, ale nawet w koalicji 15 października łamane na 13 grudnia nie każdy go docenia. W tym miejscu potępiamy tow. ***Czarzastego Włodzimierza*** i wzywamy go do samokrytyki. Tow. Czarzasty sprzeniewierzył się zasadom obowiązującym prawdziwych demokratów, niepochlebnie wypowiadając się o kol. Giertychu Romanie. „Nigdy bym do partii nie przyjął Giertycha. Wyobraża pan sobie, żeby Roman Giertych był w partii Lewica?" – nieodpowiedzialnie i bez wyobraźni wypowiedział się tow. Czarzasty. My jednak to sobie wyobrażamy, bo dobrze znamy historię lewicy i prawdziwych demokratów. Pamiętamy ogromne zasługi taty kolegi Romana prof. Giertycha Macieja i jego poparcie dla wprowadzenia stanu wojennego. Szkoda, że tow. Czarzasty o tym zapomniał. My rozumiemy i wiemy, dlaczego kolega Roman jest tak ważną postacią w procesie rozliczania kaczystów. Rady taty Macieja wyniesione z czasu współpracy z gen. Wojciechem są bezcenne: internowanie, pałowanie, nieznani sprawcy. Wszystko, aby ratować demokrację.

Nie wszyscy nadążają za postępem i nie potrafią odróżnić dobra od zła. Taką negatywną postawą wykazują się nauczyciele. Ta roszczeniowa grupa zawodowa ma pretensje do koalicji Uśmiechniętej Polski o tzw. godziny basiowe. Chodzi o jakieś ponadwymiarowe lekcje, za które belferka nie dostaje kasy. Postawa nauczycieli jest oburzająca, gdyż ich praca to misja, a nie zarabianie pieniędzy. Te bowiem zarabia się w branży HoReCa, a nie w szkolnictwie. Poza tym nauczyciele sami domagali się likwidacji płatnych godzin czarnkowych, co zostało spełnione przez obecny rząd. Jeśli zaś chodzi o godziny basiowe, to np. premier Donald Franciszek bardzo je lubi. I nigdy ich nie opuszcza.

Ludzie się czepiają, że dzieci nieboszczki Nowoczesnej nie chcą spłacić jej długów. No i co z tego? „Wierzyciele po prostu zapiszą to po stronie strat. To ryzyko kredytowania partii politycznych" – mądrze powiedział Witold „Pancake" Zembaczyński, osoba poselska i jednocześnie wybitny intelektualista. Ma rację. Bo 2 mln zł to żaden pieniądz. Przynajmniej w świecie demokratów walczących. Raptem połowa tego, co znaleziono w szafce kuchennej u jakiegoś człowieka, który oczywiście nie miał żadnych kontaktów ze Sławomirem Nowakiem. Ponadto sprawa należności po Nowoczesnej nie trafiła na biednych, bo ci wierzyciele to bank PKO BP i telewizja Polsat. Widziały gały, komu dawały!

Na koniec bardzo dobra wiadomość: osoba ministerska do spraw kultury ***Cienkowska Marta*** dała już spokój Chopinowi i zajęła się mediami publicznymi. A jeszcze lepsze jest to, że ich likwidacja będzie trwała i nigdy nie zostanie zakończona. Na tym polega prawdziwa wielkość premiera Tuska – że on i jego ekipa nadają nowe znaczenia starym słowom. Likwidacja nieustająca, praworządność, jak ją rozumiemy, demokracja walcząca. No i 100 konkretów, które nigdy nie będą konkretne. A jeśli chodzi o osobę ministerską Cienkowską Martę, to martwi nas sprawa jej fryzury. Nie bardzo wiadomo, dlaczego przypomina kask do jazdy na rowerze. Przecież ministra jeździ służbowym samochodem, więc nie musi tak mocno lakierować tej swojej plerezy. Sprawa jest tym bardziej dziwna, że Marta ma mamę fryzjerkę w Ciechanowie. A przecież nawet tam strzygą lepiej niż ten fryzjer, do którego chodzi Marta.

Fot. Ludmyla Skwarczynska (2x), Andrzej Wiktor, Julita Szewczyk (2x)

eprasa.pl 93eeccb096

Unijna farsa energetyczna

Lubię zapach hipokryzji o poranku. Szczególnie gdy unosi się nad brukselskimi korytarzami, gdzie eurokraci z minami strażników moralności potępiają te kraje, które nie mają luksusu portów morskich, za ich rzekome przywiązanie do rosyjskich surowców, podczas gdy sami dyskretnie pompują kremlowskie fundusze

Wrześniowe dane CREA ujawniają, że Unia pochłonęła połowę rosyjskiego eksportu LNG i 35 proc. gazu rurociągowego – Belgia i Francja wydały na to 1,4 mld euro w pierwszych dziewięciu miesiącach 2025 r., sumę przewyższającą niektóre transze pomocy dla Kijowa. Jakże wzruszająca solidarność!

Niemcy zaś, ci architekci europejskiej cnoty energetycznej, mistrzowsko opanowali sztukę przemalowywania rzeczywistości. Rafineria Schwedt (przypominam – rosyjska, chwilowo pod berlińską kontrolą) nadal czerpie ropę z Rosji – via kazachskie faktury – „oczyszczoną" z pochodzenia, a Berlin dyskretnie apeluje do Waszyngtonu o wyłączenia sankcyjne dla niemieckiej odnogi Rosneftu, by uniknąć energetycznego zawału. Scholz peroruje o niezależności, lecz w pierwszej połowie roku import LNG z Rosji wzrósł o 67 proc. Przed przegłosowanym w 19. pakiecie sankcji zakazem importu tego surowca od 2027 r. trwa gorączkowe gromadzenie zapasów – niczym przygotowania do hibernacji.

Brukselska machina? Pełna wdzięku kakofonia. Komisja marzy o monolitycznej jedności, lecz niektóre państwa cichcem walczą o schowane głęboko wyjątki. Von der Leyen snuje wizje absolutnych zakazów, a tymczasem 20 października ministrowie energii z trudem skleili stanowisko – przy cichym sprzeciwie i Belgii, i Francji. RePowerEU jawi się jako farsa – rosyjski gaz nadal stanowi sporą część unijnego importu. Jakże zabawne, że biurokracja, niezdolna do uzgodnienia menu na lunch, dyktuje lekcje etyki energetycznej.

Wewnątrz EPP, tego domniemanego monolitycznego bastionu chrześcijańskiego konserwatyzmu, bulgoczą zakulisowe spory – niemieccy delegaci z CDU/CSU dyskretnie sabotują ostrzejsze sankcje, by chronić swoje rafinerie wiszące na rosyjskiej kroplówce. Notatki potwierdzają, jak podczas debat blokowali radykalne kroki, zasłaniając się „ochroną zatrudnienia". Kraje bałtyckie szepcą zatem o zdradzie jedności, podczas gdy Berlin udaje, że to tylko pragmatyzm.

Nie zapominajmy o zielonej Hiszpanii, tej ikonie ekologicznego blasku, która chełpi się 50 proc. energii z odnawialnych źródeł, publicznie popycha Fit for 55, lecz po cichu zwiększa import LNG z Rosji o 20 proc. w pierwszych dziewięciu miesiącach 2025 r., stając się drugim największym nabywcą tego surowca w UE – po Francji. Sánchez peroruje o „zielonej transformacji", blokując ulgi dla innych, podczas gdy w portach w Bilbao i Barcelonie przeładowuje się rosyjskie ładunki. W EPP, gdzie Hiszpanie z PP siedzą obok Niemców, to szczyt ironii – fasadowa zieleń podszyta rublowymi interesami – wsparciem dla niestabilnych hiszpańskich OZE.

Drodzy czytelnicy, gdy Zachód poucza o cnocie, pamiętajcie – to nie etyka, lecz spektakl. To twarde interesy i walka o energetyczną dominację. Zachodnia Europa krytykuje Polskę za emisyjny, ale własny węgiel, sama zaś bazuje na ruskim, tylko trochę mniej emisyjnym gazie. Kreml rechocze, a rachunki rosną. Hipokryzja? W Brukseli hipokryzja roznosi się gęściej niż dym z rafinerii Schwedt.

Daniel Obajtek

Fot. Archiwum autora

eprasa.pl 93eeccb096

Atak na chrześcijańskie fundamenty państwa

Marta Kaczyńska-Zielińska

Według raportu Obserwatorium Nietolerancji i Dyskryminacji Chrześcijan w Europie w 2023 r. odnotowano 2444 przestępstwa z nienawiści wobec chrześcijan, w tym prawie 1000 we Francji. 62 proc. z nich stanowiły akty wandalizmu, 10 proc. – podpalenia, a 7 proc. – akty przemocy fizycznej. Ten trend pogorszył się w 2024 r. szczególnie we Francji, gdzie liczba podpaleń kościołów wzrosła o ponad 30 proc. Jak podaje rzymskokatolicki portal informacyjny Zenit, w ciągu pierwszych pięciu miesięcy 2025 r. odnotowano 322 antychrześcijańskie akty, co stanowi wzrost o 13 proc. w porównaniu z analogicznym okresem w ub.r. Ataki na kościoły, miejsca kultu religijnego, duchownych i chrześcijan mają miejsce w wielu miejscach na świecie, także w Polsce. W szkołach zmniejszana jest liczba godzin katechezy, a wymiar sprawiedliwości zdaje się faworyzować osoby, które kilka lat temu dopuszczały się haniebnych ataków na nasze świątynie.

Historia ludzkości wskazuje jednoznacznie, że cywilizacje przedchrześcijańskie charakteryzowały się przemocą i barkiem poszanowania godności ludzkiej. W starożytnej Mezopotamii z dumą prezentowano okrutne kary, jakie wymierzano opozycji. Król Aszurnasirpal II palił ofiary żywcem, nabijał na zaostrzone pale i dekorował pałac odciętymi głowami. W Rzymie dzieciobójstwo było powszechne. Juliusz Cezar napisał, że Galowie dzielą się na szlachtę i podwładnych, przy czym ci ostatni są tak nisko postawieni, iż niewiele różnią się od niewolników oraz że niewolnicy byli składani w ofierze na stosach pogrzebowych swoich panów. Juliusz Cezar zaobserwował schemat postępowania, który widzimy w teorii Hobbesa. Aby utrzymać swój autorytet, przywódcy Galii polegali na skuteczności w zniewalaniu poddanych. Jeśli im się to nie udało, lud szukał silniejszych i oddawał się w niewolę nowym panom. Im silniejsze jest odrzucenie praw naturalnych, im gorszy ucisk, tym większe prawdopodobieństwo, że władzę obejmie silniejszy i jeszcze bardziej okrutny władca. Kiedy godność człowieka ginie od ciosów wymierzonych w życie, wolność i własność, przemoc okazuje się decydująca jako podstawa rządów.

Religia chrześcijańska była jedynym czynnikiem, który zmienił stan ludzkości. Chrześcijaństwo wprowadziło koncepcję, że każdy człowiek jest stworzony na obraz Boga. To przekonanie położyło podwaliny pod powszechne prawa człowieka. Frankowie wysłali misjonarzy do Anglosasów, gdzie „[jedno] stulecie" – jak pisał brytyjski historyk Samuel Astley Dunham – „wyniosło ich z barbarzyństwa do cywilizacji; przemieniło ich z krwiożerczych dzikusów w łagodnych, humanitarnych i serdecznych ludzi". Chrześcijaństwo, jak powiedział wiele lat temu śp. prezydent Lech Kaczyński, stworzyło cywilizację najbardziej przyjazną człowiekowi. Jego zmieniający warunki społeczne wpływ stale się pogłębiał, aż jego centralna nauka moralna o człowieku zdefiniowała misję państwa. Zasady prawa naturalnego zostały przyjęte w konstytucjach. Kościół od swych początków sprawował pomocniczy rząd, angażując się w działalność charytatywną obejmującą systemy opieki społecznej, szpitale i edukację. Współczesny wzór publicznej opieki zdrowotnej ma swoje korzenie w chrześcijańskiej miłości bliźniego. Wiele uniwersytetów, takich jak Oxford, Cambridge, Harvard i Yale, powstało jako instytucje chrześcijańskie. Kepler, Newton, Pascal, Boyle i inni nie widzieli konfliktu między wiarą a nauką. Chrześcijaństwo stworzyło metafizyczny fundament nauki: wiarę w świat rządzony prawami możliwymi do odkrycia za pomocą rozumu. Chrześcijanie stali również na czele walki o prawa pracownicze, opiekę nad dziećmi i edukację kobiet, nieustannie odwołując się do Pisma Świętego. Od „Piety" Michała Anioła poprzez zachwycającą architekturę po Mszę h-moll Bacha piękno historii chrześcijańskiej inspiruje najwspanialsze osiągnięcia ludzkiej twórczości. Choć krytycy często powołują się na momenty niepowodzeń w historii Kościoła, to nie ulega wątpliwości, że chrześcijaństwo radykalnie zmieniło świat na lepsze i trzeba go bronić.

REKLAMA

24/1025/F

eprasa.pl 93eeccb096

Chiński szantaż

Niemcy przekazują Chinom poufne dane na temat swojej gospodarki, byleby tylko zachować dostęp do metali ziem rzadkich – alarmuje agencja Bloomberg. To skutek nadmiernego uzależnienia od chińskich surowców, bez których niemiecki przemysł nie może już funkcjonować.

Do rodziny metali rzadkich należy 17 pierwiastków o niekiedy bardzo dziwnie brzmiących nazwach: skand, itr, lantan, cer, prazeodym, neodym, samar, europ, gadolin, terb, dysproz, holm, erb, tul, iterb, lutet i promet. Ich doskonałe właściwości przewodzenia prądu zostały wykorzystane w silnikach elektrycznych, a potem w półprzewodnikach, co stało się motorem rewolucji cyfrowej. Metale rzadkie są niezastąpione w przemyśle optycznym, chemicznym, a przede wszystkim w tzw. zielonej transformacji. Można je znaleźć w każdym samochodzie elektrycznym, turbinach wiatrowych i panelach fotowoltaicznych. Nic więc dziwnego, że bez nich Zachód nie może myśleć o jakiejkolwiek przewadze technologicznej, gospodarczej czy militarnej. Problem w tym, że ich dostępność zależy dziś w dużej mierze od dobrej woli Pekinu, który w 2024 r. kontrolował prawie 70 proc. światowych zasobów tych surowców.

Teraz – w warunkach konfliktu geopolitycznego z Zachodem – Chiny postanowiły wykorzystać swoją przewagę i zdestabilizować zachodnie gospodarki, ograniczając eksport poszukiwanych minerałów. Niemcy są tu w szczególnie złej sytuacji, bo aż 95 proc. metali ziem rzadkich sprowadzają z Chin, co stanowi najwyższy wskaźnik w całej Unii.

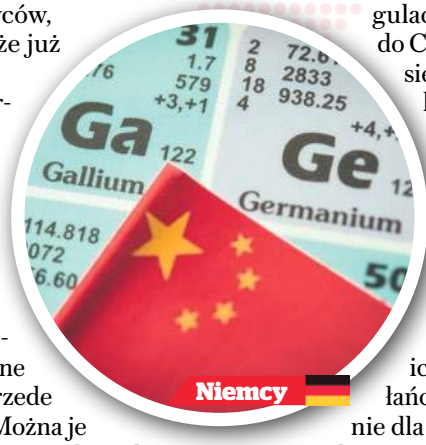

Jak pisze Bloomberg, zgodnie z nowymi regulacjami firmy niemieckie muszą przesyłać do Chin poufne dane, aby uzyskać sześciomiesięczną licencję na import metali ziem rzadkich. Do szczegółowych formularzy należy dołączyć dokładne schematy produkcyjne oraz dane klientów. W niektórych przypadkach wymagane są także informacje o rocznej produkcji z ostatnich trzech lat oraz prognozy na kolejne trzy lata. Jak się ocenia, może to pomóc Pekinowi w zidentyfikowaniu słabych punktów Niemiec oraz zdestabilizować nie tylko ich gospodarkę, lecz także cały europejski łańcuch dostaw, co stanowi poważne zagrożenie dla bezpieczeństwa kontynentu. Największe ryzyko wiąże się z przemysłem zbrojeniowym, który jest ważnym odbiorcą metali ziem rzadkich. Zdaniem ekspertów informacje gromadzone przez Pekin dają mu wgląd w technologie militarne państw NATO. Chińskie Ministerstwo Handlu odpowiada, że ograniczenia nałożone na Zachód pozwolą „lepiej bronić pokoju na świecie".

Niemiecki apetyt na rosyjski gaz ułatwił już wybuch wojny na Ukrainie. Teraz można zadać pytanie: jakie nieszczęścia sprowadzi na Europę niemieckie uzależnienie od chińskich surowców?

Konrad Kołodziejski

Kredyt zaufania dla prezydenta

W Argentynie odbyły się śródokresowe wybory parlamentarne, które były swoistym plebiscytem w sprawie Javiera Mileia. Wspomniany polityk został prezydentem w 2023 r. i od razu rozpoczął radykalne reformy wolnorynkowe. Obywatele wybrali go, ponieważ prowadzona przez 80 lat etatystyczna polityka peronistów doprowadziła kraj do zapaści ekonomicznej. Milei nie posiadał jednak wystarczającego poparcia w parlamencie, bo jego partia miała w Izbie Deputowanych 15 proc. mandatów, a w Senacie jedynie 10 proc. Swój program mogła realizować głównie dzięki sojuszowi z ugrupowaniami prawicowymi. Obecne wybory miały odpowiedzieć, czy Argentyńczycy przedłużają głowie państwa kredyt zaufania.

Większość światowych mediów wieszczyła klęskę Mileia. Miał mu zaszkodzić skandal związany z promocją przez niego kryptowalut, które straciły na wartości, a także podejrzenia o korupcję jego siostry Kariny, pełniącej funkcję doradcy prezydenta. Mimo to partia prezydenta odniosła wyraźne zwycięstwo, zdobywając 41 proc. głosów. Dlaczego?

W niecały rok od objęcia rządów prezydent uporał się z deficytem budżetowym, redukując go z 5 proc. PKB do zera. Zmniejszył wydatki publiczne o 30 proc., likwidując m.in. 10 z 18 ministerstw. Rozwiązał instytucje państwowe zajmujące się rozdawaniem dotacji organizacjom zaprzyjaźnionym z lewicowymi politykami. Doprowadził do deregulacji wielu rynków i zreorganizował system importu. Przywrócił niezależność banku centralnego. Zdusił inflację z 13 do 2 proc. miesięcznie. Gdy obejmował rządy, PKB kurczyło się o 1,6 proc. rocznie, teraz wzrosło o 7 proc. W tym czasie wskaźnik ubóstwa spadł z 42 do 31 proc.

Milei był też pierwszym przywódcą świata, który wynegocjował z Trumpem umowę o wolnym handlu. Prezydent USA obiecał mu zresztą pożyczkę 40 mld dol. w zamian za zmniejszenie udziału Chin w strategicznych sektorach gospodarki. Okazuje się, że wyborcy to wszystko docenili i dali Mileiowi kolejne zwycięstwo.

Grzegorz Górny

Fot. Marco Iacobucci Epp/Shutterstock.com

eprasa.pl 93eeccb096

RPA

Trzy dekady upadku

31 lat po obaleniu apartheidu w Republice Południowej Afryki nierówności dochodowe są większe niż za czasów rządów białej mniejszości, korupcja elit większa, a problemy kraju narastają.

Dane są porażające. 43 proc. zdolnych do pracy obywateli nie ma stałego zatrudnienia, wzrost gospodarczy stopniał w ub.r. do poziomu 1,2 proc., a rządzący Afrykański Kongres Narodowy (ANC), partia utworzona przez Nelsona Mandelę, na skutek afer korupcyjnych, w które uwikłane jest jej przywództwo, straciła 40 proc. pierwotnego poparcia. Nie doprowadziło to do zmiany władzy, ale zmusiło ANC do wejścia w koalicję z mniejszymi ugrupowaniami, co dodatkowo zdestabilizowało i tak już chwiejną sytuację w kraju.

William Gumede, były działacz antyapartheidowy i politolog, powiedział dziennikarzom „The Wall Street Journal", że jednym z głównych problemów RPA jest specjalne ustawodawstwo, w zamyśle mające naprawiać niesprawiedliwości, które narosły za czasów rządów białych, a w praktyce służy bogaceniu się wąskiej elity władzy. Mowa o miliardach dolarów, które – zdaniem Gumedego – trafiły na konta wpływowych aktywistów ANC, a przede wszystkim „ekstremalnie bogatego" prezydenta Cyrila Ramaphosy. Jednym z celów tego ustawodawstwa, które nałożyło na firmy obowiązek oferowania udziałów, miejsc pracy i innych preferencji pokrzywdzonym mieszkańcom RPA, miała być budowa nowej klasy średniej złożonej z ludności czarnoskórej i pochodzenia hinduskiego. Jednak w praktyce doprowadziło to do licznych nadużyć.

Przykładem cywilizacyjnego regresu jest miasto Johannesburg, za czasów apartheidu uznawane za najbogatszy ośrodek w kraju. Dziś śmieci nie są tu wywożone od miesięcy, a w wielu dzielnicach nie ma bieżącej wody, bo zaniedbywana przez trzy dziesięciolecia infrastruktura przestała działać. Liczba zabójstw w Johannesburgu, potocznie określanym w przeszłości mianem „złotego miasta", wzrosła o 100 proc. w ciągu ostatnich 15 lat i obecnie wynosi 6,6 tys. przypadków w skali roku. W mieście w ciągu zaledwie 9 miesięcy tego roku było niemal 98 tys. przerw w dostawach energii elektrycznej – niektóre z nich na tyle poważne, że całe dzielnice pozostawały bez zasilania.

Po 31 latach rządów Afrykańskiego Kongresu Narodowego Republika Południowej Afryki przekształciła się z bogatego i cywilizacyjnie rozwiniętego kraju w zdewastowane państwo, gdzie rządzi skorumpowana elita, a większość obywateli pogrąża się w nędzy.

Marek Budzisz

Koniec z nieoficjalnym niewolnictwem

Arabia Saudyjska oficjalnie skończyła z systemem kafala, określającym zasady pracy imigrantów zarobkowych. Przez wiele lat umożliwiał on grupie ok. 13 mln przyjezdnych znalezienie legalnego zatrudnienia w charakterze pracowników kontraktowych, przekazując jednocześnie pracodawcom całkowitą kontrolę nad ich życiem.

Imigranci zarobkowi stanowią dziś prawie 42 proc. populacji Arabii Saudyjskiej, a duża część z nich wywodzi się z ubogiej ludności Indii, Bangladeszu, Nepalu i Filipin. Wdrożone w ostatnich tygodniach zmiany poprawiają ich status, dając im całkowitą swobodę zmiany pracy i opuszczenia kraju bez pytania o zgodę pracodawcy. Łatwiejszy ma być również tryb kierowania przez nich skarg do sądów pracy.

„Kafala" to arabskie słowo oznaczające rodzaj niemal feudalnej opieki nad pracownikiem. Jej zasady pochodzą z lat 50. XX w., gdy ściągano siłę roboczą podczas saudyjskiego boomu naftowego. W ramach kafali każdy pracownik przybywający do Arabii Saudyjskiej za pracą jest przypisany do lokalnego sponsora, który zarządza wszystkimi aspektami jego życia. Zdaniem ekspertów była ona w istocie formą niewolnictwa. Sponsorzy kontrolowali wszystko, począwszy od zatrudnienia i pensji pracowników, a skończywszy na ich statusie prawnym i warunkach życia. Zmiana pracy była niemożliwa bez zgody kafaela, który mógł ukarać kłopotliwych robotników, konfiskując ich pensje, a nawet paszporty. W najtrudniejszej sytuacji znajdowały się osoby zatrudnione jako pomoc domowa, które traktowano niczym zwierzęta domowe, czasami znęcając się nad nimi fizycznie i seksualnie.

Coraz silniejsze głosy potępienia ze strony międzynarodowych organizacji broniących praw pracowniczych i praw człowieka skłoniły saudyjskiego następcę tronu, księcia Mohammeda bin Salmana, do zniesienia kafali w ramach reform przedstawianych jako Saudi Vision 2030. Ich celem jest uniezależnienie królestwa od przemysłu naftowego i zwiększenie atrakcyjności kraju dla zagranicznych inwestorów. Tymczasem niewolnicze zależności są czymś, czego większość z nich nie pochwala. Organizacje broniące praw człowieka są jednak ostrożne wobec wprowadzanych reform, zwracając uwagę, że nie objęły one jeszcze wszystkich grup pracowników rekrutujących się spośród imigrantów.

Maciej Walaszczyk

Arabia Saudyjska

Sprawa Anny

Samuel Pereira

Nie trzeba być historykiem, wystarczy pamiętać ok. 50 miesięcy wstecz, by wiedzieć, jak nieszczere jest dziś zbijanie politycznych punktów w tematach bezpieczeństwa czy robienie sobie PR sesjami na tle „pisowskiej" zapory na wschodniej granicy przez obóz rządzący. Sprawa Anny Michalskiej, wciąż aktywnego, choć *de facto* zdegradowanego funkcjonariusza Straży Granicznej, to najbardziej świeży papierek lakmusowy prawdziwych intencji rządzących.

W 2021 r. na naszej granicy została rozpoczęta rosyjsko-białoruska operacja przeciwko Polsce. Zaczęło się „niewinnie", od 32 osób na granicy w Usnarzu Górnym. Zleciały się kamery, aktywiści i politycy. Raz był cyrk (latanie z pizzą i siatką z Ikei), a raz groza (nagrywanie funkcjonariuszy, grożenie skanowaniem twarzy), a w Sejmie głosowanie przeciwko wprowadzeniu stanu wyjątkowego i budowie zapory na granicy. Celebryci szukali „dzieci z Michałowa", a za nimi politycy, świadomie i cynicznie epatujący zdjęciami malców. Nie o nich im chodziło, a o dojście do władzy.

Dziś, gdy już do niej doszli, do czego ją wykorzystali? Do wycofania wsparcia, jakiego udzielano byłej rzecznik Straży Granicznej w walce o swoje dobre imię – i to nie w „prywatnej" sprawie, lecz w sprawie zniesławienia, z jakim się spotkała w związku z pełnioną służbą. „Zgodnie z poleceniem pisemnym Prokuratora Generalnego Waldemara Żurka z dnia 14 października 2025 r. [...] cofnięto apelację prokuratora Prokuratury Okręgowej w Warszawie Wydziału do Spraw Wojskowych" – to fragment odpowiedzi rzecznika warszawskiej prokuratury na informacje telewizji wPolsce24 o tym, że kobieta została procesowo porzucona przez państwo polskie. Wbrew prokuratorowi ppłk. Janowi Zarosie, który był bezpośrednio zaangażowany w tę sprawę. A zrobił to – osobiście – ulubiony minister premiera Donalda Tuska. Tego samego, który w sierpniu 2021 r. w Goniądzu oburzał się, że „wicepremier Piotr Gliński mówi, że Polska się obroni", a przecież „to są biedni ludzie, którzy potrzebują pomocy". Czy kpt. Michalska tej pomocy nie potrzebuje?

Wiele mocnych barw

Z aktorką Anną Karczmarczyk rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Podróżować kabrioletem w stylizacji à la Brigitte Bardot... Miała pani taką możliwość w serialu – bynajmniej nie tak kolorowym, jak by się wydawało po tym wstępie...

Anna Karczmarczyk: Serial nie jest kolorowy, ale pełnokrwisty i ma wiele mocnych barw. Udział w „Czarnej śmierci" – także za sprawą wspomnianej stylizacji – pozwolił mi się przenieść do lat 60. ub.w. i zdarzeń, w których bierze udział moja bohaterka, inspirowana autentyczną postacią, ale nikogo nie chciałam kopiować. Czerpałam z wizerunku kobiet z tamtych lat, odwoływałam się do obowiązujących wówczas schematów i reżimów, w których kobiety musiały funkcjonować, często je łamiąc.

Kim jest serialowa Weronika Przybysz?

Lekarką pracującą w tzw. Koperniku – jednym z wrocławskich szpitali. Kiedy ją poznajemy, jest mobbingowana przez swojego szefa, aczkolwiek gorsze jeszcze przed nią.

Czy serial odwołujący się do realnego epidemicznego zagrożenia sprzed sześciu dekad łączy się jakoś z teraźniejszością?

Myślę, że w najtrudniejszym okresie pandemii COVID-19 mieliśmy jednak do dyspozycji więcej narzędzi.

Emisja „Czarnej śmierci" w TVP 1 od 9 listopada. W znakomitej obsadzie jest też zmieniony charakteryzacją Cezary Pazura.

Znamy się z Czarkiem od lat – grałam w jego reżyserskim debiucie „Weekend" z 2010 r. Wspaniale było znów spotkać się na planie i obserwować, jak – współpracując z reżyserem Kubą Czekajem – boksował się chwilami, by nie wejść w swoje stare buty. I nie wszedł ani na milimetr. Byłam pod wielkim wrażeniem.

Fot. Wojciech Węgrzyn, materiały prasowe

eprasa.pl 93eeccb096

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Świat się zmienia...

Jan Pietrzak

...co natrętnie pokazują nam domowe telewizory, najważniejsze meble obecnej cywilizacji. Przenikają się rozmaite tematy. Sprawy lokalne z globalnymi. Tematy ludzkie z nieludzkimi scenami, płciowe z bezpłciowymi. M.in. codziennie obserwujemy nierozerwalny splot wyskoków społecznych i politycznych z wyczynami sportowymi. Nadeszła pora, by te sfery połączyć ze sobą i uporządkować. Proponuję utworzyć katalog nowych konkurencji, które funkcjonują już w realu, ale nie mieszczą się w staroświeckiej terminologii. Oto moja lista autentycznych konkurencji... Liczę na wsparcie czytelników, ponieważ jednej osobie nie sposób ogarnąć tak wielu możliwości, jakie stoją przed społeczeństwem w tej skomplikowanej, acz pasjonującej materii. Sekretariat redakcji ma swoje statutowe obowiązki, dlatego pomysły nowych konkurencji proszę przysyłać bezpośrednio na mój fejsbukowy adres: Jan Pietrzak Człowiek z kabaretu, Egida1.

Oto moje propozycje. Skok na kasę. Rzut oszczerstwem. Wyścig szczurów. Wspinaczka resortowa. Gonitwa do żłobu. Bieg przez plotki. Biegunka legislacyjna. Galopująca inflacja. Wyścigi na migi. Robienie w balona. Puszczanie w skarpetkach. Puszczanie z torbami. Podnoszenie ciężarów podatkowych. Nurkowanie w przepisach. Przeciąganie liny przez gliny. Gimnastyka przed wypłatą. Zmagania na mównicy sejmowej. Dźwiganie ciężarów podatkowych. Wyciskanie każdego grosza. Bieg do stołków. Sztafeta oszustów. Podgryzanie przeciwnika. Wciskanie kitu emerytom. Gra w chowanego dłużnika. Zawody lania wody. Targanie po szczękach. Bicie piany. Odbijanie problemów. Szermierka na belki. Jazda na czas przez blokady. Przepychanie ustaw bez sensu. Skok w siną dal. Wyścig w workach do baru...

Sami państwo widzą, ile możliwości niesie pomysł interdyscypinarnego podejścia do najważniejszych bolączek dnia codziennego, a także skomplikowanych problemów natury ogólnospołecznej. Apeluję o pobudzenie wyobraźni i wyciągnięcie innowacyjnych wniosków. Każdy z nas ma za sobą łańcuch niezwykłych doświadczeń. Spróbujmy wykorzystać je we wspólnym interesie. Struktury polityczne utrwalone historycznie oraz ich podejście do bieżących wyzwań są sztampowe, niepodatne na niezbędne zmiany.

À propos... Nie godzę się nigdy na stosowane przez media określenia „zwykli ludzie" to, „zwykli ludzie" tamto. Kochani, każdy z nas jest niezwykłym tworem Stwórcy. Nie dajmy sobie odebrać naszej niezwykłości przypadkowym gamoniom stojącym przy ścieżce prowadzącej nas ciemną doliną do promiennych horyzontów naszej ojczyzny.

Sądecki układ w ratuszu zaczyna pękać

Zatrzymanie prezydenta Ludomira H., jego zastępcy Artura B. oraz urzędników nowosądeckiego ratusza przez Centralne Biuro Antykorupcyjne w ramach śledztwa prowadzonego przez Prokuraturę Europejską to wydarzenie bez precedensu w historii królewskiego miasta Nowego Sącza. Nie jest to jednak przypadek ani medialna sensacja, lecz logiczny finał systemu zależności i interesów, który dławił miasto od lat i był skrzętnie chroniony przez lokalne powiązania polityczne, towarzyskie i biznesowe.

Dziś pękła fasada pozorów, choć wciąż widzimy jedynie czubek góry lodowej. Od dawna ostrzegałem, że w sądeckim magistracie powstał zamknięty układ, w którym publiczne pieniądze stawały się narzędziem utrzymania władzy, a nie służby mieszkańcom. Śledztwo dotyczące nieprawidłowości przy wydatkowaniu unijnych środków to dopiero początek. Kto zna realia ratusza, ten wie, że podobne mechanizmy mogą dotyczyć także miejskich spółek i inwestycji – zwłaszcza tych obarczonych zarzutami niegospodarności przy budowie stadionu Sandecji, którego koszt wzrósł z 60 do niemal 180 mln zł.

Kilka dni przed zatrzymaniem włodarzy CBA ujęło urzędników niższego szczebla. To ich zeznania mogły być punktem zwrotnym, bo zwykli pracownicy nie będą ryzykować własnej wolności, by chronić władzę bazującą na strachu i układach. Dlatego dziś obserwujemy, jak konstrukcja, która przez lata wydawała się niezniszczalna, zaczyna się rozsypywać od środka.

Przez długie lata Ludomir H. był chroniony politycznie i medialnie. Gdy pojawiały się pytania o niegospodarność, spływały po nim jak po kaczce, a krytycy byli atakowani i ośmieszani. Ale każda władza, która bazuje na strachu, kolesiostwie i poczuciu bezkarności, prędzej czy później upada. Dziś wychodzą na jaw kolejne sprawy – od kontrowersyjnych nominacji do rad nadzorczych w odległych miastach po powiązania z miejskimi kontrahentami. Tak niestety funkcjonuje wiele samorządów w Polsce, które dla nieuczciwych stały się finansowym eldorado.

Mieszkańcy muszą powiedzieć jasno: „Dość!". Dość bezkarności, arogancji i udawania, że nic się nie stało. Nowy Sącz – podobnie jak tysiące innych polskich miast i gmin – zasługuje na uczciwość, przejrzystość i nowe otwarcie. Dlatego uważam, że dwukadencyjność w samorządach to konieczny krok ku uzdrowieniu życia publicznego – ogranicza lokalne układy, wzmacnia demokrację i przywraca realną konkurencję w wyborach. Bo tylko rotacja władzy daje szansę, że w wielu miastach i gminach samorząd będzie służył ludziom, a nie utrwalaniu lokalnych układów.

Arkadiusz Mularczyk

eprasa.pl 93eeccb096

Walizka dr. Rafała Leśkiewicza

rzecznika prasowego Prezydenta RP Karola Nawrockiego, urzędnika, historyka i menedżera

Już 25 rok jestem urzędnikiem państwowym, pracując w administracji publicznej. Przez kilka ostatnich lat byłem rzecznikiem prasowym w Instytucie Pamięci Narodowej, a od 7 sierpnia – od momentu, gdy Karol Nawrocki został zaprzysiężony na urząd Prezydenta Rzeczypospolitej – pełnię funkcję podsekretarza stanu w Kancelarii Prezydenta i rzecznika prezydenta. Z punktu widzenia kariery jest to bez wątpienia ukoronowanie mojej dotychczasowej ścieżki zawodowej.

Często towarzyszę prezydentowi w jego aktywnościach krajowych i zagranicznych. Odwiedzając różne miejsca w kraju i za granicą, moją rolą jest dbanie o wizerunek głowy państwa, organizowanie konferencji i kontaktów z dziennikarzami. Podróże najczęściej są bardzo krótkie i dynamiczne, a zarazem wymagające dużej koncentracji. Dlatego liczba przedmiotów w moim plecaku jest optymalna, a ich charakter – bardzo praktyczny. Nie ma tam rzeczy specjalnie sentymentalnych, żadnych pamiątek czy maskotek. W pracy rzecznika prasowego wszystko dzieje się szybko, czasem niespodziewanie, dlatego spakowany plecak zawsze stoi w moim gabinecie.

KINDLE

Zwykle czytam kilka książek naraz. Lubię beletrystykę, a także literaturę faktu. Sięgam po książki w zależności od nastroju i kiedy mam chwilę spokoju. Kindle jest praktyczny i pozwala mi na dużą elastyczność w doborze lektur.

TRADYCYJNA KSIĄŻKA

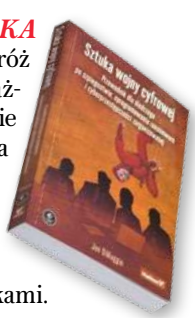

Oprócz Kindle'a zawsze zabieram w podróż tradycyjną książkę – najczęściej coś poważniejszego, np. publikacje naukowe. Czytanie tradycyjnych, papierowych książek otwiera wyobraźnię. Aktualnie jestem w trakcie lektury pracy z zakresu IT – „Sztuka wojny cyfrowej", opowiadającej o cyberprzestępczości, zagrożeniach czyhających w sieci i metodach obrony przed cyberatakami.

Fot. Michał Korsun, Łukasz Błasikiewicz/KPRP, Mikołaj Bujak/KPRP

eprasa.pl 93eeccb096

MULTITOOL

To narzędzie, z którego korzystam od dawna. Scyzoryk z wieloma funkcjami często się przydaje, gdy trzeba coś przykręcić, odkręcić, przyciąć, naostrzyć, otworzyć – także w warunkach miejskich. Jego obecność w plecaku daje mi poczucie komfortu i wielokrotnie mi się przydał.

APTECZKA

Powinna być w plecaku każdego. Zawsze mam ze sobą niewielką apteczkę, jestem też przeszkolony w zakresie pierwszej pomocy przedmedycznej. Na szczęście do tej pory nie było potrzeby opatrywania czyichś ran czy tamowania krwotoku – no, może poza skaleczeniem palca.

SPORT

Jestem aktywny fizycznie. Staram się co najmniej 3–4 razy w tygodniu chodzić na treningi. Zawsze mam w plecaku strój sportowy, bo bez względu na to, czy jestem w Warszawie, czy w podróży, idę na siłownię, gdzie mogę potrenować. Wysiłek fizyczny jest najlepszą formą relaksu, wyzbycia się stresu i oczyszczenia umysłu.

KOSZULA I KRAWAT

Pełnię funkcję publiczną. Jestem rzecznikiem prezydenta Karola Nawrockiego. To wymaga odpowiedniego wyglądu i prezencji, więc te atrybuty elegancji są na wszelki wypadek – gdyby się okazało, że zabrudzę koszulę lub krawat, które mam na sobie.

SŁUCHAWKI

Podróż lub trening to okazja, żeby posłuchać muzyki. Lubię słuchać starych przebojów U2. Relaksuję się przy techno, ale słucham też podcastów politycznych i technologicznych.

KOSMETYKI

Mam zestaw kosmetyczny – pędzel, podkład, gąbka. To praktyczne atrybuty mojej codzienności – pracy rzecznika prasowego. Występuję w mediach i podczas spotkań publicznych. Reprezentując głowę państwa, muszę wyglądać schludnie i elegancko.

DYSK PAMIĘCI

Mimo że wierzę w nowe technologie i rozwiązania chmurowe, z których chętnie korzystam, uważam, że najważniejsze dane i dokumenty należy mieć przy sobie w formie cyfrowej. Dlatego zawsze mam zaszyfrowany dysk, na którym przechowuję ważne i wartościowe dla mnie materiały, m.in. mój dorobek naukowy i publicystyczny, obejmujący ponad 250 publikacji czy wystąpienia z konferencji oraz sympozjów.

LEKI

Kilka lat temu zdiagnozowano u mnie chorobę autoimmunologiczną, a leki, które codziennie przyjmuję, hamują jej rozwój. Robię wszystko, by normalnie funkcjonować. Nie zmieniam stylu życia. Wszystko zależy od podejścia, a ja się nie rozczulam nad sobą.

NOTES Z WIERSZAMI

W wolnych chwilach piszę, najczęściej krótkie wiersze. Dają mi poczucie oczyszczenia, ekspresji na papierze moich myśli, emocji, obserwacji...

DOŚWIADCZAĆ
Zanurzyć się w głębi
wszechwiedzy, wszechświata.
Dać się pochłonąć kwantowej
przestrzeni.
Wniknąć z rozkoszą w strumień
światła.
A w metaversie znaleźć ukojenie.
Cogito ergo sum!

RÓŻANIEC

Z Gietrzwałdu. Jest ważną częścią mojej osobistej codzienności, czyli modlitwy porannej i wieczornej.

TERMOS

Jestem smakoszem kawy. Piję jej bardzo dużo, kilka filiżanek dziennie, dlatego w podróży zawsze towarzyszy mi termos.

Wysłuchał i zapisał Michał Korsun

eprasa.pl 93eeccb096

TRENDY I OWĘDY

Meandry diety

W społeczeństwie internetowym spore ożywienie wzbudziła teza postawiona przez prof. dr hab. inż. Grażynę Cichosz w wywiadzie udzielnym Bogdanowi Rymanowskiemu: „W PRL żywność była lepszej jakości niż obecnie". Oprócz wielu pochwał tej rozmowy były też kpiny: „Oczywiście, oczywiście żywność w PRL była lepsza... jak się udało coś kupić". Rację mają ci, którzy zwracają uwagę na ówczesne niedobory. W sklepach, szczególnie mięsnych, towar „rzucano". Jak się coś trafiało, to po wystaniu w kolejce. Jednak zaopatrywanie się w jedzenie nie ograniczało się do pierwszego obiegu.

Ryszard Makowski

Do połowy lat 80. mieszkałem w Międzylesiu. Oficjalnie od 1951 r. Warszawa, ale w latach 60. była to autonomiczna enklawa. Mięso rozwoził furą pan Brama i babcia kupowała od niego towar z pewnością bez konserwantów. Nabiał przynosiła pani Ćwiekowa. Miała wielki kosz zawiązany kolorową chustą, a w nim mleko, sery, masło, jajka... sama ekologia. Mieliśmy ogród, porzeczki, agrest, rabarbar, morele... szczególnie lubiłem uprawianie pomidorów z dziadkiem. Były one dojrzałe dopiero jesienią, ale ten smak... Nie tylko latem jeździłem do rodziny taty do Rogowa. Mieli własne gospodarstwo z sadem i polem. Tam zdolności kulinarne cioci Basi sprawiały, że wręcz się ucztowało.

Tytuł wywiadu z panią profesor brzmi: „Żywieniowy przekręt". Pojawił się też ciekawy wątek – że te nowoczesne sposoby przetwarzania produktów do spożycia mogą być również elementem teorii spiskowej, aby zmniejszyć potencjał intelektualny ludzi. Patrząc na to, co się dzieje u nas, ta teoria może nie być pozbawiona sensu.

POWOLNE MEDIA WEDŁUG MICHAŁA KORSUNA

SIECI

ISSN 2544-2694

www.SIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 255 93 32, (22) 255 93 33; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, RYSZARD CZARNECKI, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, PIOTR GURSZTYN, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, KONRAD KOŁODZIEJSKI, JAROMIR KWIATKOWSKI, LECH MAKOWIECKI, RYSZARD MAKOWSKI, DARIUSZ MATUSZAK, ALEKSANDER NALASKOWSKI, MARZENA NYKIEL, SAMUEL PEREIRA, STANISŁAW PŁUŻAŃSKI, JAN PIETRZAK, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PIOTR SŁABEK, ROBERT TEKIELI, MACIEJ WALASZCZYK, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO

PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA, MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI, KATARZYNA LASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ROBERT GOŁASZEWSKI, ROBERT.GOLASZEWSKI@FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 14.00 – 16.00)
PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.SIECIPRAWDY.PL

WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA, W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT.: ANDRZEJ WIKTOR, TETIANA DZHAFAROVA/AFP/EAST NEWS

Zamów prenumeratę Sieci! Od 2 stycznia 2025 r. według nowego cennika

CENNIK PRENUMERATY*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
Krajowa	118 zł	207 zł	375 zł
Zagraniczna	296 zł	566 zł	1099 zł

**Dane do przelewu w stopce redakcyjnej*

eprasa.pl 93eeccb096

Restart

Prezydent Karol Nawrocki zarządził restart w stosunkach z Ukrainą. Nie chodzi o ich zerwanie, ale o znaczący zwrot. Nie jest to kwestia emocji nowego prezydenta, lecz głębokiego przekonania, że dotychczasowa formuła wzajemnych relacji się nie sprawdziła. Wszystko zaś stanowi konsekwencję serii błędów popełnionych przez prezydenta Wołodymyra Zełenskiego i jego ekipę

Fot. Christian Liewig/ POOL/SIPA/East News, Anita Walczewska/East News

PIOTR GURSZTYN

Obserwujemy zamieszanie w sprawie ewentualnej wizyty prezydenta Karola Nawrockiego w Kijowie. Media i opinia publiczna odbierają to w kategoriach symbolicznych i prestiżowych. Z jednej strony wpływają na to tragiczne tematy historyczne, z drugiej prestiżowa przepychanka – kto do kogo pojedzie, kto kogo pierwszy zaprosił. Obie sprawy mają znaczenie, ale problem jest dużo głębszy.

– Chcemy się spotkać – jasno deklaruje rzecznik prezydent Rafał Leśkiewicz. Musi się jednak rozpocząć proces realnego załatwiania spraw ważnych dla Polski. A te dotyczą polityki historycznej i bezpieczeństwa polskiej branży rolnej. Kijów dostał jasny sygnał: dialog tak, ale na warunkach akceptowalnych dla strony polskiej.

KIJÓW ZASKOCZONY

Strona ukraińska, a dokładniej ekipa prezydenta Zełenskiego, jest zaskoczona. Wygląda na to, że Kijów był przekonany o niezmienności relacji – niezależnie od wszystkich okoliczności, które zaszły w ostatnich dwóch latach. Zarówno w bilateralnych stosunkach między obu państwami, jak i w tym, co stało się na linii Zełenski–Nawrocki. Dowodem na to zaskoczenie są oficjalne wypowiedzi ważnych postaci ukraińskiej dyplomacji. We wrześniu szef tamtejszego Ministerstwa Spraw Zagranicznych Andrij Sybiha mówił o wizycie Karola Nawrockiego w Kijowie jako o czymś pewnym i zaplanowanym. Wtedy doszło jednak tylko do krótkiej rozmowy między obydwoma prezydentami w kuluarach Zgromadzenia Ogólnego ONZ. Na początku października ambasador Ukrainy w Warszawie Wasyl Bodnar „wyskoczył" z zapowiedzią, że wizyta w Kijowie odbędzie się już wkrótce i że wszystko jest ustalone ze stroną polską. Szybko nastąpiło jednak dementi ze strony współpracowników prezydenta Nawrockiego. W tym przypadku była to nie tyle nadgorliwość ambasadora, ile to, że został „wpuszczony w maliny" przez polskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych, co stanowiło jedną z antyprezydenckich gierek Radosława Sikorskiego.

– Co to za problem, aby Zełenski tu przyjechał? Kiedy musi być w Waszyngtonie, leci tam od razu – słyszymy w pałacu prezydenckim. Rzeczywiście, nie jest to problem protokolarny. Wołodymyr Zełenski był ostatni raz w Warszawie z jednodniową wizytą roboczą 15 stycznia br. (wizyta oficjalna odbyła się w kwietniu 2023 r.). A później, w czerwcu br., był u niego z wizytą pożegnalną prezydent Andrzej Duda. Kolej zatem na rewizytę w Warszawie.

„Myślę, że prezydent Zełenski spokojnie mógłby naprawdę zrealizować wizytę w Warszawie" – mówił Marcin Przydacz, szef prezydenckiego Biura Polityki Międzynarodowej. „Pan prezydent Zełenski może przyjechać do Polski. To żaden problem spotkać się z panem prezydentem Nawrockim w Polsce, porozmawiać o ważnych sprawach" – dodawał w tym samym czasie rzecznik prezydenta Rafał Leśkiewicz, więc widać, że taka jest ostateczna linia pałacu prezydenckiego.

> Co to za problem, aby Zełenski tu przyjechał? Kiedy musi być w Waszyngtonie, leci tam od razu – słyszymy w pałacu prezydenckim

Towarzyszą temu zapewnienia, że prezydent RP nie uchyla się od kontaktu. – Muszą być jednak konkrety – komunikują jego współpracownicy. Pierwszy postulat jest raczej łatwy do spełnienia przez stronę ukraińską – chodzi o zezwolenie na prace ekshumacyjne w miejscach pochówku ofiar rzezi wołyńsko-galicyjskiej. Reszta jest trudniejsza. W sferze polityki historycznej strona polska oczekuje zaprzestania masowej gloryfikacji UPA przez różne ukraińskie instytucje, organizacje i środowiska. A najbardziej ważną – nie lekceważąc polityki historycznej – jest kwestia ochrony polskiego rolnictwa i całej naszej produkcji rolno-spożywczej przed możliwym zalewem konkurencji ukraińskiej. W tej sprawie nasz wschodni sąsiad jest głuchy na jakiekolwiek argumenty dotyczące obrony krajowego rolnictwa.

ZEŁENSKI WOLAŁ TRZASKOWSKIEGO

Karol Nawrocki od początku swej aktywności politycznej jest bardzo asertywny wobec Ukrainy. Niedawno skierował do Sejmu projekt ustawy przewidującej wprowadzenie kar za propagowanie ideologii banderowskiej. W kampanii prezydenckiej często mówił rzeczy, które nie mogły podobać się w Kijowie. Wykazał się wyraźną rezerwą wobec wizji Ukrainy jako członka NATO. Stwierdził, że obecnie jest to niemożliwe. Podobnie odniósł się do kwestii członkostwa Ukrainy w Unii Europejskiej, mówiąc, że jest to temat „przedwczesny". W marcu br. miał wystąpienie, gdzie krytycznie ocenił zachowanie Wołodymyra Zełenskiego w kontekście jego spięcia z prezydentem Trumpem w Białym Domu: „Oczekuję refleksji od prezydenta Zełenskiego, który całkiem niedawno powiedział, że w pierwszych dniach wojny Ukraina została sama, co jest nieprawdą, bo my otworzyliśmy swoje serca i domy. Ten rodzaj niewdzięczności przynosi takie efekty".

A w lipcu, już po wygranych wyborach prezydenckich, Karol Nawrocki wygłosił apel do władz ukraińskich o umożliwienie „pełnoskalowych", jak to nazwał, ekshumacji ofiar zbrodni UPA.

Drugą stroną tego medalu jest to, że podczas polskiej kampanii prezydenckiej Wołodymyr Zełenski pospieszył się z okazaniem wsparcia dla Rafała Trzaskowskiego. Było to w czasie jego wizyty roboczej w styczniu. Miał tylko trzy spotkania, w tym krótkie, 25-minutowe, ze swoim odpowiednikiem, czyli prezydentem Andrzejem Dudą. Więcej czasu znalazł na rozmowy z premierem Donaldem Tuskiem i prezydentem stolicy pod pretekstem wręczenia mu nagrody „Miasta – Ratownika" dla Warszawy.

eprasa.pl 93eeccb096

Ale to nie wszystko. Udzielił wspólnego wywiadu dla Onetu, „Rzeczpospolitej", TVN24 i „Krytyki Politycznej" (już sam dobór tych redakcji stanowił jasny sygnał). Ostro skrytykował w nim Nawrockiego. „Jeżeli Ukrainy nie będzie w Unii Europejskiej i nie będzie w NATO, jeśli Ukraina nie będzie miała gwarancji bezpieczeństwa, to wtedy pan Nawrocki powinien już zacząć ćwiczyć, bo może się okazać, że będzie musiał wziąć broń do ręki, by wspólnie ze swoimi rodakami bronić swego kraju" – mówił w wywiadzie.

Zełenski w ogóle nie krytykował Trzaskowskiego, chociaż to kandydat Koalicji Obywatelskiej był inicjatorem pomysłu, aby ograniczyć wypłacanie 800+ dla części ukraińskich dzieci przebywających w Polsce. I nie przeszkadzały mu krytyczne na temat przewidywalnej akcesji Ukrainy do UE wypowiedzi Trzaskowskiego. „Ukraina nie może wejść do Unii Europejskiej, jeżeli polityka rolna nie zostanie zmieniona" – mówił dokładnie wtedy prezydent Warszawy. Nie da się tu uniknąć skojarzeń z identycznym błędem Zełenskiego, gdy w czasie kampanii prezydenckiej w Stanach Zjednoczonych otwarcie poparł demokratów przeciw Donaldowi Trumpowi.

NIEWDZIECZNOŚĆ I ATAKI

Patrząc na działania Karola Nawrockiego, nie należy zapominać o doświadczeniach Andrzeja Dudy i jego otoczenia. Z pewnością bezpośrednio przekazanych przez ustępującego prezydenta swojemu następcy. Duda – jak wiadomo – należy do tych światowych polityków, którzy udzielili największego wsparcia Ukrainie i jej prezydentowi. Zwłaszcza w najbardziej krytycznym momencie, czyli na samym początku wojny.

Niestety dość szybko odczuł niestałość – delikatnie mówiąc – swojego ukraińskiego partnera. Pierwszym znakiem była reakcja Zełenskiego i jego ekipy na eksplozję ukraińskiej rakiety w Przewodowie w listopadzie 2022 r. Upierali się oni przy tym, żeby Polska ogłosiła, iż był to rosyjski pocisk. Andrzej Duda tak to wspomina w swojej książce: „Fakt, że Ukraińcy idą w zaparte i praktycznie oczekują od nas włączenia się do wojny, był nie do przyjęcia. Zrobiłem wiele, by ułatwić im przyznanie, że rakieta była ich. [...] Nawet to nie pomogło. Stawiali swoją wersję przeciwko faktom, przeciwko dowodom zebranym przez Polskę, USA, dowódcę strategicznego NATO i szefa pionu wywiadu NATO".

> Karol Nawrocki od początku swej aktywności politycznej jest bardzo asertywny wobec Ukrainy. Niedawno skierował do Sejmu projekt ustawy przewidującej wprowadzenie kar za propagowanie ideologii banderowskiej

To był poważny, bardzo przykry, ale jednak tylko incydent, który można było tłumaczyć ekstremalną sytuacją, w jakiej znajdowała się Ukraina i jej prezydent. Był to bowiem jeszcze czas, gdy Wołodymyr Zełenski jako chyba jedyny przywódca światowy publicznie dwa razy stwierdził, że katastrofa w Smoleńsku nie była nieszczęśliwym wypadkiem, ale efektem zamachu ze strony państwa rosyjskiego. Potem jednak nastąpił świadomy zwrot w ukraińskiej polityce.

Analizował to znawca współczesnych stosunków międzynarodowych, prof. Przemysław Żurawski vel Grajewski. W wywiadzie dla tygodnika „Sieci" udzielonym w grudniu ub.r. mówił, że moment zwrotu to maj 2023 r., po wizycie kanclerza Olafa Scholza w Waszyngtonie. Ówczesny prezydent USA Joe Biden wrócił do traktowania Niemiec jako najważniejszego państwa w Europie, którego zdanie będzie uznawane przez amerykańską administrację jako wiążące w sprawach naszego kontynentu. A Niemcy chciały zmiany rządu w Polsce. Zełenski zaakceptował tę grę. „Ukraińcy naiwnie wierzą w szybką ścieżkę do UE i to marginalizuje w ich oczach znaczenie Polski. W ich wyobraźni Polska pod rządami Tuska miałaby współdziałać z Niemcami i USA na rzecz Ukrainy" – mówił prof. Żurawski vel Grajewski.

Szczególnie niedobrym dniem dla wzajemnych stosunków okazał się 19 września 2023 r. i wystąpienie Zełenskiego w ONZ, które było bardzo niesprawiedliwym atakiem na politykę naszego kraju. „Niepokojące jest to, co widzimy: niektórzy w Europie, niektórzy nasi przyjaciele w Europie, odgrywają w teatrze politycznym solidarność, robiąc thriller ze zbożem. Może się wydawać, że odgrywają własną rolę, ale w rzeczywistości pomagają przygotowywać scenę dla moskiewskiego

Prezydent Nawrocki oczekuje zezwolenia Ukrainy na dalsze prace ekshumacyjne w miejscach pochówku ofiar rzezi wołyńsko-galicyjskiej

Fot. IPN

eprasa.pl 93eeccb096

Kijów jak dotąd jest głuchy na jakiekolwiek argumenty Warszawy dotyczące obrony polskiego rolnictwa przed zalewem ukraińskiej żywności

aktora" – mówił prezydent Ukrainy, wykazując się całkowitym brakiem zrozumienia dla polskiej polityki ochrony własnego rolnictwa.

Reakcje w Polsce na to były bardzo negatywne. Andrzej Duda odwołał pod jakimś wymyślonym pretekstem planowane wcześniej spotkanie z Zełenskim. „Ukraina odpycha ręce, które jej pomagają" – mówił Marcin Przydacz, wtedy także szef Biura Polityki Międzynarodowej. Andrzej Duda pisał w swojej książce, że wielokrotnie tłumaczył Zełenskiemu, dlaczego sprawa rolnictwa i bezpieczeństwa żywnościowego jest tak ważna dla Polski. „Zdawał się nie przyjmować tego do wiadomości" – wspomina były prezydent.

Po polskiej stronie zwyciężyło przekonanie o postsowieckiej mentalności ukraińskich elit – ich tupecie i częstej bezczelności. Ta opinia pojawiała się wcześniej, ale nie każdy ją podzielał. Jej potwierdzeniem było także to, że ludzie Zełenskiego ignorowali inicjatywy strony polskiej dotyczące wspólnych przedsięwzięć w sferze kultury i historii. Zrazili tym życzliwych im współpracowników Dudy, którzy teraz pracują u boku nowego prezydenta. Także dzisiejsze zabiegi o spotkanie z Nawrockim jest świadectwem bardzo niezgrabnych działań Kijowa. Ukraińcy nie ukrywają, że ich celem jest ponowne nawiązanie stosunków z polską prawicą, bo liczą się z powrotem PiS do władzy. Tego samego PiS, z którym w 2023 r. celowo pogorszyli stosunki w ramach gry opisanej przez prof. Żurawskiego vel Grajewskiego.

> Polska jest sojusznikiem Ukrainy w jej walce z rosyjskim imperializmem, ale domaga się szacunku dla własnych interesów

DIALOG I INTERESY

Na szczęście mimo rozgoryczenia i złych emocji istnieje szansa na poprawę tych relacji. Jest zaproszenie z Kijowa, jest zaproszenie z Warszawy. Po 1 czerwca prezydent Zełenski dzwonił z gratulacjami do Karola Nawrockiego. Przed wizytą polskiego prezydenta w Waszyngtonie w Warszawie odbyły się konsultacje z udziałem polityków regionu: prezydentów Litwy, Łotwy, Estonii oraz premiera Danii. Zełenski uczestniczył w nich, łącząc się w czasie telekonferencji. Skądinąd obecność trzech prezydentów państw bałtyckich pokazała, że w dyplomacji nie obowiązuje sztywna zasada, iż nowo wybrany prezydent musi odwiedzić inne państwa jako pierwszy.

Komentatorzy niechętni Nawrockiemu głoszą tezę, że jest on „konfederacki", a więc z definicji nieprzyjazny Ukrainie. Ta hipoteza w istocie stanowi albo próbę dyskredytacji prezydenta, albo jeszcze częściej – chęć udawania przez niektórych komentatorów, że coś wiedzą na temat poglądów głowy państwa, choć w istocie tak nie jest. Bo nie mieli bezpośrednich kontaktów z Nawrockim ani nie mają dobrych źródeł informacji w jego otoczeniu.

Karol Nawrocki jako kandydat i w ogóle polityk na pewno uwzględnia zmianę nastrojów w polskim społeczeństwie, która wynika z napięć między obydwoma państwami i obydwoma narodami. Musi uwzględniać także to, że nastroje antyukraińskie wzrosną, jeśli będzie realizowana polityka otwartych drzwi dla ukraińskiej produkcji rolnej, czyli *de facto* zabójczy cios dla polskiego rolnictwa. Nie zmienia to jednak faktu, że mimo wzrostu antyukraińskich nastrojów nadal więcej Polaków ma pozytywny stosunek do mieszkańców Ukrainy. A na dodatek ponad 90 proc. z nas ma negatywny stosunek do Rosji.

Działalność międzynarodowa nowego prezydenta też nie potwierdza powyższej tezy. Jego wizyta w Waszyngtonie, a potem lista odwiedzonych stolic europejskich świadczą o tym, że kluczem jest obrona przed zagrożeniem rosyjskim. To, że dwa razy odwiedził Wilno, był także w Helsinkach i Tallinie, jest pozytywnym sygnałem dla Ukrainy. Na razie Nawrocki nie odwiedził Budapesztu ani Bratysławy, stolic krajów nam bliskich, które dzisiaj prowadzą jednak politykę nazbyt życzliwą wobec Rosji.

Jest jeszcze jeden czynnik. Bardzo ważny, choć całkowicie przeoczony przez komentatorów. Nawrocki jako prezydent jest zwierzchnikiem Sił Zbrojnych RP. A w armii – od szarż najniższych do najwyższych – istnieje powszechna świadomość tego, co dla bezpieczeństwa Polski oznacza wysiłek militarny Ukrainy. Towarzyszy temu podziw dla skuteczności i hartu ukraińskich sił zbrojnych. Nie ma żadnych sygnałów, aby Nawrocki odrzucał to rozumowanie. Wręcz przeciwnie – wspomniana wyżej mapa jego podróży, czyli objazd północnej flanki NATO, pokazuje, że nie lekceważy on zagrożenia rosyjskiego.

Tak więc to restart, a nie zerwanie. Powrót do dialogu na realistycznych podstawach. Polska jest sojusznikiem Ukrainy w jej walce z imperializmem rosyjskim, ale domaga się szacunku dla własnych interesów.

Fot. Łukasz Gdak/East News

eprasa.pl 93eeccb096

Dwie Polski, dwa światy

Kongres PiS w Katowicach pracował nad planem dla Polski, konwencja PO w Warszawie – nad nową kampanią nienawiści wobec PiS

STANISŁAW JANECKI

O ile Kongres Programowy Prawa i Sprawiedliwości w Katowicach był kolejnym etapem tworzenia planu dla Polski i programu partii na wybory parlamentarne w 2027 r., o tyle warszawska Konwencja Krajowa Platformy Obywatelskiej okazała się praniem kłopotliwej przeszłości Donalda Tuska oraz kolejnym seansem nienawiści wobec PiS. Jej zupełnym marginesem było to, po co w ogóle została zwołana, czyli aby zespolić Platformę Obywatelską, Nowoczesną i Inicjatywę Polska w teoretycznie nową partię pod zaskakującą i nowatorską nazwą – Koalicja Obywatelska.

Kongres PiS to 132 panele tematyczne z udziałem wybitnych ekspertów z Polski i z zagranicy, poruszające najważniejsze problemy geopolityki, polityki europejskiej, relacji z sąsiadami oraz praktycznie wszystkie istotne kwestie krajowe, samorządowe, z dziedziny polityki, gospodarki, finansów, inwestycji, kultury, mediów, sportu, edukacji, nauki, obyczajów i wszelakich inicjatyw obywatelskich. Konwencja PO to ogólnikowe pogaduchy w Centrum Nauki Kopernik: o edukacji, transporcie czy energetyce, za co odpowiadał Rafał Trzaskowski. W Katowicach i Warszawie zaprezentowano dwie kompletnie różne wizje Polski – a właściwie tylko jedną, gdyż ta autorstwa Donalda Tuska i spółki okazała się marnym ogryzkiem dołączonym do furiackich ataków na PiS. Były to dwa rozmijające się światy: realistyczny z trafną diagnozą zagrożeń w przypadku Kaczyńskiego i PiS oraz z gatunku fantasy z elementami horroru w wydaniu Tuska i PO oraz satelitów z „grzebanych" właśnie Nowoczesnej oraz Inicjatywy Polska. Merytorycznie te dwa wydarzenia dzieliła przepaść. Emocjonalnie i psychologicznie jedno (Kaczyńskiego) było diagnozą i debatą, podczas gdy drugie (Tuska) – psychodramą z elementami szaleństwa i różnych form manii prześladowczej.

W Katowicach chodziło oto, jak zrobić wszystko, co możliwe dla Polski i Polaków, w Warszawie o to, jak najgorliwiej służyć Europie oraz lewicowo-liberalnej idei postępu, gdzie najważniejsza jest emancypacja, która we współczesnej wersji bardziej dotyczy zwierząt i klimatu niż ludzi.

POLSKA MARZEŃ KONTRA SADOMASO

Najważniejszym celem kongresu PiS było – jak to ujął prezes Jarosław Kaczyński w liście do uczestników – „odbudowanie tego wszystkiego, co przez krótki czas niespełna dwóch lat zostało przez rząd Donalda Tuska zniszczone, innymi słowy – powrót do budowania Polski naszych marzeń. [...] Nasza ojczyzna potrzebuje rządu nastawionego na zaspokajanie potrzeb Polek i Polaków, zorientowanego prorozwojowo i służącego polskiemu interesowi narodowemu i polskiej racji stanu".

Celem konwencji PO, a także centralnym elementem filozofii Donalda Tuska jest „walka o prawdę", „przeciw złu", „przeciw kłamstwu, pogardzie i nienawiści". Nie jest to więc żaden program polityczny, lecz coś z pogranicza natrętnego moralizatorstwa i teologii pozbawionej odniesienia do Boga. Jest też wpadanie w horror z elementami sadomaso, kiedy premier i jego koledzy wchodzą na kolejne poziomy nienawiści do PiS. Gdy Donald Tusk twierdzi: „Mówmy prawdę. Przeciwstawiajmy się złu", sam siebie przenosi w świat groteski. Powszechnie jest postrzegany jako „człowiek, który w życiu słowa prawdy nie powiedział" (cytat z „Misia" Stanisława Barei). Jednocześnie pozostaje „jedną z najwybitniejszych w świecie demokratycznym osobowości politycznych, potrafiących w sposób perfekcyjny mobilizować najniższe instynkty ludu. Czynić zbiorowość ludzką, w której istnieją odruchy pozytywne, odruchy dobroci, szlachetności, gorszą" (słowa wyjątkowego eksperta od Tuska – Jana Rokity). „To my głośno powiedzieliśmy, że jesteśmy gotowi zerwać kurtynę kłamstw, obłudy i hipokryzji" – wzmógł się Donald Tusk, powszechnie łączony z kłamstwem, obłudą i hipokryzją.

Tusk od kilku lat – z przyspieszeniem w 2025 r. – powiela, a właściwie parodiuje kolejne pomysły Jarosława Kaczyńskiego. Kiedy kilka miesięcy temu prezes PiS zaczął konsolidować prawicę, przewodniczący Tusk zaczął z opóźnieniem robić to samo. Oprócz powielania pomysłów u premiera dochodzi jeszcze strach przed nową polityczną konkurencją. Tak to opisała Dominika Sitnicka z OKO.press: „Chodzi o inicjatywy miliarderów – w tym kontekście mówi się najczęściej o Arkadiuszu Musiu, a także o Rafale Brzosce. Powstać ma znowu coś, czego w polskiej polityce jeszcze nie było – liberalna partia, partia centrum". Ostatnie zdanie było oczywiście kpiną.

Tusk obawia się też tego, co się stanie z Polską 2050. W jego zamyśle zespolenie Nowoczesnej i Inicjatywy Polska z Platformą Obywatelską ewentualnie

eprasa.pl 93eeccb096

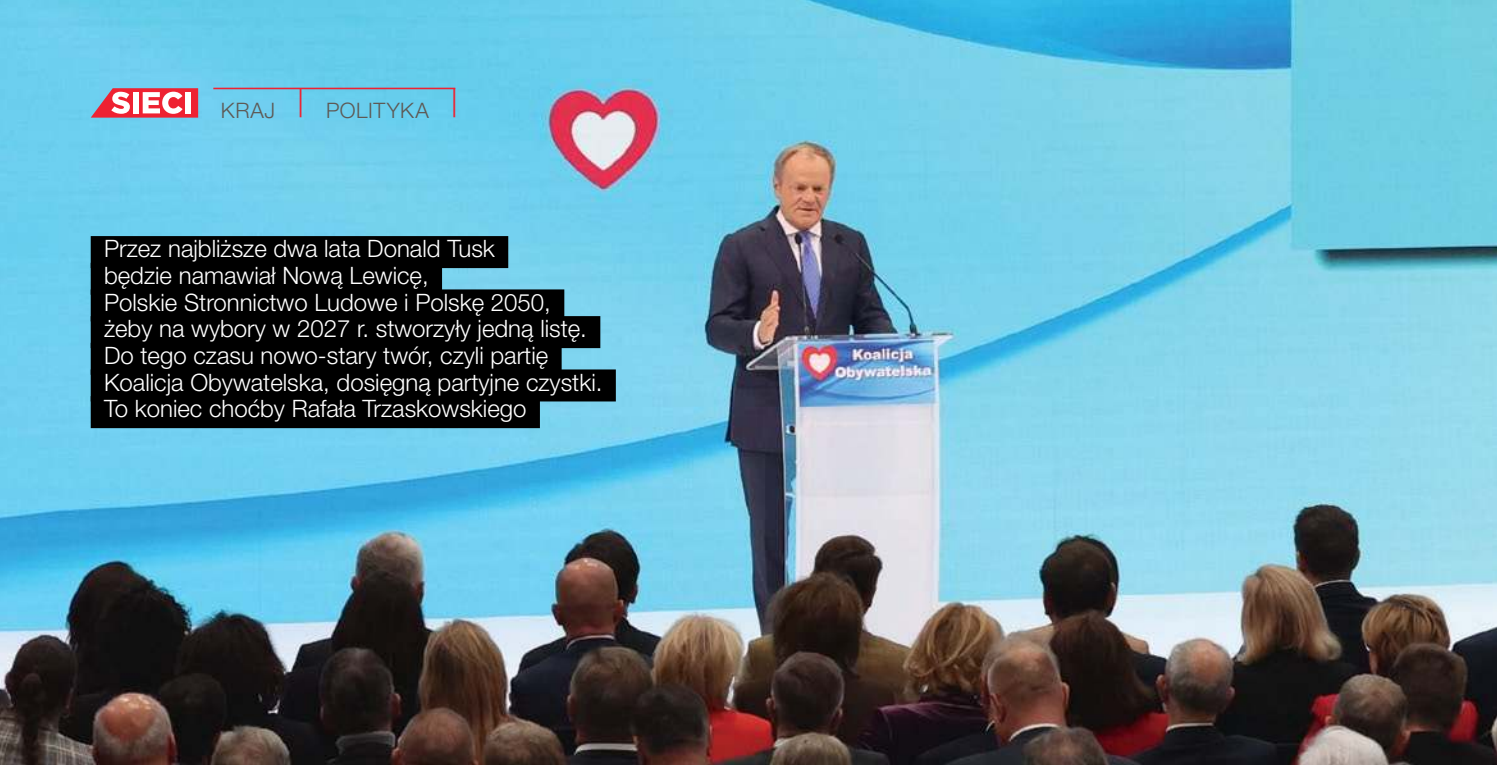

Przez najbliższe dwa lata Donald Tusk będzie namawiał Nową Lewicę, Polskie Stronnictwo Ludowe i Polskę 2050, żeby na wybory w 2027 r. stworzyły jedną listę. Do tego czasu nowo-stary twór, czyli partię Koalicja Obywatelska, dosięgną partyjne czystki. To koniec choćby Rafała Trzaskowskiego

przeszkodzi Polsce 2050 w dołączeniu do list KO na równych prawach i z odpowiednią pulą biorących miejsc.

UCZCIWY PODZIAŁ BOGACTWA

Podczas gdy Donald Tusk i jego partia nie interesują się Polską, Jarosław Kaczyński zajmuje się głównie tym, by „bogactwo całego narodu, całego państwa" było „uczciwie dzielone". „Ta średnia [stopa życiowa w Polsce] musi być na naprawdę zacnym poziomie" – mówił lider PiS. Zaznaczył, że „bogactwo narodu" musi być dzielone w taki sposób, by „ci, którym się gorzej w życiu powiodło, też mieli jakieś szanse, też mogli żyć godnie". Ogólnie niesprawiedliwość związana z podziałem bogactwa na świecie przyczynia się do „wielkiej zmiany", która właśnie się dokonuje. „To dlatego w Stanach wygrał Trump [...], dzięki temu wiele sił politycznych w Europie ma dzisiaj szansę na tę wielką zmianę. I my musimy się w tę wielką zmianę wpisać. Musimy być w wielu wypadkach jej inicjatorami" – apelował Jarosław Kaczyński. Były premier wyciągał wnioski dla Polski: „Europa musi być inna niż dziś", by nie była „przeżarta korupcją", „różnego rodzaju szalonymi ideologiami". „By była zjednoczona w ramach tego dużo większego zjednoczenia całej światowej demokracji w obronie przed ofensywą totalitaryzmu i autorytaryzmu. W obronie przeciwko agresji. Tej agresji, którą widzimy już dzisiaj w Polsce" – mówił prezes PiS. I dodawał, że „przeciwnik, nie mając żadnych oporów moralnych w żadnej sprawie [...], myśli, w jaki sposób utrzymać władzę. [...] Oni wiedzą, że utrata władzy będzie dla nich naprawdę bardzo poważnym nieszczęściem".

Prezes Kaczyński tak opisał cel kongresu w Katowicach: „Musimy doprowadzić do tego, by nasze społeczeństwo wiedziało, że głosując na Prawo i Sprawiedliwość i na tych wszystkich, którzy pójdą z nami w wyborach, głosują po prostu za tym, żeby Polska była w krótkim czasie silniejsza, bogatsza i w jakimś sensie mądrzejsza".

W czasie, gdy Jarosław Kaczyński planował dobrą przyszłość Polski, Donald Tusk „odlatywał": „Gdyby PiS ponownie objęło władzę, fortyfikacje, zapory dronowe, setki kamer oraz tysiące żołnierzy i funkcjonariuszy straży granicznej prawdopodobnie postawiliby na granicy Polski z resztą Europy. Ich głównym problemem i wrogiem są Unia Europejska, Niemcy i Francja". I popisywał się marnym dowcipem: „Czasem można pomyśleć: »Co on tam mówi?«. Może staruszkowi [młodzieniaszek Tusk ma 68 lat] coś się pomyliło w głowie, że widzi we Francji głównego wroga".

Kiepskie dowcipy premiera nie przykryją tego, że to Kaczyński wskazał na nowe zagrożenia, bo przecież przed Rosją ostrzega od dekad, a Tusk bratał się wtedy z Moskwą i Putinem. Te nowe zagrożenia to zastąpienie Unii Europejskiej superpaństwem, w którym decyzje dotyczące obronności, wojska, produkcji, zakupów i użycia broni będą podejmowane poza Polską. Zrealizowanie tego planu zmiany ustroju UE nie tylko zagraża Polsce, lecz także zachęca Putina do ataku na nasz kraj, gdy polskie władze będą pozbawione suwerenności w podejmowaniu kluczowych decyzji militarnych.

A Tusk uznał, że najważniejsze nie są kwestie programowe czy plan dla Polski, lecz przykrycie tego, że po 1989 r. nie było w naszym kraju bardziej prorosyjskiego premiera i lidera partii niż on.

RESTART KONTRA RESTAURACJA

O ile Kongres Programowy PiS był rodzajem politycznego „restartu", o tyle konwencja PO – restauracją, czyli dążeniem do tego, „żeby było tak, jak było". W przemówieniach prezesa Kaczyńskiego nie dominował przekaz negatywny, w wystąpieniu Tuska – był wyłącznie taki. Jarosław Kaczyński wskazał na kryzysy, które pilnie wymagają rozwiązania, przede wszystkim w ochronie zdrowia, mieszkalnictwie, w kwestiach bezpieczeństwa (militarnego, osobistego, socjalnego) czy rynku pracy (rośnie bezrobocie). Polacy po raz kolejny dostali wiadomość, że Prawo i Sprawiedliwość ma program i potrafi go wdrażać.

Nawet krytycy przyznają, że po kongresie wiadomo, jaki jest pomysł PiS na Polskę, podczas gdy w przypadku KO – nic nie wiadomo. Rządząca partia jest kompletnie nieprzygotowana na kryzys „jeszcze nie do końca dostrzegany przez dużą część społeczeństwa", ale „nieunik-

eprasa.pl 93eeccb096

Prezes Kaczyński tak opisał cel kongresu w Katowicach: „Musimy doprowadzić do tego, by nasze społeczeństwo wiedziało, że głosując na Prawo i Sprawiedliwość i na tych wszystkich, którzy pójdą z nami w wyborach, głosują po prostu za tym, żeby Polska była w krótkim czasie silniejsza, bogatsza i w jakimś sensie mądrzejsza"

niony" – kryzys gospodarczy. Dopiero na tym tle prezes PiS wskazał na „kryzysy dotyczące przyszłości naszego państwa: jego być albo nie być, istnienia albo nieistnienia. Są nimi te wszystkie plany Unii Europejskiej, plany Brukseli i Berlina, by dokonać takiej zmiany sytuacji w Europie: w wymiarze prawnym i politycznym, by w istocie wszystkie państwa w wysokim stopniu przestały istnieć, przestały być suwerenne".

Nawet Agata Kondzińska w „Gazecie Wyborczej" (26 października 2025 r.) zauważyła: „Jarosław Kaczyński, wczytany w badania, wskazał kierunek nowego programu partii. Upomniał się o rozwiązania w dziedzinach, które od dawna są na podium priorytetów Polaków: ochronę zdrowia, bezpieczeństwo i drożyznę. Te trzy filary mają być podstawą programową, z którą PiS za dwa lata pójdzie do wyborów. Wróciło też hasło z lat poprzednich o Polsce solidarnej. I obietnica, że bogactwo całego narodu powinno być uczciwie dzielone". Kondzińska właściwie ośmieszyła opowieści Tuska o orientacji PiS na Wschód: „Geopolitycznie Kaczyński widzi Polskę w doktrynie prezydenta USA Donalda Trumpa. »To propozycja zorganizowania państw demokratycznych w wymiarze światowym, by była to swego rodzaju demokracja zbrojna. Każde z tych państw musi wydawać 5 proc. PKB na obronę« – mówił". Ośmieszyła też Tuska w kwestii „sojuszu północnego": „Kaczyński wskazuje, gdzie Polska ma szukać nowych sojuszy. A mają to być kraje na północny wschód od nas, nadbałtyckie, ale też kraje skandynawskie".

Dla Tuska, regularnie łamiącego konstytucję, w ogóle nie istnieje „moment konstytucyjny". „Ten moment, w którym chodzono w koszulkach z napisem »Konstytucja«, to nie był moment konstytucyjny. To był moment pewnej bezradności wobec tego, że ktoś utracił władzę i próbował pozaprawnymi środkami tę władzę w jakiś sposób uzyskać" – mówiła w Katowicach Julia Przyłębska, była prezes Trybunału Konstytucyjnego.

PARTIA JAK BOJÓWKA

Likwidując funkcjonującą od 24 lat Platformę Obywatelską, Donald Tusk uciekł od rozliczeń jej „wyczynów". I udaje, że wszystko zaczyna się od nowa, co jest groteską. Podobnie jak groteską była podmiotowość Nowoczesnej i Inicjatywy Polska: ani ich liderzy, ani one w całości nie brały udziału w żadnej strategicznej decyzji, nie miały nic do powiedzenia w najważniejszych sprawach.

Przez najbliższe dwa lata Tusk będzie namawiał Nową Lewicę, Polskie Stronnictwo Ludowe i Polskę 2050, żeby na wybory w 2027 r. stworzyły jedną listę. Do tego czasu nowo-stary twór, czyli partię Koalicja Obywatelska, dosięgną partyjne czystki. W PO Tusk miał 10 zastępców, a w partii Koalicja Obywatelska chce i musi zrobić wiceprzewodniczącymi Barbarę Nowacką oraz Adama Szłapkę. Ale – jak twierdzą ludzie z jego otoczenia – nie chce, żeby zastępcami cały czas byli Borys Budka, Małgorzata Kidawa-Błońska, Ewa Kopacz, Izabela Leszczyna, Dorota Niedziela, Marzena Okła-Drewnowicz, Tomasz Siemoniak i Rafał Trzaskowski. Ze starego składu mają pozostać tylko Bartosz Arłukowicz i Cezary Tomczyk.

Wedle różnych plotek wiceprzewodniczących ma być 12 i w tym kontekście wymienia się nazwiska Krzysztofa Brejzy, Andrzeja Domańskiego, Romana Giertycha, Patryka Jaskulskiego, Marcina Kierwińskiego, Katarzyny Kierzek-Koperskiej, Roberta Kropiwnickiego i Radosława Sikorskiego. Kierwiński przestałby piastować funkcję sekretarza generalnego, a jego miejsce zająłby Tomczyk lub Kropiwnicki.

Degradacja Trzaskowskiego i awans Sikorskiego mają przypieczętować rozliczenie prezydenta Warszawy za podwójnie przegrane wybory prezydenckie i ostateczne odsunąć go na boczny tor, a także pomóc w wykreowaniu Sikorskiego na kandydata na prezydenta w 2030 r.

Nowi wiceprzewodniczący mają być agresywni, zaczepni, wywoływać konflikty z opozycją i inicjować awantury podczas występów w mediach. Tusk chce też wymienić co najmniej połowę z dotychczasowego 130-osobowego zarządu krajowego PO.

A Prawo i Sprawiedliwość? Nie musi i nie chce robić ani czystek, ani zamieniać szyldu partii – jak to robi Tusk. PiS proponuje Polakom program, z którym chce iść na wybory.

eprasa.pl 93eeccb096

Gorycz i żal marszałka

Ani Szymon Hołownia, ani jego prawa ręka – słabo rozumiejący politykę dziennikarz Michał Kobosko – nie rozumieli własnej sytuacji, a zwłaszcza wydawali się nie pojmować tego, kim w polityce jest Donald Tusk

JAN ROKITA

Wymuszona dymisja Szymona Hołowni z urzędu marszałka Sejmu kończy epizod jego sprawczej obecności w polskiej polityce. To oczywiście nie znaczy, że nie tak dawna telewizyjna „gwiazda" całkiem zniknie z polskiej polityki. Czasem takie cienie przegranych partyjnych ojców założycieli przez długi czas pętają się jeszcze gdzieś na peryferiach polityki, czego dobrymi przykładami są Marek Borowski, Ryszard Petru czy Paweł Kukiz. Wykonanie wyroku zostało odroczone do 13 listopada, ale niezależnie od tego, czy wtedy akurat nastąpi, i tak nie będzie to wydarzenie polityczne, lecz proceduralna formalność.

Wszyscy wiedzą, że Hołownia jest już po wyroku i przebywa w miejscu, które można by nazwać „celą politycznej śmierci". I na dodatek jest wulgarnie znieważany przez figury raczej niegodne szacunku, jak wściekłe feministki z tytułami profesorskimi.

Rzecz jasna taki czas to dla polityka najgorszy okres w jego publicznym

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 93eeccb096

życiu. Z ludzkiego punktu widzenia nie jest to zatem dobry moment na wypominanie na wpół już zdymisjonowanemu marszałkowi – co tu dużo mówić – licznych błędów, jakie popełnił w ciągu sześciu lat swojej kariery. Niemniej w stosunkowo krótkiej politycznej historii Szymona Hołowni są co najmniej dwa takie wątki, które wymagają tego, aby baczniej się im przyjrzeć, bo – tak przynajmniej sądzę – daleko wykraczają poza samą kwestię tej indywidualnej porażki. A zdaje mi się, że nawet dotyczą istoty sztuki politycznej jako takiej.

NIEWYKORZYSTANA SIŁA

Te dwa wątki to po pierwsze – kwestia gospodarowania przez polityka chwilami własnej siły i słabości, a po drugie – pytanie, czy faktycznie skuteczny polityk nie może mieć własnych poglądów.

Na wątek pierwszy zwrócił pokrótce uwagę redaktor Piotr Zaremba w analizie opublikowanej na łamach dziennika „Rzeczpospolita". Napisał, że Hołownia „naprawdę byłby trzecią drogą", tak jak sobie wymarzył i zaplanował, gdyby „podyktował antypisowskiej koalicji warunki wtedy, kiedy miał realną siłę".

Pamiętam dobrze, że w sumie nie aż tak dawno był czas, kiedy partia z nazwiskiem Hołowni w nazwie realnie rywalizowała o prymat z Platformą Tuska, jej założyciel był gwiazdą Facebooka, Twittera, Instagrama i YouTube'a, a wedle badań CBOS za swego politycznego przywódcę uważało go 60 proc. najmłodszych wyborców, 66 proc. najbogatszych i 60 proc. antyreligijnych. Wielu było przekonanych, że „postępowa Polska" ma w końcu nowoczesnego lidera.

Kiedy nadeszły wybory parlamentarne 2023 r., okazały się apogeum politycznych możliwości Hołowni. Nie dlatego, że właśnie wtedy brał – wydawało się pasujący do niego jak ulał – urząd marszałka Sejmu, ale z tego powodu, że mógł w tamtym czasie zażądać dla państwa polskiego – jak i dla swej partii – czego tylko dusza zapragnie. Bez niego Donald Tusk zostałby przecież już wówczas kompletnym politycznym bankrutem.

Rzecz w tym, że Hołownia nie zażądał niczego, co z perspektywy czasu musi budzić zdumienie. A politycznym sztandarem jego partii stał się nagle jakiś dwuznaczny projekt obniżki składki zdrowotnej, który nie wiadomo komu i czemu miał służyć w warunkach walącej się służby zdrowia i nadciągającego kryzysu budżetowego. Najważniejsze zaś, że nie pojawił się wtedy żaden istotny warunek polityczny, który ograniczyłby niebezpieczną samowolę Tuska. Niestety ówczesne polityczne diagnozy Hołowni – stawiane już wcześniej, ale mające konsekwencje po wyborach 2023 r. – prezentowały mniej więcej taką oto jakość: „W samym środku ratowania domu przed rabusiem przyszedł Kaczyński i dodatkowo ten dom podpalił. To jest zbrodnia stanu. Trudno się na to nie wkurwić".

> Byłoby naiwnością sądzić, iż tiktokowa metoda uprawiania polityki wychodzi z mody. Tak dobrze oczywiście nie jest, ale lekcja Hołowni unaocznia, iż pozostaje to metoda niepewna i mająca swoje wyraźne ograniczenia

Nic więc dziwnego, że z taką diagnozą polskiej polityki Hołownia natychmiast po objęciu urzędu marszałka Sejmu stał się gadatliwą lalką w ręku przebiegłego premiera, który coraz wyraźniej pogardzał gadulstwem i naiwnością swojego rzekomego partnera.

Ani sam Hołownia, ani jego prawa ręka – słabo rozumiejący politykę dziennikarz Michał Kobosko – nie rozumieli własnej sytuacji, a zwłaszcza wydawali się nie pojmować tego, kim w polityce jest Donald Tusk.

Zwłaszcza to ostatnie jest dziwne, bo o ile na początku XXI w. Tusk mógł robić wrażenie miłego z natury człowieka, który zamiast o polityce mówi głównie o miłości i swoim „serdecznym" stosunku do świata, o tyle w 2023 r. o jego sposobie działania w polityce – pełnym podstępów, zasadzek i intryg personalnych – publicznie było wiadomo już wszystko.

Najwyraźniej Hołownia nie zdawał sobie sprawy, że czeka go ponury los, jeśli nie wykorzysta chwili swojej politycznej przewagi, aby zbudować podmiotowość własną i swego stronnictwa wobec Tuska. Ani nie stworzył zapory dla absurdalnej i rozkładającej państwo wendety nowej władzy na poprzednikach, ani nie zagwarantował sobie tego, iżby Tusk musiał przystać na prezydencką kandydaturę Hołowni w imieniu całego nowego obozu i władzy. A jedno i drugie było wówczas w zasięgu jego możliwości.

Własna siła tak dalece oczarowała politycznego nowicjusza, że zapewne nie zdawał sobie sprawy, iż to stan krótki i nietrwały. A jeśli go dobrze nie wykorzysta, to w konfrontacji z doświadczonym politycznym żarłaczem za chwilę będzie bez szans. Paradoks postępowania Hołowni polega na tym, że dopiero kiedy gwałtownie osłabł, zorientował się, iż tak dalece zaprzągł się do Tuskowego rydwanu, że zarówno on sam, jak i jego stronnictwo przestają cokolwiek znaczyć w polskiej polityce. I dopiero wtedy zaczął wierzgać, wywołując irytację i gniew Tuska. Tajne spotkania z Jarosławem Kaczyńskim, słynna teza o planowanym „zamachu stanu" przy okazji wyboru Karola Nawrockiego na prezydenta, wreszcie kilka spektakularnych głosowań sejmowych, wśród nich zwłaszcza to w sprawie przywrócenia pierwotnego projektu CPK.

Rzecz tylko w tym, iż ktoś, kto – kiedy miał siłę – bezwarunkowo wprzągł się w rydwan Tuska, a kiedy osłabł, nagle zaczął wierzgać, musiał tylko przyspieszyć w ten sposób własną katastrofę. Cała ta nowa sytuacja musiała wydać się niezrozumiała i absurdalna nie tylko dla osłupiałych wyborców Polski 2050,

eprasa.pl 93eeccb096

których Hołownia przekonał, że ich misją jest wierna służba Tuskowi i odwet na Kaczyńskim, lecz także dla aktywistów i posłów jego stronnictwa. Stąd wzięły się dezercje posłów, którzy woleli dalej służyć premierowi, niźli ginąć razem z Hołownią, gwałtowny i definitywny zjazd w sondażach oraz – last but not least – zaciekła nienawiść i plugawe wyzwiska, miotane pod adresem Hołowni zarówno przez antypisowskich rewanżystów, jak i fanatyczne feministki oraz ślepych wyznawców Tuska.

A sam Hołownia zaczął się zachowywać tak, jakby bał się już własnego cienia: robił krok do przodu i zaraz potem chciał sprawić wrażenie, jakby chciał zań przeprosić, bo to przecież tylko jakieś nieporozumienie. Tak było choćby z jego nieoczekiwaną zapowiedzią na konferencji prasowej, iż jego partia może nie poprzeć wniosku o wotum zaufania dla rządu Tuska. A także przy głosowaniu nad CPK, po którym Hołownia, wystraszony złymi pomrukami premiera, tłumaczył się jakimiś oczywiście nonsensownymi wyjaśnieniami.

To wszystko naprawdę nie było trudne do przewidzenia. A wzięło się tylko z tego, iż polityczny nowicjusz Szymon Hołownia i jego mało politycznie rozgarnięci doradcy nie tylko nie wiedzieli, jak wykorzystać niezwykłą, choć krótką chwilę własnej politycznej potęgi, lecz także ze zdumiewającą naiwnością zbyt późno poznali się na politycznej naturze żarłacza Tuska.

Tymczasem nieumiejętność gospodarowania momentami własnej politycznej siły i słabości należy do kategorii podstawowych kwalifikacji polityka – zwłaszcza w dzisiejszych realiach, gdy polityczna walka mocno się zbrutalizowała. Hołownia z zapałem ciągnął cudzy rydwan, kiedy był silny, a zaczął wierzgać, kiedy wyraźnie opadł z sił. Jedno i drugie było oczywiście sprzeczne z twardymi regułami sztuki politycznej.

TIKTOKOWA POLITYKA

W historii Hołowni jest jeszcze drugi wątek, ciekawy dlatego, iż być może unaocznia pewną ewolucję, jakiej podlega polska polityka.

Ów showman i „gwiazda" telewizyjna przyszedł do polityki sześć lat temu z wyraźnym, choć nigdy niewypowiedzianym wprost przesłaniem, iż wszelkie idee albo przekonania – jeśliby miały być traktowane serio – są już tylko politycznym anachronizmem. Polska 2050 została przecież powołana z premedytacją jako twór czystego PR, który za pomocą popkulturowej i nachalnej reklamy miał wejść na rynek niczym jakaś maskotka Labubu ukryta w „blind boksie", stająca się ostatnimi czasy obiektem kompulsywnych, masowych zakupów. Kupujesz, bo wszyscy znajomi z TikToka i Instagrama już ją mają, a influencerzy, którzy są twoimi autorytetami, natarczywie upowszechniają reklamowe hasztagi. I płacisz właśnie za ów „blind box", czyli właśnie za to, aby z góry nie wiedzieć, co w istocie kupujesz w tajemnym pudełku.

Eksperyment Hołowni miał sprawdzić, czy w Polsce jest możliwe wylansowanie lidera politycznego i stworzenie partii, która chce być „wszystkim dla wszystkich". Lansowana retoryka „trzeciej drogi" nie była w istocie żadną trzecią drogą, skoro Polska 2050 od początku stała się narzędziem Tuska do rozprawy z prawicą. W tej materii Hołownia otrzeźwiał dopiero wtedy, kiedy zorientował się, iż na koniec – jako marszałek Sejmu – ma jeszcze zagrać rolę głównego egzekutora antyprezydenckiego spisku, który sam określił mianem „próby zamachu stanu".

Jednak czym innym jest rzeczywistość, a czym innym – strategia reklamowa. W tej ostatniej Hołownia miał się unosić ponad zwaśnionymi stronami polskiego konfliktu, zyskując nie tyle prawdziwych politycznych zwolenników, ile raczej zauroczonych „gwiazdą" fanów, dziś gotowych „wpaść w rozpacz", że ich idol musi zrezygnować z udziału w „Tańcu z gwiazdami", ale jutro skłonnych przeklinać go, bo śmiał się spotykać z Kaczyńskim. Dla autentycznego twardego elektoratu jakiejś partii nie byłby to żaden problem, dlatego Tusk – gdyby tego chciał – mógłby spokojnie co drugi dzień gadać z Kaczyńskim. Ale Hołownia nigdy nie miał i nie mógł mieć twardego elektoratu, bo jego nowatorską ideą polityczną było właśnie to, aby zdobyć władzę nie dzięki zwolennikom, lecz fanom.

Jak wiadomo, to się nie udało. I to jest akurat dobra wiadomość na temat polskiej polityki. Co prawda byłoby naiwnością sądzić, iż tiktokowa metoda uprawiania polityki w ogóle wychodzi z mody. Tak dobrze oczywiście nie jest, ale lekcja Hołowni unaocznia, iż pozostaje to metoda niepewna i mająca swoje wyraźne ograniczenia.

Jej podstawową wadą jest absolutna zależność od kapryśnych trendów lansowanych przez influencerów – na tak zbudowanej polityce nie można zatem być pewnym ani dnia, ani godziny. Wystarczy żart, tweet, gest albo spotkanie, które się nie spodoba, i cała długa praca nad zbudowaniem politycznego wizerunku leży w gruzach. To zresztą żadne odkrycie – zdaje się, że lepiej od polityków próbujących w ten sposób budować karierę, wiedzą o tym najrozmaitsze „gwiazdy" i „gwiazdki", które niemal z dnia na dzień doświadczają skrajnego uwielbienia i brutalnego hejtu. Taki los spotkał także naszą rodzimą polityczną „gwiazdę", która przegapiła krótką chwilę swojego uwielbienia.

Hołownia popadł teraz w skrajną gorycz i żal. Jego list skierowany do zwolenników – a w zasadzie do wszystkich obywateli – jest wyjątkowym świadectwem głębi politycznego rozczarowania odchodzącego marszałka Sejmu. Hołownia pisze w nim: „Zabijajcie się jak chcecie, plujcie jadem, traćcie czas – beze mnie". I zawiadamia, że chce się przenieść do Ameryki na świetnie płatną, ale pozbawioną wszelkiego znaczenia posadę międzynarodowego urzędnika. Smutny to widok i jeszcze raz – infantylne postępowanie. Hołownia udaje, że nie tylko nigdy dotąd nie wiedział, jak wygląda dzisiejsza demokratyczna polityka, lecz jeszcze teraz, kiedy w polityce już wszystko przegrał, nadal chce sprawiać wrażenie, iż nie brał udziału w żadnej brudnej grze, że przez sześć lat unosił się nad całym tym – tak paskudnym jego zdaniem – światem. I prawdę mówiąc, trudno rozstrzygnąć, czy marszałek Szymon Hołownia jeszcze raz chce nas zwieść swym ostatnim chwytem reklamowym, czy też w istocie – niczym obrażone na świat dziecko – chce zwieść także samego siebie.

eprasa.pl 93eeccb096

Książę i żebrak

W wykorzystywaniu ludzkiej naiwności, a niekiedy zwykłej głupoty, Janusz Palikot okazał się mistrzem. Kim jest człowiek, który splugawił polską politykę?

KONRAD KOŁODZIEJSKI

„Ja, Janusz Palikot, nie mam zupełnie pieniędzy" – twierdzi były polityk w krótkim filmiku, który obiegł niedawno polski internet. „Nikt w to nie wierzy. Każdy myśli, że – jak każdy w mojej sytuacji – gdzieś schowałem sobie te pieniądze i mam z czego żyć. A nie mam" – zarzeka się. Palikot nazwał swoje położenie „jedną z najbardziej paradoksalnych sytuacji", o której „nigdy nie mógł myśleć, że się zdarzy", i poprosił widzów o wsparcie finansowe.

To już kolejny raz, gdy Palikot żebrze o pieniądze. Poprzednio były mu one potrzebne na rozkręcenie nowego biznesu alkoholowego, ale miliony złotych, które udało mu się wyciągnąć od ludzi, przepadły z kretesem. Przedsięwzięcie skończyło się postawieniem mu zarzutów oszustwa oraz przywłaszczenia mienia. Ostatecznie Palikot wylądował na cztery miesiące w więzieniu, które opuścił w styczniu po wpłaceniu kaucji w wysokości 2 mln zł.

Teraz żali się, że stracił wszystko: dom, samochód, meble, obrazy. „Nawet żona mnie opuściła" – próbuje wzbudzać litość. „Ale niektórym to nie wystarcza, trzeba byłoby, abym chodził nago i nie miał nic" – skarży się. Nonszalancji Palikotowi najwyraźniej nie brakuje. „Bezrozumna agresja i brak tolerancji wobec kogoś, komu się nie udało i kto ma prawo wrócić do normalnego funkcjonowania, jest niepojęta" – oburza się w internecie. Mówi to człowiek, który nie tylko wpakował swoich donatorów w straty finansowe, lecz także przez wiele lat żerował na najniższych instynktach, kompletnie plugawiąc w ten sposób polską politykę. Dziś – niczym niewinna panienka – dziwi się, że niektórzy „w swoim zacietrzewieniu" mu nie wierzą i go hejtują. A on przecież nikomu nie wyrządził żadnej krzywdy. Przeciwnie – to jego zaszczuto.

Fot. Aliaksandr Valodzin/East News

eprasa.pl 93eeccb096

ŻYCIOWE MOTTO

Na jednym z portali internetowych pojawiła się niedawno sonda z pytaniem: „Czy wierzysz Palikotowi?". I choć portal należy do tych liberalnych, jego czytelnicy w przytłaczającej większości (81 proc.) wybrali odpowiedź: „Nie wierzę". Nie jest to oczywiście miarodajne badanie opinii publicznej, ale tak jednoznaczne wyniki dają pewne rozeznanie.

Palikot mocno sobie zapracował na taką opinię. Cały jego życiorys – od chwili, w której stał się osobą publiczną – to cyniczna gra na ludzkich emocjach i ułomnościach. W 2008 r. ówczesna reporterka „Rzeczpospolitej" Maja Narbutt rozmawiała z ludźmi, którzy znali Palikota w czasach, gdy studiował filozofię na Uniwersytecie Warszawskim. „Ożenię się z dziewczyną bogatą, ładną i głupią" – miał mówić swoim kolegom Palikot. Z tego cytatu można wyczytać motto życiowe autora: będę budował swoją pozycję na ludzkiej ciemnocie.

Być może właśnie tym mottem należy tłumaczyć karierę polityczną Palikota: najpierw w PO, a potem we własnej formacji, gdy zgromadził wokół siebie najbardziej prymitywny i sekciarski elektorat – protoplastów dzisiejszych ośmiogwiazdkowców. A potem, gdy tenże elektorat odpłynął w stronę Tuska, skutecznie upozował się na biznesmena intelektualistę, co przyciągnęło licznych celebrytów i zwykłych frajerów gotowych przekazać całkiem spore pieniądze na jego ryzykowne interesy. W wykorzystywaniu ludzkiej naiwności, a niekiedy zwykłej głupoty, Palikot był naprawdę dobry.

NAGŁY ZWROT

Być może dlatego Palikot – pozbawiony poglądów cynik – ok. 2007 r. stał się wojującym liberałem. Po prostu po prawej stronie nie miał wzięcia. No i oczywiście nigdy nie było tam wystarczająco dużych pieniędzy.

Choć trzeba przyznać, że początkowo próbował pozycjonować się jako konserwatysta. Do 2006 r. wydawał – podobno za namową dominikanina Macieja Zięby – tygodnik „Ozon", nazywany wówczas przez „Gazetę Wyborczą" „pismem skrajnie prawicowym", oraz wspierał finansowo Diecezjalny Fundusz Stypendialny w Lublinie. Mało kto pamięta, że w tamtych czasach domagał się zaostrzenia kar za posiadanie narkotyków, uważał krzyż za symbol narodowy, a składając przysięgę poselską w 2005 r., zakończył ją słowami: „Tak mi dopomóż Bóg". Ochrzcił też swoje dzieci z pierwszego małżeństwa.

Potem – gdy zorientował się, że znacznie lepsze frukta znajdzie w przejmującym władzę obozie Tuska – dokonał ostentacyjnego zwrotu i nagle stał się radykalnym postępowcem. Początkowo musiał się mocno bić w piersi i tłumaczyć z „prawicowej" przeszłości. Zapewniał, że od 16. roku życia jest niewierzący (co zapewne jest prawdą), a w wielu kwestiach się mylił. Swoją przysięgę poselską skwitował stwierdzeniem, że zwrot: „Tak mi dopomóż Bóg" jest czysto rytualny i znaczy dla niego tyle samo co „dzień dobry".

Obóz liberalno-lewicowy, do którego Palikot chciał przystąpić, a być może nawet mu przewodzić, spoglądał na niego z nieufnością. Wypominano mu m.in. okładkę „Ozonu" z napisem: „Zakaz pedałowania". W odpowiedzi świeżo upieczony polityk stał się wielkim entuzjastą LGBT+. Dumnie paradował w koszulce z napisem „Jestem gejem", a później wypromował w swojej partii takie osoby, jak Robert Biedroń czy Anna Grodzka. Trudno uwierzyć w to, że aktywiści LGBT+ wzięli to wszystko za dobrą monetę. Bardziej prawdopodobne, że byli takimi samymi cynikami jak Palikot – skoro ten postanowił zbudować swoją pozycję na tęczowej platformie, to oni również na nią wskoczyli.

SZAFARZ HEJTU

Pełna przemiana w antyklerykalnego liberała nastąpiła wtedy, gdy Palikot budował własny ruch. Wcześniej jednak musiał się uwiarygodnić w Platformie. Trafnie wyczuwając obsesję Tuska, przeistoczył się w pozbawionego hamulców antypisowca. Wiedział, że szef rządu to doceni. I rzeczywiście, Tusk to docenił, wykorzystując Palikota w roli prowokatora.

Działo się to w czasach, gdy premierowi niezręcznie było zbyt brutalnie atakować opozycję oraz ówczesnego prezydenta Lecha Kaczyńskiego. Tusk próbował wówczas uchodzić za polityka zrównoważonego i zdolnego do kompromisów (choć w rzeczywistości nigdy tak nie było). W tej sytuacji Palikot miał być kijem, którym Tusk uderzał w klatkę i drażnił drugą stronę.

Z tej roli Palikot wywiązywał się wyjątkowo gorliwie. Sugerował alkoholizm Lecha Kaczyńskiego, jego brata – prezesa PiS – przyrównywał do Stalina i Hitlera, zarzucał mu „psychopatyczne skłonności", homoseksualizm, aż w końcu poszedł na całość, wygrażając (niby nie całkiem serio) Jarosławowi Kaczyńskiemu śmiercią („Zastrzelimy go, wypatroszymy i skórę wystawimy na sprzedaż w Europie").

Palikot jest współodpowiedzialny za rozpowszechnienie hejtu w polskim życiu politycznym i przekształcenie debaty publicznej w rynsztok. To jeden z twórców przemysłu pogardy oraz ojciec duchowy dzisiejszych ośmiogwiazdkowców.

Tusk nigdy głośno nie pochwalał Palikota, ale było jasne, że wiele mu zawdzięcza. Jedną z jego największych „zasług" okazała się zmiana nastrojów po Smoleńsku, zohydzenie żałobników i przedstawianie ich jako obłąkańców. To m.in. na tej fali najwyższy urząd w państwie objął Bronisław Komorowski, a wszelkie próby wyjaśniania katastrofy smoleńskiej udawało się zbyć jako obsesję żądnych zemsty wariatów.

Palikot opuścił wówczas Platformę i wykorzystując złą energię, którą wzbudził wśród ludzi, założył własny ruch. W jego szeregach znalazło się miejsce dla najbardziej aktywnych antypisowców, niekiedy ludzi opętanych nienawiścią do wszystkiego, co reprezentowała prawica. Dzięki swojej partii Palikot poczuł się bardziej podmiotowy na scenie politycznej, ale nadal odgrywał rolę pomagiera Tuska, bo udało mu się przejąć – dzięki nowemu szyldowi – grupę wyborców wiecznie poszukujących mitycznej „trzeciej drogi" i tym samym przeciągnąć ich głosy na stronę obozu antypisowskiego.

DRUGA MŁODOŚĆ

Polityczna rewolucja, jaka dokonała się w życiu Palikota, szła w parze z zawirowaniami w jego życiu osobistym. W 2005 r. polityk rozwiódł się ze swoją pierwszą żoną Marią Nowińską.

eprasa.pl 93eeccb096

„Długi, czerwony, ręcznie szyty płaszcz, egzemplarz Husserla pod pachą, a w teczce Dom Perignon. A był r. 1988!" – wspominała pierwsze spotkanie z Januszem Palikotem jego przyszła żona. Palikot był wtedy pracownikiem naukowym Instytutu Filozofii PAN i przymierzał się do pisania doktoratu o niemieckim filozofie Edmundzie Husserlu. Nigdy go jednak nie skończył.

Później obraz Palikota w oczach jego pierwszej żony nieco się zmienił. Nie mówiła już nic o szykownym płaszczu, wspominała za to, że był bez grosza i chodził w podartych trampkach.

Wszystko miało się zmienić po ślubie. Bogaty teść kupił młodej parze samochód, dał dom i pieniądze na rozkręcenie interesów.

Wtedy po raz pierwszy Palikot wszedł w biznes alkoholowy, uruchamiając spółkę Ambra, która szybko stała się potentatem na krajowym rynku wermutów i win musujących (należały do niej m.in. takie marki jak Cin-Cin, Dorato oraz Russkoje Igristoje). Później sprzedał firmę ze sporym zyskiem niemieckim inwestorom. Prawdziwy skok na kasę zrobił jednak, przejmując za zarobione pieniądze część majątku Polmosu Lublin, a potem prawa do produkcji wódki Żołądkowej Gorzkiej. W tym pierwszym przypadku wydał 16 mln zł, co – jak stwierdził NIK – było niekorzystną transakcją dla Skarbu Państwa. Palikot odpowiadał, że zarzuty mają charakter politycznej nagonki. W przyszłości tego rodzaju tłumaczenia okazały się stałą pozycją w jego repertuarze.

Sposób działania Palikota w biznesie był prosty. Szukanie okazji, zakup, rozkręcenie firmy i szybka sprzedaż. Tak było z Ambrą i tak się stało z Polmosem Lublin, którego akcje zostały wprowadzone na giełdę. Palikot sprzedał wtedy w ofercie publicznej milion akcji po 50 zł. Jego następnym celem był Polmos Białystok, ale tutaj noga mu się powinęła. Firmę kupił bowiem potentat wódczany CEDC. W tej sytuacji Palikot pozbył się reszty posiadanych akcji Polmosu Lublin, na czym miał zarobić ok. 90 mln zł.

Wycofanie się z rynku alkoholowego zbiegło się w czasie – chyba nieprzypadkowo – z początkiem politycznej aktywności Palikota. Być może liczył na to, że dzięki uzyskanym wpływom zdoła wrócić do interesów i pomnożyć zyski. Na razie miał pieniądze. Jego majątek szacowano na ponad 300 mln zł, co – jak się zdaje – mogło mu ułatwić karierę w PO.

W życiu osobistym Palikota także rozpoczął się kolejny rozdział. Jego pierwsza żona wspominała, że pewnego dnia przyszedł i oznajmił jej bezceremonialnie, że ma dwa tygodnie na wyprowadzkę i rozpoczęcie nowego życia. Rozwód był bardzo hałaśliwy, głównie z powodu oskarżeń żony, że Palikot nie chciał uczciwie podzielić się z nią majątkiem. „Niech wytłumaczy, co stało się z sumą 180 mln zł uzyskanych ze sprzedaży Polmosu Lublin" – apelowała Maria Nowińska w rozmowie z „Rzeczpospolitą". Jednak w tym czasie Palikot uciekł już w politykę i nie musiał się z niczego tłumaczyć swojej byłej żonie. Tym bardziej że wkrótce po rozwodzie poślubił dwanaście lat młodszą Monikę Kubat – projektantkę kostiumów do filmów i spektakli.

Palikot miał poznać swoją drugą żonę przez wpływowego polityka PO Pawła Grasia. Najwyraźniej przeżywał wtedy kryzys wieku średniego (miał 42 lata). To wtedy biegał po Sejmie z wibratorem, atakował Kościół, a w przerwach pomiędzy kolejnymi wybrykami epatował swoim życiem prywatnym. Ewidentnie przeżywał drugą młodość, być może chciał zaimponować swojej młodszej żonie, tyle że był to żałosny, często odpychający spektakl. Był to również początek jego końca, nie tylko w polityce.

STACZANIE SIĘ

Palikot się zużył w 2015 r., kiedy na fali zwycięstwa PiS nie dostał się do Sejmu i prawdopodobnie wyleciał z niego na zawsze. Polityka nie przyniosła mu spodziewanych profitów, a na domiar złego miał wypłukać się z dużej części swojego majątku. Tak przynajmniej wynikało z jego oświadczeń majątkowych. Szydzono wtedy z niego, że jest wyjątkowym utracjuszem, bo aby wyzerować swój dobytek, musiałby przez 10 lat wydawać 2,75 mln zł miesięcznie, co wydawało się mało prawdopodobne.

> Palikot – niczym niewinna panienka – dziwi się, że niektórzy mu nie wierzą i go hejtują. A on przecież nikomu nie wyrządził żadnej krzywdy. Uważa, że to jego zaszczuto

Wulgarny błazen, w jakiego wcielił się Palikot, przestał przyciągać uwagę, a jego najbardziej sfiksowani wyborcy uciekli pod skrzydła PO. Po dziesięciu latach aktywności Palikot pomógł zmienić polską politykę w cuchnące szambo, w którym Platforma nauczyła się świetnie pływać i już nie potrzebowała instruktora. W tej sytuacji były polityk postanowił wrócić do biznesu alkoholowego w nadziei, że uda mu się powtórzyć sukces sprzed lat.

Problem polegał na tym, że wszystko się zmieniło. Rynek był inny, a Palikot nie miał już bogatego teścia, dzięki któremu mógłby zainwestować. Poważni biznesmeni nie byli zainteresowani współpracą z nim (ciekawe, dlaczego?), zaczął szukać środków w kieszeniach zwykłych ludzi. Aby namówić ich do inwestowania w swoje „kraftowe" browary i destylarnie, związał się z celebrytami, aby ci dodawali wiarygodności przedsięwzięciu. Jednym z jego głównych wspólników stał się Kuba Wojewódzki. Jednak podrygi medialnego dziadersa na wiele się nie zdały. Interes, który przypominał piramidę finansową, zawalił się, a frajerzy, którzy zainwestowali w niego swoje środki, stracili je bezpowrotnie. Wśród nich musiało być chyba kilka wpływowych osób, bo tym razem Palikot nie wykpił się i trafił na cztery miesiące do więzienia. Jego sprawa jest w toku.

Od tamtej pory minął rok i Palikot znowu jest aktywny. Wyjaśnia, że biznes się nie powiódł, bo zorganizowano na niego nagonkę. Jest jednak przekonany, że odbije się od dna. Widocznie jego wiara w ludzką głupotę jest nienaruszalna.

eprasa.pl 93eeccb096

Cyfrowe uzależnienie niszczy młode pokolenie

DOROTA ŁOSIEWICZ

„Jeśli nie nauczymy młodych żyć bez ekranów, to ekrany nauczą ich żyć bez nas" – alarmował podczas kongresu PiS w Katowicach prof. Andrzej Zybertowicz. Pora na odważne decyzje, by ocalić młode pokolenie

„Bez odcięcia młodego pokolenia od smartfonów, nie będziemy mieli dla kogo reformować Polski" – te słowa prof. Andrzeja Zybertowicza powinny przywrócić w Polsce debatę o tym, jak głęboko nowoczesne technologie wniknęły w życie młodych ludzi. Socjolog, autor książek „Cyber kontra real" oraz „AI Eksploracja", przestrzegał, że smartfon stał się „narzędziem systemowego zatrucia umysłów" i dopóki nie ograniczymy jego wpływu, nie zdołamy wychować pokolenia zdolnego do odpowiedzialnego myślenia i działania.

ROZBITY UKŁAD DOPAMINOWY

Prof. Zybertowicz podkreślił, że nie mamy już do czynienia z pojedynczym zjawiskiem uzależnienia, lecz z masowym procesem destrukcji psychicznej. „Trwa proces zatrucia umysłów milionów ludzi na całym świecie, nie tylko w Polsce. W krajach, które to rozumieją, coraz powszechniej i coraz bardziej stanowczo zakazuje się używania smartfonów w szkołach. Wspierajcie proces zakazania jakiegokolwiek dostępu do smartfonów w szkołach" – apelował profesor. Wskazał, że ciągła ekspozycja na bodźce ekranowe rozbija ludzki układ dopaminowy, co w efekcie prowadzi do emocjonalnego wypalenia: „Analizy wykazały, że istnieje tzw. epidemia rozpaczy. Ciągłe przebodźcowanie dopaminowe poprzez kontakty z ekranowymi bodźcami powoduje podatność na depresję, próby samobójcze, ogromną ilość samookaleczeń, potrzeby konsultacji psychiatrycznych".

Analizy naukowe potwierdzają ostrzeżenia profesora. Brytyjskie badania obejmujące ponad 42 tys. młodych ludzi wykazały, że 23 proc. nastolatków ma objawy uzależnienia od smartfona – reagują lękiem, rozdrażnieniem i złością, gdy są odcięci od urządzenia. Naukowcy coraz częściej mówią o „uzależnieniu behawioralnym" podobnym do hazardu czy narkomanii, w którym mózg reaguje na każde powiadomienie wyrzutem dopaminy. Badanie z Finlandii wykazało, że u dzieci spędzających więcej czasu przed ekranami występuje większe ryzyko depresji i stresu, podczas gdy aktywność fizyczna działa ochronnie. Niepokojący jest też wpływ na sen – 45 proc. dzieci korzystających z urządzeń przed snem śpi zbyt krótko, a ponad 52 proc. zgłasza złą jakość snu. Sam fakt posiadania telefonu w pokoju dziecięcym zwiększa ryzyko bezsenności i senności w ciągu dnia. Światowa Organizacja Zdrowia (WHO) zaleca całkowity brak kontaktu z ekranami dla dzieci do 2. roku życia i maksymalnie 2 godziny dziennie dla młodzieży. Normy te są jednak powszechnie łamane.

Nie tylko zdrowie psychiczne, lecz także zdolność do koncentracji i nauki cierpią z powodu nadużywania urządzeń mobilnych. Badania cytowane przez „Rzeczpospolitą" pokazują, że dzieci używające technologii cyfrowych wieczorami i w nocy dramatycznie obniżają swoje wyniki edukacyjne. Zjawisko to dotyczy nawet uczniów wcześniej uznawanych za zdolnych. Smartfon rozprasza uwagę, utrudnia naukę pamięciową i osłabia zdolność do głębokiego myśle-

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 93eeccb096

nia. Z kolei badania Amerykańskiego Towarzystwa Medycznego ujawniły, że dzieci w wieku przedszkolnym, które korzystają z ekranów dłużej niż godzinę dziennie bez nadzoru rodziców, wykazują nieprawidłowości w rozwoju istoty białej mózgu, odpowiedzialnej za rozwój językowy i poznawczy. To oznacza, że nadmierna cyfryzacja dzieciństwa może skutkować trwałymi deficytami rozwojowymi.

EUROPA MÓWI „NIE" SMARTFONOM

Coraz więcej państw wdraża odważne decyzje, których domaga się również prof. Zybertowicz. W Francji już od 2018 r. obowiązuje zakaz używania smartfonów w szkołach podstawowych i średnich przez uczniów do 15 lat. Włochy, Grecja i Holandia wprowadziły podobne ograniczenia, zezwalając na użycie urządzeń jedynie w celach edukacyjnych lub medycznych. Austria od maja 2025 r. zakazała korzystania z telefonów i smartwatchy przez uczniów do 14. roku życia. Węgry i Norwegia wprowadziły zakazy w 2024 r., a Finlandia dołączyła o tego grona w 2025 r., uznając, że jest to konieczne, by chronić koncentrację uczniów i przywrócić zdrowe relacje społeczne w szkole. Efekty? W Norwegii po kilku miesiącach zauważono poprawę relacji między uczniami, spadek przypadków cyberprzemocy i większe zaangażowanie w lekcjach.

POLSKA NA ROZSTAJU DRÓG

W Polsce temat zakazu używania smartfonów w szkołach powraca regularnie, ale nie doczekał się jeszcze spójnych regulacji ogólnokrajowych. Prof. Zybertowicz apeluje, by pójść śladem krajów zachodnich. „Bez odcięcia młodego pokolenia od smartfonów nie będziemy mieli dla kogo reformować Polski" – bije na alarm naukowiec. Jego zdaniem potrzebna jest odwaga polityczna i społeczna, by uznać, że technologiczna wolność dzieci powinna mieć swoje granice. Jak mówi, „cywilizacja ekranów" stała się środowiskiem, które wchłania uwagę, emocje i czas młodych ludzi, zostawiając ich samotnych i bezradnych wobec własnych emocji.

Temat ustawowego zakazu korzystania ze smartfonów wielokrotnie podnosił marszałek Sejmu Szymon Hołownia, a ostatnio taki postulat wystosowały do MEN związki zawodowe i Instytut Spraw Obywatelskich. „Szanowna Pani Minister, zwracamy się do Pani z apelem o wprowadzenie od 1 września 2025 r. powszechnego zakazu używania smartfonów, tabletów oraz innych urządzeń mobilnych (za wyjątkiem tych stricte przeznaczonych do realizacji zajęć edukacyjnych) w żłobkach, przedszkolach i szkołach podstawowych, zarówno publicznych, jak i prywatnych. Centralna, rządowa regulacja powinna obejmować dzieci, młodzież i personel placówek. Rekomendujemy wprowadzenie zakazu na okres próbny trzech lat. Jeśli późniejsza ewaluacja wykaże, że zakaz nie przyniósł założonych rezultatów, wówczas smartfony powrócą do szkół" – czytamy w piśmie.

Ten apel nie został jednak wysłuchany przez MEN, które wydaje się nie widzieć problemu, a ograniczenie prac domowych tylko pchnęło dzieci w świat cyfrowy. To nie pierwsza próba wprowadzenia zakazu używania smartfonów w szkołach. Gdy szefem MEN był Przemysław Czarnek, z taką petycją wystąpiło Centrum Życia i Rodziny. Wydaje się więc, że jest to jeden z niewielu postulatów, który może połączyć różne środowiska.

POLACY NA „TAK"

Chce tego także większość Polaków. Z badań przeprowadzonych przez CBOS w marcu 2025 r. wynika, że 73 proc. naszych rodaków popiera wprowadzenie zakazu korzystania ze smartfonów w szkołach. Przeciwnych jest 21 proc. respondentów, a 6 proc. nie ma zdania. Co istotne, 71 proc. badanych uważa, że wprowadzenie jednolitych zasad obowiązujących we wszystkich szkołach byłoby skuteczniejsze niż obecna, indywidualna polityka szkół. Szkolne regulacje dotyczące tej materii badała fundacja GrowSpace, która zebrała dane z 350 placówek: losowo wybranych szkół podstawowych, techników, liceów oraz szkół branżowych I stopnia z całej Polski. Okazało się, że na wprowadzenie zakazu zdecydowała się co druga z badanych szkół – zrobiło to 51,59 proc. placówek. Według danych zebranych przez fundację 89,42 proc. szkół w Polsce reguluje w swoich statutach kwestie korzystania z telefonów komórkowych. Niestety tylko w 15,08 proc. szkół funkcjonuje depozyt, do którego należy odłożyć telefony komórkowe po wejściu do szkoły. 32,01 proc. szkół zmieniało regulacje związane z korzystaniem z telefonów komórkowych w ciągu ostatnich trzech lat (2022–2024). 92,86 proc. szkół w ciągu ostatniego roku prowadziło działania związane z edukacją cyfrową skierowane do młodzieży.

Eksperci zalecają wprowadzenie jasnych zasad higieny cyfrowej: zakaz używania smartfonów w sypialniach, ograniczenie czasu przed ekranem do maks. 2 godzin dziennie, wspólne spędzanie czasu off-line – sport, czytanie, rozmowy, edukację cyfrową, która uczy rozpoznawania mechanizmów uzależnienia. Psychologowie przypominają, że dzieci nie potrzebują do rozwoju emocjonalnego technologii, ale bezpieczeństwa, relacji i granic. To rodzice i nauczyciele powinni pomóc im zrozumieć, że świat realny jest ważniejszy niż wirtualny.

KU KULTURZE REALNOŚCI

Prof. Zybertowicz, od lat analizujący relacje między technologią a społeczeństwem, zwraca uwagę, że nowoczesność nie może oznaczać rezygnacji z człowieczeństwa. W jego ujęciu walka o ograniczenie smartfonów to nie tylko kwestia zdrowia, lecz także warunek przetrwania kultury bazującej na refleksji i rozumie. „Musimy nauczyć się mówić »dość« technologii, która nami rządzi, zamiast nam służyć. Jeśli młode pokolenie zatraci zdolność skupienia i empatii, żadna reforma edukacji, żadna modernizacja gospodarki nie będzie miała sensu" – podsumował podczas kongresu PiS w Katowicach.

Dowody naukowe i społeczne są jednoznaczne. Smartfon, choć stanowi cud technologiczny, w rękach dziecka może być narzędziem autodestrukcji psychicznej. Jak zauważa prof. Zybertowicz, to nie demonizowanie postępu, lecz obrona człowieka. Jeśli nie nauczymy młodych żyć bez ekranów, to ekrany nauczą ich żyć bez nas.

eprasa.pl 93eeccb096

Dr Kontek w matni teorii spiskowych

Dr Krzysztof Kontek znów wypłynął. Tym razem na fali komentarzy na temat przebiegu XIX Konkursu Chopinowskiego. To człowiek mieszający metody badań statystycznych z manią spiskową. Udowodnił to, próbując nietrafnie podważać wyniki wyborów prezydenckich

MACIEJ WALASZCZYK

Co łączy Konkurs Chopinowski z ostatnimi wyborami prezydenckimi? Prosty fakt, że na wynik jednego i drugiego wpływa po prostu głosowanie. A kto łączy te oba wydarzenia? Nie kto inny, jak dr Krzysztof Kontek. Ten sam, którego teorie forsujące narrację o fałszerstwie i anomaliach dotyczących wyników wyborów prezydenckich zaraz po ich ogłoszeniu nagłaśniała „Gazeta Wyborcza", TVN i wiele innych mediów wspierających obecny obóz władzy. W czerwcu br. Krzysztof Kontek pojawił się wraz zapotrzebowaniem na podważenie niewygodnego dla nich wyniku głosowania.

ANOMALIE DR. KONTKA

Umknęło wówczas uwadze, że poza swoją aktywnością w mediach społecznościowych wystąpił on nawet na „spiskowym" kanale prowadzonym przez Jana Pińskiego, dawniej dziennikarza np. „Wprost", a nawet w pewnym momencie szefa Wiadomości TVP związanego z Romanem Giertychem. W ubiegłym tygodniu okazało się, że atakuje również obecnego ministra koordynatora specsłużb Tomasza Siemoniaka. W każdym razie w rozmowie na tym kanale dr Kontek nie tylko przekonywał do tego, że wybory prezydenckie w Polsce zostały sfałszowane przez opozycję. By się zaprezentować, podkreślił, że od kilku lat zajmuje się wyszukiwaniem fałszerstw podczas konkursów muzycznych, szczególnie takich, w których używa się systemów do głosowania.

„Pracuję z organizatorami konkursów muzycznych w różnych krajach i na różnych kontynentach, żeby nadzorować przebieg głosowania i wychwytywać takie oszustwa i pisać rekomendacje" – mówił o swojej pracy. Jak się okazuje, zajmował się głosowaniami w czasie amerykańskiego konkursu im. Fryderyka Chopina w Miami, a także na podobnych imprezach organizowanych w Tokio, Seulu, Katowicach i innych. „Mam własny aparat badawczy, metody, których nikt wcześniej nie wymyślił, i doświadczenie w ściganiu manipulujących jurorów" – mówi Kontek.

Dokładnie w taki sam sposób reklamował swoje metody obliczeniowe, gdy zdecydował się podważyć wynik wyborów prezydenckich, wyszukując anomalie. W przypadku konkursów muzycznych tłumaczył już kilka miesięcy temu, że choć jurorzy oceniający grę muzyków, w tym pianistów, mają różne gusta, wizje dotyczące wykonywania utworów i preferencje, to z ich zachowania w czasie głosowania można wychwycić „nienaturalne zachowanie", odbiegające od pewnej średniej, jaką da się zaobserwować. A gdy „znacząco odstają od reszty" – wyjaśnia Kontek – jest to dla niego sygnał, że ów juror być może manipuluje, nie zachowując standardów obiektywizmu przy ocenianiu. „Potrafię wychwycić, który juror oszukuje, choć nie ma znaczenia, jak ocenia. Był taki juror, który zwycięzcy Konkursu Chopinowskiego w 2010 r. dał najniższą ocenę. Okazało się potem, że nie cierpi się z profesorem uczącym tegoż laureata. Zawsze ktoś ma jakiś interes: chce pomóc, zaszkodzić" – tłumaczył dr Kontek. Mówi wprost, że aby ujawniać fałszerstwa, nie musi się znać

Autopromocja
Fot. TVN24/zrzut ekranu

eprasa.pl 93eeccb096

na muzyce czy polityce. „Wychwytuję anomalie, które wskazują na jakieś potencjalne oszustwo. W tym układzie jestem największym specjalistą w Polsce i na świecie od wykrywania takich manipulacji. Jestem ekspertem w tej dziedzinie" – mówił w rozmowie z Pińskim.

W czasie niedawno zakończonego XIX Konkursu Chopinowskiego nieoczekiwanie Kontek znów przemówił z łamów „Wyborczej", komentując kontrowersyjne werdykty jury używającego nowego systemu do oceniania. Ujawnił przy okazji, że Narodowy Instytut Fryderyka Chopina, który odpowiada za organizację tej najważniejszej imprezy pianistycznej w Polsce, na pewnym etapie miał nawet korzystać z jego usług w pracach nad nowym regulaminem. Ale chyba ktoś się zorientował, z kim ma do czynienia, więc współpracę zakończono. Z rozmowy wynikało też, że dr Kontek odpowiada również za system oceniania używany obecnie podczas konkurencyjnego do warszawskiego konkursu pianistycznego w Miami na Florydzie.

Do enuncjacji Kontka odniosła się Marzena Nykiel, redaktor naczelna portalu wPolityce.pl, a także wielu innych internautów oraz były minister kultury Piotr Gliński. Kontek postanowił odpowiedzieć redaktor Nykiel w niekulturalnym wpisie na swoim profilu na platformie X. Zamiast spokojnie wyjaśnić, że nie on jest autorem regulaminu tegorocznego Konkursu Chopinowskiego, wielokrotnie użył w swoich wyjaśnieniach obraźliwych sformułowań: „Gówno Pani wie", czy „Jest pani gównianym dziennikarzem". W reakcji na te słowa Nykiel zapowiedziała złożenie pozwu przeciwko Kontkowi.

Jeśli chodzi o Konkurs Chopinowski, główna zmiana dotyczyła rezygnacji z systemu, który obowiązywał podczas jego trzech poprzednich edycji. Polegał on na prostym głosowaniu „tak" lub „nie," a o przejściu do kolejnego etapu decydowała liczba zdobytych przez pianistów głosów na „tak". Jeśli wyniki były wyrównane, jurorzy mogli się ewentualnie wspierać dodatkowo przyznawanymi przez siebie punktami w skali 1–25, które precyzowały werdykt. Kontek wyjaśniał więc, że jurorzy narzekali, iż nie mogą wyrazić siły swoich preferencji dla kandydatów i werdykty były „podatne na anomalie". Teraz zastosowano system wyłącznie punktowy w skali od 1–25, a dodatkowo jurorzy nie mogli wystawiać ocen pianistom odpowiadającym opisanej w regulaminie kategorii „studenta", a więc własnym uczniom lub osobom pozostającym z nimi w pewnej relacji lub zależności. Jednak i tutaj Kontek doszukiwał się słabych stron, uznając, że i ta metoda oceniania jest podatna na manipulacje jurorów i ich „nieświadome błędy". A fakt, że regulamin przewiduje korektę ocen skrajnych – a więc właśnie takich, które na tle ogółu głosujących zdają się być anomaliami – uznał za „słaby bezpiecznik". W jego rozumieniu anomalie to nie tyle kontrowersyjne gusta i profesorskie preferencje rozmijające się z odczuciami np. publiczności, ile ujawniane fałszerstwa. Choć nie ma wątpliwości, że w przypadku werdyktów zapadających w Warszawie publika i krytycy zderzyli się z jakąś odmienną wizją pianistyki Chopina.

> Twierdzi, że wybory prezydenckie zostały w Polsce sfałszowane. Podkreśla, że zajmuje się także wyszukiwaniem fałszerstw podczas konkursów muzycznych. O fałszerstwo podejrzewa również Amerykanów, którzy jego zdaniem nie wylądowali na Księżycu

KIM JEST STATYSTYK?

Dr Kontek pieczołowicie dba o swój wizerunek, przedstawia się jako statystyk i ekonomista behawioralny, autor kilkudziesięciu cytowanych na świecie publikacji naukowych, m.in. na temat mechanizmów statystycznych ujawniających manipulacje. Chodzi tutaj właśnie o wspomniane już werdykty jury

eprasa.pl 93eeccb096

w konkursach muzycznych. Na swojej stronie pianista Kevin Kenner przyznaje się do wspólnej pracy z „polskim matematykiem" przy tworzeniu m.in. „nowej metody punktacji, która rozwiązuje poważne wady w ocenianiu", by zagwarantować uczciwość i transparentność dla wszystkich utalentowanych muzyków.

W doniesieniach mediów dr Kontek był przedstawiany także jako ekspert ds. statystyki, związany ze Szkołą Główną Handlową w Warszawie. Na początku lat 80. XX w. naukowiec ukończył studia inżynierskie na Wydziale Elektroniki Politechniki Warszawskiej. Potem przez kilka lat pracował w Narodowym Centrum Badań Jądrowych. W 2014 r. obronił doktorat na SGH na temat specjalizacji w podejmowaniu decyzji w warunkach ryzyka, a następnie przez kilka lat był związany z tamtejszą Katedrą Ekonomii Matematycznej.

Po tym, jak przeobraził się w eksperta kwestionującego wynik wyborów, SGH szybko się od niego odcięła, podkreślając, że „nie jest pracownikiem ani współpracownikiem", a dr hab. Tomasz Berent wprost oświadczył, że jego kalkulacje zostały arbitralnie skonstruowane pod tezę, sprowadzając metody statystyczne do absurdu. To samo zrobiło sprzyjające rządowej większości OKO.press, wykazując błędy i manipulacje, którymi się posłużył. Od jego metod natychmiast odcięli się doktorzy Mariusz Kozakiewicz, Bogusz Lewandowski, Michał Lewandowski i Paweł Kalczyński z SGH, krytykując zastosowaną przez Kontka metodę weryfikacji wyników wyborów. Chodziło o wybiórcze – a więc niesymetryczne – identyfikowanie anomalii, pomijanie specyfiki komisji wyborczych organizowanych w szpitalach, domach opieki i zakładach karnych czy w końcu porównywanie komisji o skrajnie różnej liczbie oddanych głosów. Jak napisali: „W krytykowanej publikacji anomalie identyfikowane są jedynie na korzyść jednego z kandydatów, a nigdy na korzyść drugiego".

NA FALI POLITYCZNYCH FRUSTRACJI

Wizyta w kanale internetowym Pińskiego z pewnością nie była przypadkiem. Choć Kontek podkreślał, że „nie jest powiązany z żadnym komitetem wyborczym, partią polityczną ani instytucją rządową", to nie kryje swoich poglądów i popiera rządy koalicji 13 grudnia. W mediach społecznościowych wielokrotnie wyrażał też swoje poparcie dla wszelkich ruchów opozycyjnych wobec ugrupowań prawicy, a rządów PiS w szczególności, m.in. KOD, mediów związanych z obecnym obozem rządzącym, które aktywnie lansowały jego teorię na temat sfałszowanych wyborów prezydenckich. To dzięki nim nikomu nieznany człowiek – jak się okazało, zajmujący się pracami jury podczas konkursów muzycznych, a w szczególności pianistycznych – przeistoczył się w rozpoznawalnego komentatora spraw publicznych.

> Kiedy dr Kontek zaczął kwestionować wynik wyborów, SGH oświadczyła, że „nie jest pracownikiem ani współpracownikiem", a dr hab. Tomasz Berent oświadczył, że jego kalkulacje zostały arbitralnie skonstruowane pod tezę, sprowadzając metody statystyczne do absurdu

Po kilku dniach od głosowania, gdy pojawiły się protokoły z obwodowych komisji wyborczych, najpierw opublikował coś w rodzaju raportu podsumowującego wyniki swoich obliczeń, a potem prezentował go w mediach, wzmacniając niepokój i frustrację wyborców rozczarowanych porażką Rafała Trzaskowskiego. Były to różnego rodzaju wykresy, na których starał się wykazać anomalie, tzn. wyniki w sposób skrajny odbiegające od średniej z danego regionu czy komisji między I a II turą głosowania. Potem jako autor analizy skorzystał z nieodpłatnej pomocy znanego adwokata Jacka Dubois, powszechnie wiązanego z obozem rządzącym i znajomością z Romanem Giertychem, ustanowił go swoim pełnomocnikiem i 16 czerwca br. złożył własny protest wyborczy do Sądu Najwyższego. Wyszedł z roli eksperta od nadużyć, stając się po prostu stroną postępowania wyborczego. Tak jak wielu wyborców za namową Silnych Razem chciał zbadania wskazanych przez niego anomalii.

Co ciekawe, wielu zawiedzionych wynikiem wyborów, na co dzień gardzących „foliarskimi" i „szurowskimi" teoriami spiskowymi, łyknęło – mówiąc kolokwialnie – narrację racjonalizującą klęskę Trzaskowskiego. A z pomocą insynuacji samego Donalda Tuska w pewnej chwili rozkręcona została spirala podejrzeń, frustracji i nienawiści. Wyliczeniami dr. Kontka posłużył się wtedy już były minister sprawiedliwości i prokurator generalny Adam Bodnar. Choć wynik wyborów został zatwierdzony przez PKW, prokuratura dokonała oględzin głosów z 250 komisji wyborczych. Po kilku tygodniach uznano, że fałszerstw nie było, stwierdzając jedynie różnego rodzaju nieprawidłowości. W części komisji część głosów oddanych na Trzaskowskiego błędnie przypisano Nawrockiemu, a w innych błędnie zaliczono je na korzyść Trzaskowskiego. Był to jednak wynik pomyłek, a na pewno nie na skutek realizacji systemowego fałszerstwa.

Mimo to dr Kontek przez długi czas nieustannie brnął w rozbudowę powyborczej teorii spisku, dokładając do niej kolejne wątki, np. tezę o tym, że Kalkulator Wyborczy PKW posiada „systemowe luki umożliwiające manipulowanie nim z zewnątrz".

Zresztą w tym samym czasie objawił się też jako zwolennik innej teorii spiskowej – mówiącej o tym, że Amerykanie nigdy nie wylądowali na Księżycu, a sceny pokazane podczas transmisji telewizyjnej zostały nakręcone przez twórcę „2001: Odysei Kosmicznej" Stanleya Kubricka.

eprasa.pl 93eeccb096

Eurostręczyciele

Rządy Holandii i Szwecji pompują pieniądze w organizacje, które udzielają grantów środowisku walczącemu w Polsce o liberalizację przepisów dotyczących prostytucji. Chodzi o przesunięcie kolejnej granicy i uczynienie z „pracy seksualnej" normalnego, społecznie akceptowanego zajęcia

ŁUKASZ WRÓBLEWSKI

„Praca seksualna nie jest pracą jak każda inna z prostego względu — żadna praca nie jest jak każda inna. Każda ma swoją specyfikę. Pracę seksualną wyróżnia to, że nie jest uznana za pracę w ogóle, przez co pracownicy i pracownice pozbawieni są wielu praw" – tłumaczyła w wywiadzie dla jesiennego wydania magazynu „Kontakt" Kola Kluczyk, przedstawiająca się jako „była seksworkerka" (rzecz przedrukował niezawodny Onet). „Do tego dochodzi stygma społeczna i to, jak praca seksualna jest skonstruowana w świadomości społecznej — w sprzeczności z moralnością, do czego przyczyniają się oczywiście i patriarchat, i religia, i Kościół, co stawia nas w pozycji bycia gorszymi. Podobnie naszą pozycję w Polsce konstruuje prawo" – podkreślała autorka książki „Niech żyją ku...wy".

„Uważam, że powinniśmy w tym sensie zalegalizować prostytucję, żeby osoby, które pracują w tej branży, mogły liczyć na wsparcie, a nie żeby wiązało się to ze ściganiem" – mówiła w kampanii wyborczej kandydatka Lewicy na prezydenta Magdalena Biejat. Wicemarszałek Senatu jest dzisiaj najbardziej wpływową w Polsce rzeczniczką interesów „pracowników seksualnych". Opowiada się za uznaniem „pracy seksualnej" za legalną działalność zarobkową, która powinna dawać dostęp do ubezpieczenia zdrowotnego i ochrony prawnej.

„Sex Work is Work zostało rozpromowane w USA przez osoby czerpiące zyski z wyzysku seksualnego (głównie kobiet), aby lobbować za prawem dekryminalizującym alfonsów i sutenerów i aby łatwiej wciągać młode kobiety w prostytucję, lukrując utowarowienie kobiecych ciał i seksualności" – to z kolei opinia zwalczającej, jak mówi, „prosutenerskie" przekazy w polskiej przestrzeni publicznej feministki Kai Szulczewskiej.

Na razie walka obu stronnictw trwa przede wszystkim po lewej stronie politycznej. Dla większości społeczeństwa prostytucja i inne przejawy „pracy seksualnej", jak masaże erotyczne czy rozbieranie się przed internetowymi kamerkami, to rzecz z marginesu społecznego, temat mimo wszystko wstydliwy. Nie znaczy to, że niepodejmowane są działania na rzecz przesunięcia granicy, normalizacji prostytucji, uczynienia ze sprzedawania własnego ciała – często okupionego fizycznym i psychicznym cierpieniem – za coś nie tylko normalnego, lecz wręcz chwalebnego. Ta walka jest finansowana m.in. przez naszych unijnych partnerów i sojuszników.

SEX WORK POLSKA

W Polsce temat liberalizacji przepisów dotyczących prostytucji podnosi przede wszystkim utworzony w 2014 r. Kolektyw Kamelia (poprzednia nazwa: Sex Work Polska). Teoretycznie podstawowym obszarem działania Kamelii jest pomoc dla „pracowników seksualnych". Oczywiście nie chodzi o zerwanie z upokarzającym procederem czy wydobycie prostytutek z macek mafijnych alfonsów, a o rozdawanie „materiałów profilaktycznych,

Fot. Loredana Sangiuliano/Shutterstock.com

eprasa.pl 93eeccb096

prezerwatyw, lubrykantów oraz ulotek dotyczących zdrowia seksualnego i bezpiecznej pracy".

Wydaje się jednak, że tak naprawdę głównym zadaniem kolektywu jest propaganda, stopniowe wprowadzanie „pracy seksualnej" do naszego aparatu pojęciowego, słowem: normalizowanie prostytucji i biznesu, który wokół niej działa.

Według członków Kamelii z powodu obowiązującego w Polsce prawa kryminalizującego stręczycielstwo „osoby pracujące seksualnie" są spychane do „szarej, semikryminalnej sfery", przez co nie mają możliwości zarejestrowania działalności czy odprowadzania składek do ZUS. Zdaniem aktywistek (grupa podaje, że dwie trzecie jej składu stanowią „osoby pracujące seksualnie") do negatywnych konsekwencji polskiego modelu prawodawstwa dotyczącego prostytucji należą „przemoc w miejscu pracy (ze strony klientów, stron trzecich, policji, osób postronnych)", a także „wtórna wiktymizacja w kontekście zgłaszania przestępstw i przemocy".

„[...] praca w nieformalnej gospodarce i skryminalizowanym kontekście pozwala pracodawcom na wyzysk w pracy i sprawia, że w pracy tej brak stabilności zatrudnienia, pracodawcy mogą w dowolny i niekontrolowany sposób ustalać godziny i warunki pracy" – podkreśla na swojej stronie kolektyw.

Propagandowe plakaty Kolektywu Kamala

PRACOWNICY SEKSUALNI ŁĄCZCIE SIĘ

Agenda Kamelii wynika z celów zrzeszającej ponad 100 organizacji z Europy i Azji organizacji-matki, czyli European Sex Workers' Rights Alliance. Te zaś świetnie prezentuje dokument strategiczny z listopada 2024 r. zatytułowany „Na celowniku wszystkich stron. Wpływ policji na dostęp osób pracujących seksualnie do wymiaru sprawiedliwości".

Na podstawie wywiadów z „pracownikami seksualnymi" z kilkunastu krajów w raporcie formułuje się tezy o prześladowaniach, jakim poddawana jest ta grupa ze strony policji, wymiaru sprawiedliwości czy po prostu państwa jako takiego. ESWRA zdaje się uznawać, że żaden z modeli stosowanych obecnie w Europie nie jest odpowiednio progresywny. Na swój los żaliły się bowiem prostytutki pracujące w Polsce i Hiszpanii (uprawianie seksu za pieniądze jest legalne, ścigane są osoby czerpiące korzyść z nierządu), w Skandynawii (świadczenie usług seksualnych nie jest kryminalizowane, ścigani i karani są za to klienci), a także w Holandii (nikt nie jest ścigany, prostytucja jest dość ściśle kontrolowana przez państwo).

ESWRA chce pełnego zniesienia rygorów dotyczących „pracy seksualnej", opowiadając się wprost za odpuszczeniem przez państwo alfonsom.

„Niniejszy raport wzywa do zmiany: do dekryminalizacji pracy seksualnej i do uchylenia wszystkich szkodliwych przepisów, które są wymierzone w osoby pracujące seksualnie, a także w osoby, z którymi współpracują, w miejsca pracy czy klientów" – czytamy w dokumencie. Apel ten jest skierowany do „interesariuszy i międzynarodowych decydentów, w tym do Rady Europy i instytucji Unii Europejskiej".

Organizacja potępia także feministki pokroju wspomnianej na wstępie Kai Szulczewskiej, które uważają prostytucję za uwłaczające kobietom zło i wzywają do walki ze stręczycielami.

„Zwiększenie kryminalizacji, zalecane przez feministki karceralne (opowiadające się za wykorzystaniem prawa karnego do atakowania klientów, miejsc pracy, osób współpracujących i szefów w celu »wyeliminowania prostytucji«), jedynie jeszcze bardziej naraża na krzywdę najbardziej zmarginalizowane społeczności, w tym pracujące seksualnie osoby migranckie, urasowione i LGBT" – dowodzą autorzy raportu ESWRA.

PREZENTY DLA KAMELII

Kolektyw Kamelia nie jest zarejestrowaną organizacją, nie posiada osobowości prawnej, prezentując się w przestrzeni publicznej jako „grupa nieformalna". Mimo to otrzymuje granty i inne rodzaje wsparcia finansowego od NGO, będąc (drobnym, przynajmniej na razie) oczkiem skomplikowanej siatki lewicowo-liberalnej międzynarodówki, finansowanej przez wielki biznes, zawodowych filantropów w rodzaju George'a Sorosa, a także – co dla nas tutaj najważniejsze – państwa narodowe.

Jako swoich sponsorów Kamelia wymienia polski Fundusz Feministyczny, prowadzony przez holenderską organizację Mama Cash i działający w jej ramach fundusz Red Umbrella, a także Guerilla Foundation. Z dostępnych publicznie informacji wynika, że tylko ta ostatnia organizacja założona dzięki pieniądzom Antonisa Schwarza, niemiecko-greckiego dziedzica fortuny pochodzącej ze sprzedaży potężnej firmy farmaceutycznej Schwarz Pharma, nie była wspomagana bezpośrednio lub pośrednio pieniędzmi od rządów państw UE.

Wchodząc na stronę zarejestrowanego w Amsterdamie „pierwszego międzynarodowego funduszu kobiecego" Mama Cash, widzimy zdjęcie trzech roześmianych kobiet. To Polki Kinga Jelińska, Natalia Broniarczyk i Justyna Wydrzyńska. Są one założycielkami Aborcyjnego Dream Teamu, który – jak się chwalą – tylko w ubiegłym roku „pomógł prawie 50 tys. kobietom w dostępie do aborcji farmakologicznej" i który prowadzi naprzeciwko Sejmu „przychodnię" ABOTAK.

ADT jest wspierany finansowo przez Mama Cash. Ta sama organizacja pozarządowa, bezpośrednio i poprzez Red Umbrella Fund (Mama Cash jest organizacją-gospodarzem, czyli tzw. hostem dla RUF) przekazywała pieniądze na rzecz Sex Work Polska, czyli dzisiejszego Kolektywu Kamelia. Dla przykładu – w sprawozdaniu z 2021 r. uwzględniono grant dla

Fot. Kolektyw Kamelia/facebook

eprasa.pl 93eeccb096

SWP na 35 tys. euro (prawie 150 tys. zł). Kamelia dostała również grant w wysokości 60 tys. zł od polskiego Funduszu Feministycznego. Ten z kolei korzysta ze wsparcia Mama Cash. W sprawozdaniu za 2023 r. Fundusz wykazał przychód od Holendrów w wysokości 274 tys. zł na koniec 2022 r. i 248 tys. zł na koniec 2023 r.

Mimo braku przejrzystości działań Kolektywu Kamelia (nie publikuje on np. sprawozdań) możemy powiedzieć bez cienia wątpliwości: jest on finansowany z zagranicy, a centralną rolę w tym procesie odgrywa Mama Cash. Ta z kolei żyje m.in. dzięki pieniądzom od rządów Holandii i Szwecji.

HOLENDERSKA POMOC

W latach 2021–2025 holenderskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych przeznaczyło na działanie organizacji pozarządowych 1,4 mld euro, czyli blisko 6 mld zł. Nie ma jeszcze oficjalnych danych, ile z tych pieniędzy trafiło w tym czasie do Mama Cash i prowadzonego przez nią konsorcjum Count Me In! Wiadomo, że w latach 2016–2020 były to 32 mln euro (ok. 135 mln zł). Po 2025 r. środków ma być znacznie mniej. Decyzję podjął rząd Dicka Schoofa, współtworzony wówczas przez prawicową partię Geerta Wildersa (wyszedł on z koalicji na skutek sporu o politykę migracyjną).

„Kobiety, dziewczęta oraz osoby transpłciowe i interpłciowe na całym świecie walczą o zmiany społeczne, o sprawiedliwość, o wolność. Ze wszystkich sił. Ryzykują życie, zdrowie i reputację, by zabierać głos i działać przeciwko niesprawiedliwości, wyzyskowi, uciskowi, wojnie i przemocy" – mówiła w 2024 r. Happy Mwende Kinyili, dyrektor wykonawcza Mama Cash. Jej organizacja pisała listy do holenderskich władz z żądaniem wycofania się z cięć.

„Kobiety często walczą z mediami, przywódcami politycznymi, religijnymi i tradycyjnymi. Z rodzicami, mężami, kolegami i sąsiadami. Co gorsza, na całym świecie bardzo dobrze finansowane, ultrakonserwatywne, autorytarne siły zdobyły ogromną władzę, przejmując media, sądy i fora międzynarodowe" – uzasadniała.

Zeszłotygodniowe wybory przyniosły zmianę – do władzy wracają liberałowie z D66, a ich lider, Rob Jetten, ma szansę zostać najmłodszym w historii i pierwszym otwarcie homoseksualnym premierem Holandii. Być może prośby NGO zostaną wysłuchane i pieniądze popłyną do nich szerszym strumieniem.

Innym donatorem Mama Cash i Count Me In!, a poprzez nie Red Umbrella Fund, jest holenderska Nationale Postcode Loterij – loteria, która zgodnie z wymogami prawa musi przeznaczać 40 proc. dochodów na cele charytatywne. To prywatne przedsięwzięcie, ale działa pod ścisłym nadzorem państwa holenderskiego. Kwoty są znaczne, dla przykładu w 2022 r. Mama Cash dostała od NPL prawie 1,4 mln euro (ok. 6 mln zł).

Mimo braku przejrzystości działań Kolektywu Kamelia (nie publikuje on np. sprawozdań) możemy powiedzieć bez cienia wątpliwości: jest on finansowany z zagranicy, a centralną rolę w tym procesie odgrywa Mama Cash. Ta z kolei żyje m.in. dzięki pieniądzom od rządów Holandii i Szwecji

SZWEDZKA WRAŻLIWOŚĆ

Podobnie jak w przypadku Holandii finansowanie progresywnych organizacji pozarządowych jest częścią doktryny polityki zagranicznej Szwecji. Zajmuje się tym podlegająca bezpośrednio Ministerstwu Spraw Zagranicznych Szwedzka Agencja Międzynarodowej Współpracy Rozwojowej – Sida. Jej budżet na 2025 r. wynosi 24,3 mld koron szwedzkich, czyli blisko 10 mld zł, jest więc miejsce na rozmach. W 2022, 2023 i 2024 r. Sida wkładała do feministycznych kufrów Mama Cash po 10 mln koron (3,9 mln zł) rocznie. W 2025 r. było to na razie 7 mln koron (2,7 mln zł). Do końca 2026 r. Mama Cash dostanie od Szwedów jeszcze 13 mln koron (ponad 5 mln zł). Część tych pieniędzy trafi potem do Polski.

Do zadań Sida należy walka z ubóstwem i wykluczeniem w krajach rozwijających się. Ważną częścią działań agencji są te związane ze „zdrowiem reprodukcyjnym" i „zdrowiem seksualnym".

Tutaj trzeba koniecznie wyjaśnić, co naprawdę oznaczają te sformułowania. „Zdrowie reprodukcyjne" to przede wszystkim po prostu dostęp do aborcji. „Zdrowie seksualne" zaś – według definicji WHO – to „stan fizycznego, emocjonalnego, psychicznego i społecznego dobrostanu w odniesieniu do seksualności", który „nie oznacza jedynie braku choroby, dysfunkcji czy niepełnosprawności", ale wymaga „pozytywnego i pełnego szacunku podejścia do seksualności i relacji seksualnych, a także możliwości czerpania przyjemności i bezpiecznych doświadczeń seksualnych, wolnych od przymusu, dyskryminacji i przemocy".

„Zdrowie seksualne i reprodukcyjne ludzi na całym świecie ulega poprawie. Jednocześnie w niektórych krajach siły konserwatywne zagrażają prawom człowieka" – czytamy na stronie Sida. Takim miejscem dla szwedzkiej agencji rządowej jest z pewnością Polska.

„Kiedy zaczynamy mówić o swojej pracy, słyszymy, że »promujemy prostytucję«. Jeżeli mówimy o niej pozytywne rzeczy, to upiększamy jej obraz. Kiedy próbujemy mierzyć się z zagrożeniami i jasno informujemy o przemocy, która może wiązać się z pracą seksualną, słyszymy, że jesteśmy niemoralne i że zachęcamy do tak »niewłaściwych« zajęć. Zresztą wszystko to brzmi tak samo – jak narzędzie do uciszania nas i paraliżowania w działaniach. Niezależnie od tego, co powiemy, jest to wykorzystywane przeciwko nam" – mówiła we wspomnianym na wstępie wywiadzie Kola Kluczyk.

Była „pracownica seksualna" wraz z koleżankami i kolegami z Kolektywu Kamelia walczy, by wreszcie było u nas inaczej. Pieniędzy raczej im niestety nie zabraknie...

eprasa.pl 93eeccb096

Znakomita większość zachowań samobójczych jest spowodowana tym, że człowiek nie ma już siły żyć i szuka zatrzymania bólu i rozpaczy

Trzeba mądrze mówić o samobójstwie

Z ks. Tomaszem Trzaską, suicydologiem i ekspertem Biura ds. Zapobiegania Zachowaniom Samobójczym w warszawskim Instytucie Psychologii i Neurologii, rozmawia Goran Andrijanić

„Zniknąć bez słowa" to tytuł książki, którą napisał ksiądz razem z dziennikarką Weroniką Kostrzewą. Mówi w niej ksiądz o tym, jak pomóc osobom w kryzysach samobójczych. Jaka była główna intencja tej książki?

Ks. Tomasz Trzaska: Pierwszy zamysł był taki, żeby opublikować coś w formie poradnika. Chcieliśmy wydać coś – lubię to tak nazywać – „dla świata dorosłych", to znaczy dla rodziców, a także nauczycieli, księży, sióstr zakonnych. Treść miała być z dużym naciskiem właśnie na środowiska kościelne, żeby w całej analizie zjawiska kryzysu samobójczego był mocno obecny element wiary. Weronika Kostrzewa, dziennikarka, z którą rozmawiałem, oraz Aneta Liberacka, szefowa wydawnictwa Stacja 7, wymyśliły, że trzeba to zrobić w formie wywiadu rzeki.

Czy potrzeba poradnika oznacza, że w Kościele brakuje wiedzy o tym trudnym temacie?

Publikacji na rynku jest oczywiście dużo. Natomiast żadna z nich nie dotykała w praktyczny sposób życia Kościoła. Nie było publikacji, która by wyjaśniała, jak księża czy siostry zakonne mogą towarzyszyć osobom w kryzysie. Nie było też publikacji o tym, jak Kościół może się modlić w takich sytuacjach. Książka kończy się dodatkiem, w którym są podane przykłady, jak poruszyć ten wątek w modlitwie wiernych albo w kazaniach. Całe akapity przykładowych wypowiedzi, które mogą być pomocne.

Czy potrzeba poradnika wynika również z tego, że w Polsce rośnie liczba samobójstw?

Paradoksalnie w tym momencie mamy ich spadek – z 5,2 tys. w 2023 r. do 4,8 tys. w 2024 r. zgonów samobójczych w Polsce. Oczywiście wciąż jest to bardzo dużo – 2,5 raza więcej, niż rocznie ginie osób na polskich drogach. Widzimy spadek liczby samobójstw, mamy natomiast bardzo duży wzrost prób samobójczych, czyli zachowań suicydalnych, które nie kończą się śmiercią wśród dzieci i młodzieży. W 2020 r. było ok. 750 prób samobójczych, a od kilku lat liczba ta utrzymuje się na poziomie 2 tys. To oczywiście nie wyczerpuje

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 93eeccb096

całej puli prób samobójczych w Polsce. Uważam, że realna liczba jest nawet kilkanaście czy kilkadziesiąt razy większa.

Ktoś by powiedział, że próba samobójcza nie jest tym samym, co zamach. Próba jest jakimś sygnałem desperacji, a nie dążeniem do śmierci...

Żadne zachowania samobójcze – czy to próba, czy zamach –nie mają na celu śmierci. Celem jest zazwyczaj ucieczka przed bólem i brak sił do życia. Czasem będzie to wołanie o pomoc, niekiedy będą to próby samobójcze, do których wykorzystano metody niewystarczające, żeby spowodować śmierć. Znakomita większość zachowań samobójczych jest spowodowana tym, że człowiek nie ma już siły żyć i szuka zatrzymania bólu i rozpaczy. W tym momencie mamy wzrost prób samobójczych o 300 proc. w kategorii ludzi do 19. roku życia.

Powodem jest pandemia?

Powiem tak: pandemia wzmocniła pewne rzeczy, które same w sobie są złe, np. izolację i zerwanie relacji. Młodzi ludzie przestali chodzić do szkół i stracili możliwość socjalizacji. W szkole przeżywali dobre albo złe relacje, śmiech, łzy, napięcia, czasem nawet jakąś agresję. Kiedyś to wszystko było „tyglem", w którym toczył się proces socjalizacji. I to stracili.

Druga ważna rzecz jest taka, że ten młody człowiek, który miał źle w domu rodzinnym, szedł do szkoły albo na podwórko, mógł „odwentylować" złe doświadczenie i obniżyć napięcie. Kiedy został zamknięty w domu, nie mógł tego zrobić, bo przez internet to niemożliwe. Poza tym są też domy, gdzie istnieje przemoc emocjonalna oraz fizyczna, czasem seksualna.

No i bardzo ważna rzecz. Młody człowiek już od 12. roku życia dużo wyżej stawia grupę rówieśniczą niż dom rodzinny czy rodziców. Jeżeli nie może w tej grupie zaistnieć i funkcjonować, bo w lekcjach uczestniczy online i jego jedyna komunikacja z rówieśnikami odbywa się przez internet, będzie to miało mocny, negatywny efekt.

To cała zbieranina konsekwencji pandemii, o których się – szczerze powiedziawszy – dość mało mówi. Mówimy o konsekwencjach ekonomicznych i politycznych, ale nie jesteśmy do końca świadomi tego, co pandemia zrobiła młodym w sensie psychologicznym.

Fot. Andrzej Wiktor

Jednocześnie trzeba powiedzieć, że społeczeństwo zaczęło reagować na potrzebę w sferze pomocy psychologicznej. Pod koniec pandemii i po niej rozwijały się różne ośrodki i centra zdrowia psychicznego dla dzieci i młodzieży, uruchamiano też pewne programy. W każdym razie musimy być świadomi, że pandemia pozbawiła młodych ludzi na ważnym etapie ich rozwoju środowisk budowania pewnej kompetencji – umiejętności rozmowy i dbania o poczucie własnej wartości. To może nie spowodowało kryzysu, ale zaburzyło ich, czego skutki będą zapewne widoczne dopiero później.

W książce dużo mówi się o pewnej stygmatyzacji samobójstw, a także chorób psychicznych, które istnieją w społeczeństwie, również w Kościele. Pamiętam, kiedy bp Edward Dajczak zrezygnował ze służby z powodu depresji. Napisałem wtedy tekst, w którym pochwaliłem jego szczerość, ale było dużo negatywnych reakcji na jego rezygnacje. Mówiło się o tym, że „skapitulował"...

Nie da się zamodlić depresji, tak samo jak nie da się jej rozbiegać albo wyspać. Depresja jest chorobą. Może mieć różny przebieg, różną intensywność, jest natomiast chorobą niezawinioną przez człowieka, a choroby leczymy u lekarza. Nie znaczy to jednak, że my, ludzie wierzący, nie będziemy się modlić o wyzdrowienie i o siłę. Musimy natomiast zrozumieć, że jedną rzeczą jest modlitwa, która powinna przenikać wszystkie sfery naszego życia, a drugą – korzystanie z pomocy medycznej. To nie stoi w sprzeczności ze sobą.

Bóg jest nie tylko miłością, lecz także mądrością, a więc udziela tej mądrości człowiekowi – również lekarzom i psychiatrom. Przez to, że człowiek korzysta z pomocy specjalistycznej, nie przeciwstawia się wierze, tylko raczej uwielbia Pana Boga w jego mądrości, której udzielił człowiekowi.

Kiedy bp Dajczak ogłosił swoją rezygnację, pogratulowałem mu i byłem bardzo wdzięczny za to, że to zrobił. On nie tylko pokazał, że ma odwagę przyznać się do depresji, lecz także miał odwagę zachować się odpowiedzialnie. Dał odwagę księżom, którzy chorują na depresję i pokazał, że nie jest ona chorobą tylko świeckich. Jest to choroba jak każda inna i może dotknąć każdego.

Kiedyś Albert Camus napisał, że istnieje tylko jeden poważny problem filozoficzny – samobójstwo. Ksiądz mówi w książce o kryzysie samobójczym jako objawie braku sensu życia. Czy nie jest tak, że właśnie Kościół może tutaj pomóc?

Oczywiście, może pomóc w odnalezieniu sensu. Może wskazywać pozytywy: że jest życie wieczne, że cierpienie stanowi element naszego życia, że człowiek nie jest sam, a Chrystus umarł

eprasa.pl 93eeccb096

na krzyżu właśnie przez cierpienie zbawiające człowieka. Wiara jest odpowiedzią, a także czynnikiem hamującym, dzięki któremu wiele osób nie popełni samobójstwa. Warto pamiętać, że są to hamulce zaciągnięte ręcznie. Działają w zależności od tego, z jaką prędkością jedziemy. Jeżeli kryzys jest rozpędzony, hamulec ręczny nas spowolni, ale nie ma gwarancji, że ta osoba nie popełni samobójstwa. Człowiek w kryzysie podlega tzw. myśleniu tunelowemu, które jest zawężeniem poznawczym. Występuje ono nie tylko w obszarze sytuacyjnym, w którym osoba czuje się tak, jakby nie było już dla niej ratunku, lecz także w obszarze wartości oraz relacji i potrafi zamazać piękno, którego doświadcza w rodzinie i wspólnocie oraz dzięki wierze. I wtedy ten hamulec przestanie działać. Człowiek – mimo że wie, iż ryzykuje życiem wiecznym, że może skrzywdzić rodzinę – i tak może popełnić samobójstwo, bo tak bardzo go boli.

Wielu twierdzi, że żyjemy w czasach, kiedy depresja stała się „modna", bo jest wygodnym wyjaśnieniem całego zła, które przeżywamy.

Tu jest przede wszystkim pytanie o naszą wiedzę. Jeżeli mamy ochotę powiedzieć, że depresja jest modna i że ktoś na pewno jej nie ma, tylko ją sobie wymyślił, zadaję pytanie o argumenty, z powodu których ta osoba jest w stanie to powiedzieć. Uważam iż rzadko kiedy mamy do czynienia z sytuacją, którą można opisać jako objaw tzw. mody na depresję. Owszem, np. czasem ktoś może powiedzieć, że ma depresję, bo miał trudne trzy dni w pracy. To nie wynika ze złej woli, tylko z braku wiedzy. Jak nie da się chorować na raka trzy dni, tak nie da się chorować na depresję trzy dni. Tak, czasem ktoś nadużywa słowa, mówiąc, że ma depresję albo traumę. Jest to kwestia złego słownictwa. Natomiast faktem jest to, że depresja się szerzy. Żyjemy w czasach pozrywanych relacji i porozbijanych rodzin. Jest dużo stresu, rozlewa się hejt i często bywa nieodwracalny, szczególnie ten w internecie. Jest to stresogenny pęd życia nieporównywalny z przeszłością, w którym codziennie dostajemy ogromną liczbę bodźców.

W tym samym czasie występuje element, który nazywa się efektem Wertera, czy inaczej – efektem naśladowania. Czasem ludzie pytają mnie, czy istnieje „gen samobójstwa". Nikt tego nie stwierdził. Jednak jeżeli np. w domu rodzinnym czy w najbliższej rodzinie samobójstwo popełniło kilku moich przodków, to w naszej głowie powstaje pewne modelowanie, że jest to „rozwiązanie", jakaś droga wyjścia z bólu.

Dla porównania – podobnie jest z rozwodami. W mojej klasie była jedna dziewczyna, której rodzice się rozwiedli, wszyscy inni mieli w domu oboje rodziców. Nie znaczy to, że te domy były idealne, ale byli w nich oboje rodzice. Dzisiaj natomiast jest tak, że istnieją klasy, w których tylko jedno dziecko ma rodziców nie po rozwodzie. Jeżeli jest dużo rozwodów, to rozpad kolejnego małżeństwa społecznie „nie boli" tak jak kiedyś, gdy było ich bardzo mało.

> Musimy zaczynać od budowania zaufania i dobrych relacji, w których dziecko może się przyznać do porażki i wie, że ma prawo do błędu. Że jak nie daje rady, to musi gdzieś to wyznać, najlepiej w domu

Jeżeli samobójstwo stało się tematem kulturowym, jeżeli śpiewają o nim raperzy, jeżeli powstają filmy – nie zawsze dobrze zrobione, jeżeli jest więcej samobójstw w moim otoczeniu, wywołuje to tzw. efekt Wertera. Dlatego jest tak ważne, żeby o samobójstwie dobrze i mądrze mówić, a nie skandalizująco, wywołując emocje czy romantyzując śmierć samobójczą.

Jakie są według księdza najważniejsze przesłania tej książki?

Dla mnie jedną z najważniejszych zawartych w niej myśli jest ta, byśmy uczyli się mądrze słuchać drugiego człowieka i pozwalali mu mówić. Dzisiaj jest to towar deficytowy: wysłuchanie i zaakceptowanie tego, co mówię. Uczmy się mądrze słuchać i akceptować to, że ktoś cierpi i nie podważać tego, a raczej szukać pomocy. Druga myśl jest taka, że w Kościele za mało się modlimy za samobójców. Dosyć często pomijamy ten temat, choć dotyczy tylu tysięcy rodzin rocznie.

Na pewno chciałbym, żeby wybrzmiało przesłanie o destygmatyzacji osób, które korzystają z pomocy psychiatrycznej w kryzysie. Wielu tego nie robi, bo się boi opinii sąsiadów. Często także rodzice nie chcą pozwolić pomóc swoim dzieciom, gdyż obawiają się, że ktoś nazwie je głupkami czy wariatami.

W jaki sposób rodzice mogą zadbać o profilaktykę?

Budując jak najlepsze relacje, w których dziecko będzie czuło, że jest chciane. Nie z powodu ocen czy grzeczności, tylko po prostu – że jest chciane. Potrzebujemy domów, które będą budować poczucie wartości młodego człowieka i nadawać sens jego życiu.

Dopiero potem trzeba rozwijać umiejętność rozmowy z kimś, kto przychodzi opowiedzieć nam o kryzysie. Bo co z tego, że rodzic będzie wiedział, jak rozmawiać z dzieckiem w kryzysie, jeśli ono nie przyjdzie, bo nie czuje zaufania. Musimy zaczynać od budowania zaufania i dobrych relacji, w których dziecko może się przyznać do porażki i wie, że ma prawo do błędu. Że jak nie daje rady, to musi to komuś wyznać, najlepiej w domu. Dopiero potem można rozmawiać, bo bardzo wiele takich raczkujących kryzysów da się uspokoić przez to, że ktoś będzie się czuł zaopiekowany i zaakceptowany.

eprasa.pl 93eeccb096

Wielki pojedynek: Orbán kontra Magyar

Po raz pierwszy od 2006 r. na Węgrzech znalazła się partia, która wyprzedza Fidesz w sondażach popularności. Czy Tisza zdoła przejąć władzę?

GRZEGORZ GÓRNY

Wybory parlamentarne na Węgrzech odbędą się za pół roku (najprawdopodobniej 12 kwietnia 2026 r.), jednak kampania przedwyborcza już się rozpoczęła. Za dzień jej startu można uznać święto narodowe 23 października, upamiętniające rocznicę antykomunistycznego powstania z 1956 r.

W tamten czwartek w centrum Budapesztu zorganizowane zostały dwie masowe demonstracje. Z jednej strony zwolennicy rządzącej partii Fidesz maszerowali w tradycyjnym Marszu Pokoju, z drugiej – sympatycy opozycyjnego ugrupowania Tisza wzięli udział w Marszu Narodowym. Dla większości komentatorów był to pojedynek między głównymi pretendentami do zwycięstwa w nadchodzącej elekcji: Viktorem Orbánem i Péterem Magyarem.

DWIE MOWY, DWIE NARRACJE

Ciekawą analizę przemówień obu polityków przeprowadził Gábor Fodor, jeden z założycieli Fideszu, który w 1993 r. dokonał jedynego rozłamu w historii tej partii, protestując przeciw konserwatywnemu zwrotowi Orbána. Nie przekonał jednak do siebie większości działaczy. Później stał jeszcze na czele dwóch ugrupowań liberalnych, które nie osiągnęły jednak wielkiego sukcesu. Dziś komentuje bieżące wydarzenia polityczne, nie ukrywając swej niechęci do dawnego przyjaciela, lidera Fideszu.

Zdaniem Fodora wiec okazał się sukcesem obozu rządowego, a przemówienie Orbána na pl. Kossutha było koncyliacyjne i skierowane do jak najszerszego grona odbiorców. Premier podkreślał, że nie sprzeciwia się Unii Europejskiej, a jedynie jej przywódcom w Brukseli. Skupił się na przeciwstawieniu sobie wojny i pokoju, podkreślając, że kontynuacja rosyjsko-ukraińskiego konfliktu może tylko pogrążyć nasz kontynent w dalszym kryzysie gospodarczym. Szef rządu zaprzeczył, iż jego kraj znajduje się w międzynarodowej izolacji – wręcz przeciwnie: on sam jest jedynym przywódcą w Europie, który utrzymuje tak dobre relacje z prezydentami Rosji i USA, że może zorganizować u siebie szczyt z ich udziałem. W tej optyce Węgry są jednym z państw najbardziej zaangażowanych w zaprowadzenie pokoju, a pokój poprawi życie obywateli, spowoduje spadek cen, zapewni bezpieczeństwo i umożliwi dobrobyt.

Orbán wezwał do głosowania na Fidesz, który jako jedyny pragnie jak najszybszego zakończenia wojny, a nie jej eskalowania. Jak pisał Fodor, szef rządu „sprawiał wrażenie opanowanego, zamyślonego premiera, który pracuje dla swojego kraju i dla obywateli, którzy z nim nie sympatyzują".

Wspomniany komentator inaczej ocenił wystąpienie lidera opozycji. Péter Magyar nieprzypadkowo jako miejsce swojego wiecu wybrał pl. Bohaterów. To właśnie tam 16 czerwca 1989 r. odbył się ponowny pogrzeb Imre Nagya, w trakcie którego rozpoczęła się wielka kariera Viktora Orbána. Nieznany szerzej 26-letni przywódca młodzieżowej partii Fidesz wygłosił wówczas słynne przemówienie, w którym wezwał wojska sowieckie do opuszczenia Węgier. W tym samym miejscu po latach stanął Péter Magyar, który nie ustaje w atakach na obecnego premiera, czyni to jednak inaczej, niż dotychczas opozycja. Nie krytykuje go ani z pozycji prawicowych (jak Jobbik), ani lewicowych (jak socjaliści), ani nawet centrowych (jak liberałowie i zieloni). On krytykuje Fidesz z pozycji Fideszu. Pozycjonuje się jak Orbán, ale nie dzisiejszy, lecz ten z 2010 r., gdy dochodził do władzy i obiecywał oddanie państwa w ręce obywateli, a nawet jak ten z 1989 r., który kazał Rosjanom wynosić się precz. Dziś Magyar każe wynosić się precz Orbánowi.

W sprawach ideowych i światopoglądowych przywódca Tiszy stara się w niczym nie różnić od Fideszu, deklarując przywiązanie do konserwatywnych wartości i sprzeciw wobec lewicowych ideologii. Krytykuje Orbána za prorosyjskość, brak lustracji komunistów czy budowę systemu oligarchicznego. Znacznie bardziej nośne społecznie są jednak jego zarzuty dotyczące stagnacji gospodarczej, korupcji, marnotrawienia europejskich funduszy czy kryzysu w systemach ochrony zdrowia i edukacji. Z jego diagnoz wyłania się obraz Węgier jako kraju gulaszowego kapitalizmu, w którym Fidesz stworzył system na podobieństwo dawnego kadaryzmu.

Według Gábora Fodora to przesłanie jest zrozumiałe, jednak na wiecu nie wybrzmiało przekonująco. Magyar mówił za długo (70 min), zbyt rozwlekle i zawile. Nawet jego najbardziej zagorzali zwolennicy nie byliby w stanie powtórzyć, co było istotą tej mowy (oczywiście poza chęcią odsunięcia Orbána od władzy).

Według Fodora niefortunnym pomysłem było to, że lider opozycji stał na scenie sam. Sprawiał przez to wrażenie polityka osamotnionego i pozbawionego własnej drużyny, która jest zdolna przejąć odpowiedzialność za losy państwa. Kontrastowało to z wizerunkiem przewodniczącego Fideszu, otoczonego przez zgrany zespół.

eprasa.pl 93eeccb096

Komentatorowi nie spodobało się też to, że Magyar wezwał Węgrów, by za pół roku dokonali „zmiany reżimu", co – jego zdaniem – jest „koncepcyjnie nieprecyzyjnie, a merytorycznie mylące", ponieważ nie chodzi o zastąpienie jednego ustroju drugim, lecz o wymianę jednego rządu na inny. W ten sposób szef Tiszy niepotrzebnie przejmuje język totalnej opozycji, od której chciałby się odciąć, np. od socjalistów.

NOWE SZATY OPOZYCJI

Do tej pory nie było dla Orbána bardziej komfortowej sytuacji, niż mieć jako głównego przeciwnika skompromitowanych postkomunistów. Pozostając na takiej pozycji, mógł być spokojny o trwanie swoich rządów. Z tych samych powodów Péter Magyar od samego początku dystansował się od byłego premiera Ferenca Gyurcsánya, traktując ewentualne poparcie z jego strony jak pocałunek śmierci.

Ale im bliżej do wyborów, tym częściej przedstawiciele totalnej opozycji, którzy wcześniej regularnie dostawali baty od Fideszu, wychodzą na scenę publiczną, by poprzeć głośno Magyara. Prawicowi komentatorzy uznają to za dowód, że Tisza jest kolejną wydmuszką, czyli produktem tych samych lewicowo-liberalnych środowisk, które od dawna próbują zmienić rząd, jednak za każdym razem używają innego kostiumu. Ich zdaniem za wszystkimi tego rodzaju projektami ma stać ta sama osoba – George Soros, który nie ukrywa, że odsunięcie Orbána od władzy traktuje jak swój osobisty cel i nie szczędzi na to pieniędzy. W tym scenariuszu jeśli Magyar wygra wybory, porzuci swój deklarowany konserwatyzm i zacznie powtarzać na Węgrzech metody stosowane w Polsce przez Tuska wobec PiS.

Jeszcze trzy lata temu w kraju naszych bratanków nie było żadnego ugrupowania, które mogłoby rzucić wyzwanie obozowi rządowemu. Podczas wyborów w 2022 r. cała totalna opozycja, licząca łącznie 6 partii, zjednoczyła się w jedynym wielkim bloku, a mimo to zdobyła zaledwie 34 proc. głosów, podczas gdy Fidesz po raz czwarty z rzędu zapewnił sobie większość konstytucyjną, co jest przypadkiem bez precedensu w historii powojennej Europy. Na dodatek w parlamencie znalazła się jeszcze narodowa partia – Mi Hazánk (Nasza Ojczyzna), która zdobyła niemal 6 proc. głosów i w przyszłości może być potencjalnym koalicjantem Orbána.

> Na korzyść Magyara przemawia to, że po 15 latach nieprzerwanych rządów Fideszu wielu ludzi chce zmian. Działa naturalny mechanizm zmęczenia władzą, która zdołała stworzyć własny układ wpływów i zależności. Niektóre badania opinii publicznej pokazują, że Tisza cieszy się poparciem 33 proc. ankietowanych, podczas gdy Fidesz – tylko 26 proc. Nie oznacza to jednak, że zwycięstwo opozycji jest przesądzone

Sytuacja zmieniła się nieoczekiwanie w lutym 2024 r., gdy na scenie politycznej pojawił się Péter Magyar. Już cztery miesiące później w wyborach do europarlamentu jego partia Tisza zajęła drugie miejsce, uzyskując ok. 30 proc. głosów i zdobywając 7 mandatów. Co prawda wygrał Fidesz z 45-proc. poparciem i 11 europosłami, jednak nie dało się ukryć, że po raz pierwszy od dawna Orbánowi wyrósł poważny rywal. Na dodatek wzbudził on nadzieję wszystkich przeciwników premiera, że w końcu znalazł się ktoś, kto może odsunąć obecną ekipę od władzy.

NIEMIARODAJNOŚĆ SONDAŻY

Na korzyść Magyara przemawia to, że po 15 latach nieprzerwanych rządów Fideszu wielu ludzi chce zmian. Działa naturalny mechanizm zmęczenia władzą, która zdołała stworzyć własny układ wpływów i zależności. Niektóre badania opinii publicznej pokazują, że Tisza cieszy się poparciem 33 proc. ankietowanych, podczas gdy Fidesz – tylko 26 proc.

Nie oznacza to jednak, że zwycięstwo opozycji jest przesądzone, nawet gdyby ten trend utrzymał się do wyborów. Dlaczego? W przypadku węgierskiej ordynacji wyborczej sondaże nie są miarodajne, gdyż nie odzwierciedlają jej mieszanego, większościowo-proporcjonalnego charakteru.

Obecnie na 199 członków Zgromadzenia Narodowego aż 106 jest wybieranych w okręgach jednomandato-

eprasa.pl 93eeccb096

wych, natomiast jedynie 93 wchodzi do parlamentu z listy krajowej. W dotychczasowych elekcjach preferencje wyborców w sondażach pokrywały się z końcowymi wynikami, ale tylko w przypadku list krajowych. Inaczej sytuacja przedstawiała się w JOW, w których logika głosowania jest nieco odmienna niż w systemie proporcjonalnym, ponieważ w większym stopniu pozostaje uzależniona od kontekstu lokalnego. To właśnie miażdżące zwycięstwo w tych miejscach zapewniło Fideszowi tak gigantyczną przewagę w parlamencie i czterokrotnie większość konstytucyjną, czego nie przewidziały wcześniej żadne sondaże. Partia Viktora Orbána uzyskała bowiem w okręgach jednomandatowych w 2010 r. – 98 proc. mandatów, w 2014 – 90 proc., w 2018 – 86 proc., a w 2022 – 82 proc.

O niemiarodajności ogólnokrajowych sondaży przekonują wyniki wyborów uzupełniających w okręgu Tolna, przeprowadzonych rok temu po śmierci miejscowego posła. Odbyły się one, gdy badania opinii publicznej wskazywały aż 10-proc. przewagę Tiszy nad Fideszem. Mimo to zwyciężyła przedstawicielka obozu rządowego Krisztina Csibi, która otrzymała ok. 64 proc. głosów, podczas gdy pozostali kandydaci łącznie – ok. 36 proc.

Różnica między obydwoma formacjami polega na tym, że Tisza, która istnieje od niedawna, nie ma struktur w terenie, a na jej listach znajduje się wiele przypadkowych osób. W odróżnieniu od niej Fidesz przez długie lata zbudował we wszystkich regionach kraju potężne zaplecza społeczne, finansowe i medialne. Partia Orbána ma też olbrzymie doświadczenie polityczne, a podczas wyborów zawsze wykazuje dużą dyscyplinę mobilizacyjną.

ZDOBYĆ SERCA NA PROWINCJI

Interesujące studium na temat zależności między strukturą społeczną Węgier a preferencjami wyborczymi obywateli opublikowało kilka lat temu Centrum Badań Nauk Społecznych w Budapeszcie. Wynika z niego, że o wpływach Fideszu na poziomie lokalnym (a więc o zwycięstwie tej partii na terenach wiejskich i w małych miasteczkach) decydują dwie grupy, stanowiące łącznie ok. 20 proc. populacji. Są to ludzie aktywni politycznie z szeroką siecią kontaktów oraz tzw. osoby zintegrowane lokalnie, funkcjonujące w ramach rozbudowanej sieci społecznej, lecz niekoniecznie kojarzone z działalnością polityczną. Często należą do nich działacze samorządowi, organizatorzy wydarzeń publicznych, społecznicy zajmujący się pielęgnowaniem miejscowych tradycji czy parafianie zaangażowani w życie kościelne. Jednym zdaniem, chodzi o ludzi tworzących społeczeństwo obywatelskie.

Co szczególnie ciekawe, reprezentują oni wrażliwość socjalną daleką od ideologii liberalnej. Oczekują od państwa zmniejszenia luki dochodowej oraz zapewnienia bezpłatnej edukacji i opieki zdrowotnej. To dzięki tej grupie przekaz Fideszu jest w stanie przeniknąć do środowisk małomiasteczkowych nawet skuteczniej niż poprzez media.

Zdaniem badaczy to właśnie działalność tej grupy – choć często pozbawiona podtekstu politycznego – pozostaje kluczowa do utrzymania przez Fidesz wpływów w społeczeństwie. Zaspokaja ona bowiem naturalne pragnienie ludzi, by gdzieś przynależeć i być z czegoś dumnym. Ona też w dużej mierze kształtuje tożsamość ideową partii Viktora Orbána.

Magyar także stara się dotrzeć do tych środowisk, przekonując, że lider Fideszu zdradził ich ideały. Opowiada o rażącym kontraście między codziennym życiem zwykłych ludzi a elity z otoczenia premiera, jego ministrami, oligarchami i rodziną. Wytyka osobom z najbliższego kręgu Orbána, że podróżują na wakacje prywatnymi odrzutowcami, hodują na rozległych włościach zebry czy budują kolejne wielkie rezydencje, podczas gdy w kraju szaleje inflacja, panuje drożyzna i panoszy się korupcja.

Fidesz nie czeka bezczynnie i podejmuje działania w sferze, w której podważana jest jego wiarygodność. Rząd zapowiedział już obniżkę podatku VAT na podstawowe produkty spożywcze i leki, wsparcie w zakupie tanich mieszkań i programów socjalnych, 14. emeryturę i zwolnienie z podatku dochodowego dla matek dwójki lub trójki dzieci.

Tisza i Fidesz mają pół roku, by przekonać do swej narracji społeczeństwo. Na razie nic nie jest przesądzone i obie strony mają zbliżone szanse na zwycięstwo.

Marsz Narodowy sympatyków opozycyjnego wobec Fideszu ugrupowania Tisza

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 93eeccb096

Czarny scenariusz Putina

Rosja musi się mierzyć z narastającymi trudnościami gospodarczymi, które już niedługo mogą wpłynąć na nastroje zarówno szerokich rzesz ludności, jak i przede wszystkim elit politycznych i finansowych. Na takich nastrojach chce grać przebywający na emigracji Michaił Chodorkowski

MAREK BUDZISZ

Po tym, jak Donald Trump nałożył sankcje na największe rosyjskie firmy naftowe – państwowy Rosnieft i prywatny Łukoil, a także zapowiedział zaostrzenie polityki w tym zakresie, aby skłonić Władimira Putina do zakończenia wojny, ten wyciągnął swoje atuty.

„CUDOWNE BRONIE"

Służba prasowa Kremla opublikowała nagranie wideo przedstawiające start nowej rakiety o napędzie atomowym Burawiestnik, a gen. Gierasimow, dowódca rosyjskich sił zbrojnych, poinformował, że w trakcie zakończonych sukcesem testów przeleciała ona 14 tys. km i przebywała w powietrzu 15 godzin. Zdaniem rosyjskich ekspertów rakieta, której Amerykanie nadali przydomek Skyfall, może krążyć w powietrzu przez nieograniczony czas, zmieniając zarówno tor, jak i wysokość lotu, co czyni ją niewykrywalną i niemożliwą do przechwycenia.

W tym samym czasie Putin wypowiedział kolejne porozumienie rozbrojeniowe dotyczące utylizacji plutonu pochodzącego ze zdemontowanych głowic atomowych, a kilka dni później w trakcie wizyty w jednym z moskiewskich szpitali, w którym leczą się ranni na Ukrainie żołnierze, poinformował o kolejnym, „wielki sukcesie" rosyjskiej armii. Tym razem chodzi o drona podwodnego Posejdon o napędzie atomowym, którego próby przeprowadzono w minionym tygodniu. Ten bezzałogowy system może – podobnie do Burawiestnika, tylko pod powierzchnią wody – miesiącami krążyć na głębokości ponad 1 tys. m,

Fot. photoibo/Shutterstock.com

eprasa.pl 93eeccb096

czekając na współrzędne celu. Można go uzbroić w głowice atomowe, nawet o mocy 2 Mt, i ma on być – jak podkreślił Putin – „niewykrywalny dla współczesnych systemów".

Eksperci wątpią w skuteczność nowych „cudownych broni" Putina. Paweł Luzin, emigracyjny specjalista w zakresie rosyjskiego uzbrojenia, komentując próby, podkreślił, że nie wniosły one niczego nowego i przypomniał, że już w 2018 r. Putin straszył Zachód nowymi „cudownymi" systemami uzbrojenia. „Nic się nie zmieniło od 7,5 roku – powiedział Luzin – Buriewiestnik to stuprocentowe oszustwo; Posejdon nie jest tym, za co próbują go przedstawiać; Pereswiet to przesadzona i bezsensowna opowieść o laserach bojowych, której początki sięgają prac badawczo-rozwojowych z lat 80.; pocisk balistyczny Sarmata to zmodernizowana wersja radzieckiego pocisku balistycznego R-36M". Innymi słowy Putin straszy, blefując, a jego nowe rozwiązania są jedynie lekko zmodyfikowanymi systemami opracowanymi w ZSRR jeszcze w latach 80. XX w.

Rosyjski przywódca, niezrażony tymi opiniami, twardo licytuje w rozgrywce z Donaldem Trumpem, ale amerykański prezydent niezbyt się przejął rosyjskimi sukcesami i przypomniał lokatorowi Kremla, że Stany Zjednoczone mają „najlepszy na świecie atomowy okręt podwodny tuż u wybrzeży Rosji". Przezornie wydał też Pentagonowi rozkaz, aby amerykańskie siły zbrojne „natychmiast rozpoczęły testy broni jądrowej". W tym przypadku chodzi o pokazanie, iż Waszyngton nie wystraszył się tego, co robią Rosjanie i jest gotów do przeprowadzenia lustrzanych posunięć.

Po co zatem Putin odwołuje się do „atomowych argumentów", strasząc wyścigiem zbrojeń strategicznych i informując o „cudownych" konstrukcjach, które Rosjanie mają już w swoim arsenale? Zapewne chodzi o negocjowanie warunków zakończenia wojny na Ukrainie. Kirył Dmitrijew, jeden z rosyjskich wysłanników, a prywatnie przyjaciel córki Putina, przebywał w tym samym czasie, w którym przeprowadzano próby „cudownych broni", w Stanach Zjednoczonych i komentując toczące się rozmowy, deklarował, że strony są bliskie osiągnięcia „dyplomatycznych rozwiązań" w kwestii zakończenia wojny. Ale nie jest to jedyna interpretacja rosyjskiej strategii.

Melissa Lawford w artykule opublikowanym przez brytyjski „The Telegraph" zwróciła uwagę na wydarzenie, które światowa opinia publiczna zlekceważyła. Chodzi o oficjalne oskarżenie przez FSB Michaiła Chodorkowskiego i 22 innych przedstawicieli rosyjskiej emigracji, którzy powołali w Londynie komitet antywojenny, o to, że ci w przeszłości, ale obecnie bez większego znaczenia polityczni uchodźcy planują zamach stanu w Rosji i obalenie Putina.

Komunikat rosyjskich władz w tej sprawie wart jest dostrzeżenia nie dlatego, że rosyjscy emigranci polityczni zbudowali wpływową sieć oporu w Rosji, ale z zupełnie innego powodu. Jeśli podejmuje się działania wobec tego rodzaju przedsięwzięć, to mamy do czynienia z czytelnym sygnałem, iż reżim jest zaniepokojony, obawia się destabilizacji, wybuchu niezadowolenia i nieco na oślep próbuje likwidować zagrożenia.

Skąd to zaniepokojenie rosyjskich siłowików? Wojna weszła w nową fazę. Jak napisał Bob Seeley, autor wydanej właśnie książki „Nowa wojna totalna", konflikt przekształca się w pojedynek rakietowo-powietrzny. Rosja niszczy ukraińską infrastrukturę energetyczną, a Ukraina atakuje rosyjskie rafinerie i inne zakłady przemysłowe. Niedawne porozumienie Kijowa ze Sztokholmem może też przynieść zmiany w wojnie powietrznej, bo Ukraińcy mogą niedługo dostać szwedzkie Gripeny. Zdaniem amerykańskiego wywiadu nic też nie sygnalizuje, iż Putin na serio myśli o pokoju. Innymi słowy – wojna się przedłuża i mamy do czynienia z tą jej fazą, którą można określić jako konflikt na wyniszczenie potencjałów ekonomicznych obydwu państw.

KOSZTOWNA WOJNA

W tym scenariuszu należy upatrywać źródeł zaniepokojenia rosyjskiej elity władzy. Na pozór wszystko jest pod kontrolą. W przyszłorocznym budżecie Federacji Rosyjskiej wydatki na kontynuowanie wojny nieznacznie spadają, ale i tak pozostają na poziomie 8 proc. PKB. Ze sfinansowaniem wysiłku wojennego również nie powinno być problemów, bo w świetle oficjalnych prognoz deficyt budżetowy w 2026 r. zaplanowano na poziomie 1,6 proc. PKB, czyli wielokrotnie mniej niż w państwach takich jak Francja, nie mówiąc już o Polsce.

Jednak analizując głębiej rosyjskie statystyki, obraz nie jest już tak różowy. Zachodni eksperci zwracają uwagę na to, że co prawda Federacja Rosyjska ma relatywnie niskie zadłużenie, które w relacji do PKB wynosi ok. 15 proc., ale koszty obsługi długu publicznego są porównywalne z ponoszonymi przez Wielką Brytanię, zadłużoną na poziomie 93 proc. swego PKB. Rosja, która po agresji została wykluczona z międzynarodowych rynków finansowych, ma po prostu mniejsze możliwości zaciągania relatywnie tanich kredytów na światowych rynkach i musi wykorzystywać zasoby wewnętrzne, tyle że przy stopach Banku Rosji, które niedawno zostały obniżone do 16,5 proc. w skali roku – a jeszcze kilka miesięcy temu wynosiły 21 proc. – takie kredyty bardzo dużo kosztują.

Jest jeszcze jeden problem, trudny do dokładnego oszacowania. Lokaty ludności w rosyjskich bankach osiągnęły – m.in. w związku z hojnymi wypłatami wojennymi – poziom 140 bln rubli i nominalnie powinny wystarczyć na sfinansowanie jeszcze kilku lat wojny, ale nie wiadomo, ile z tych pieniędzy zostało już utopionych w firmach z sektora zbrojeniowego, które przez ostatnie 3,5 roku były kredytowane na potęgę i nie musiały się liczyć z rachunkiem ekonomicznym. Trudno mówić o załamaniu się rosyjskich finansów publicznych, sytuacja jest pod kontrolą, a rosyjskie władze chwalą się tym, iż rubel był tą walutą, która w bieżącym roku umocniła się najmocniej wobec dolara. Jednak pewne ograniczenia już widać.

Jak zauważał András Tóth-Czifra, analizujący na łamach portalu The Ridle wydatki rosyjskich władz regionalnych, większość z nich została zmuszona do ograniczenia wypłat jednorazowych premii dla tych, którzy decydują się na podpisanie kontraktów

eprasa.pl 93eeccb096

z rosyjskimi siłami zbrojnymi. W niektórych przypadkach dochodziły one do 2 mln rubli, a teraz zostały zredukowane do 400 tys., podobnie zresztą jak nakłady na ochronę zdrowia, edukację czy remonty i naprawy infrastruktury komunalnej.

Pieniędzy po prostu zaczyna brakować, o czym świadczy też skokowy wzrost emisji obligacji państwowych. Jak obliczyli eksperci z Instytutu KSE w Kijowie, między styczniem a sierpniem br. Rosjanie zwiększyli emisję o 104 proc. Innym dowodem na potwierdzenie tezy o pogarszającym się stanie rosyjskich finansów publicznych jest decyzja o podniesieniu przez władze w przyszłym roku podatku VAT o 2 proc. – do poziomu 22 proc. – a także redukowane prognozy wzrostu gospodarczego. W tym roku ma on wynieść 1 proc., podczas gdy w 2024 r. władze informowały o 4,3-proc. wzroście. Kwitnie właściwie wyłącznie przemysł zbrojeniowy, a producenci cywilni przegrywają walkę z chińską konkurencją, czego najlepszym dowodem są decyzje rosyjskich producentów samochodów, którzy informują o zmniejszeniu liczby dni roboczych do czterech.

Z pewnością nie można powiedzieć, iż rosyjska gospodarka jest na progu załamania, choć trudności narastają i niedługo mogą wpływać na nastroje, zarówno szerokich rzesz ludności, jak i przede wszystkich klasy politycznej. Do tych ostatnich – do elity – w swoich wystąpieniach odwoływał się Chodorkowski, który podkreślał, iż przedłużająca się wojna – nawet jeśli Rosja ją wygra – to i tak będzie kosztowała Federację utratę szans na rozwój. W opinii Chodorkowskiego najpoważniejszym problemem Rosji jest obecnie „rosnące zacofanie technologiczne". Jego zdaniem „Rosja staje się coraz bardziej archaiczna, niezdolna nie tylko do tworzenia innowacji, lecz nawet do adaptacji cudzych. W perspektywie krótkoterminowej nie jest to bardzo widoczne, ale za 10–20 lat doprowadzi do poważnych problemów".

Były właściciel Jukosu przekonuje rosyjską elitę, że wojna oznacza zaprzepaszczenie szans na przekształcenie Rosji w globalne mocarstwo. Co więcej, kontynuowanie obecnej linii grozi sprowadzeniem kraju do roli ekonomicznej kolonii Chin. W świetle tej argumentacji zakończenia konfliktu winni sobie życzyć przede wszystkim patrioci Rosji. Ci, którzy dziś popierają wojnę na Ukrainie, i to do nich adresuje swe przesłanie Chodorkowski. Chodzi oczywiście o ludzi z rosyjskiego kręgu władzy i biznesu, którzy mogą być też niezadowoleni z tego, iż większość skonfiskowanych na polecenie Kremla firm zachodnich trafia w ręce wąskiego grona starych przyjaciół Putina z kręgu „spółdzielni Oziero", czyli do braci Kowalczuk czy Arkadija Rotenberga i jego syna.

> Wypowiadający się dla dziennika „The Financial Times" eksperci są zdania, iż objęcie amerykańskimi sankcjami Rosnieftu i Łukoilu oznacza spadek dochodów Rosji z eksportu węglowodorów o 15 proc.

BOLESNE SANKCJE

Sankcje Donalda Trumpa, choć punktowe, będą bardziej bolesne od europejskich, zostały też nałożone w dobrym czasie. Wypowiadający się dla dziennika „The Financial Times" eksperci są zdania, iż objęcie nimi Rosnieftu i Łukoilu oznacza spadek dochodów Rosji z eksportu węglowodorów o 15 proc., ale ta decyzja zbiegła się z innymi niekorzystnymi dla Kremla tendencjami. Ceny ropy naftowej na świecie spadają, a nowe sankcje oznaczają też wzrost upustów cenowych udzielanych przez rosyjskich eksporterów firmom z Chin i Indii, które odpowiadają za 84 proc. zakupów. Ponadto niewiele wskazuje na to, aby Ukraina chciała zaniechać atakowania rosyjskich rafinerii, co więcej – zapowiada intensyfikację tych działań.

Paradoksalnie sytuacja w Europie też może układać się nie po myśli Putina. Do tej pory polityka sankcji Unii Europejskiej – najdelikatniej ujmując – nie była skuteczna. Mimo 19 pakietów sankcji UE pozostaje – w czwartym roku wojny – trzecim pod względem wielkości obrotów partnerem handlowym Federacji Rosyjskiej. Belgia właśnie zablokowała możliwość użycia zamrożonych rosyjskich aktywów, aby gwarantować pożyczki dla Ukrainy, która aby przetrwać, rocznie musi dostawać nawet 40 mld dol.

Dlaczego to, co się stało w Brukseli, może oznaczać kłopoty dla Putina? Przede wszystkim z tego powodu, że nie można wykluczyć w odpowiedzi na impas utworzenia ewentualnej „koalicji chętnych", złożonej z państw gotowych pójść dalej w polityce sankcyjnej niż Belgia czy rządzona przez socjalistów Hiszpania. A to z kolei może oznaczać twardszą linię wobec „floty cienia" – kontrolowanej przez Moskwę armady przestarzałych tankowców obsługujących eksport rosyjskich węglowodorów. Państwa Morza Bałtyckiego mają wszystkie narzędzia, w tym prawne, aby objąć zwiększonym nadzorem statki pływające pod banderami państw afrykańskich do rosyjskich portów. Są one nie tylko nieubezpieczone, lecz także ich stan techniczny powoduje realne zagrożenie katastrofą ekologiczną. Można je kontrolować, zatrzymywać czy aresztować. Tego rodzaju polityka – jeśli zostanie wsparta przez Waszyngton – będzie oznaczać faktyczną blokadę, a z pewnością znaczne utrudnienie rosyjskiego handlu bałtyckiego, a to dzisiaj kanał dla 60 proc. eksportu Federacji.

Zachód ma zatem narzędzia presji na Rosję, a ich użycie oznacza, że problemy gospodarcze w tym kraju mogą zacząć narastać. Nawet jeśli pogorszenie sytuacji nie będzie miało charakteru lawinowego, to i tak część rosyjskiej elity władzy może zacząć myśleć, że kontynuacja wojny będzie oznaczać ekonomiczną, a w konsekwencji cywilizacyjną katastrofę. I na takich nastrojach chce grać Michaił Chodorkowski.

eprasa.pl 93eeccb096

Upadła V Republika

Kiedy się patrzy na dokonania francuskich elit w ostatnich dziesięcioleciach, aż dziw, że to państwo jeszcze trwa. Nie dziwi natomiast kompletny rozkład polityczny, właściwie upadek V Republiki, do którego doprowadził Emmanuel Macron

DARIUSZ MATUSZAK

Być może nie powinno się już pytać o to, czym jest Francja, szukając kontekstów politycznych, historycznych, kulturowych. Być może należy już pytać: co to jest Francja, odnosząc się do jakiegoś obszaru w Europie w 2025 r. To pierwsze pytanie oznacza głębsze poszukiwanie, a to drugie pozwala odpowiedzieć prostacko, jak za czasów pierwszego Tuska minister Sienkiewicz opisywał polskie inwestycje: „ch...j du...a i kamieni kupa". Albo: państwo z dykty i kartonu, w którym wszystko przestaje działać. Nawet jeśli polemizować z tymi określeniami, to Francja na pewno nie jest taka, jak ją definiował ostatni z wielkich Francuzów, gen. Charles de Gaulle: „Francja to nacja europejska, rasy białej, kultury grecko-łacińskiej i religii chrześcijańskiej". To już dawno nie jest aktualne, ale jak w paradoksie Eubulidesa o łysym nie da się stwierdzić, od którego momentu zdarzenia Francja nie jest/nie będzie

Fot. Dimitar DILKOFF/AFP/RESTRICTED TO EDITO/East News

eprasa.pl 93eeccb096

Francją. Te pytania nie są abstrakcyjne, zadają je sobie sami Francuzi: czy to jeszcze nasza ojczyzna? I nawet prezydent Emmanuel Macron twierdzi, że nie ma czegoś takiego jak kultura francuska. Jest już tylko kultura we Francji.

SYMBOLE

Mamy nadzieję, że ten przydługi wstęp pozwoli państwu bez uprzedzeń czytać poniższy tekst o Francji jako kraju groteskowym, nafaszerowanym farsą. Francja wymyka się analizom socjologicznym i politologicznym. One nie maja już zastosowania i sensu. Trzeba odrzucić klisze i algorytmy. Lepiej tłumaczyć ten kraj impresjami, wątkami jak z powieści, np. łotrzykowskiej, pornoromansideł albo symbolami.

Jednym z tych, którzy zdają się to rozumieć, jest David Frost, członek brytyjskiej Izby Lordów, były minister i dyplomata, główny negocjator brexitu ze strony brytyjskiej. Po drugiej stronie stolika zasiadał wtedy Donald Tusk, który był jednak tak nieudolny, że Bruksela zastąpiła go francuskim komisarzem Michelem Barnierem. Frost opowiada o Francji właśnie poprzez symbole. Według niego Francuzi wybrali Europę zamiast Francji i teraz od nich zależy, czy się ona odrodzi i co będzie jej symbolem. Czy odbudowana po pożarze 800-letnia katedra Notre Dame, czy koszmarne, brutalne w formie, liczące 50 lat Centrum Pompidou, które trzeba było zamknąć na pięć lat i wyremontować, bo się wali.

My wybieramy inne symbole – ostanie zdarzenia, które pokazują, czym jest dzisiejsza Francja. Chodzi o zuchwałą kradzież w Luwrze, posłanie za kraty pierwszego w dziejach Unii Europejskiej przywódcy państwa, czyli byłego prezydenta Sarkozy'ego i powołanie Sébastiena Lecornu na szefa rządu. Tym samym w ciągu miesiąca stał się on szóstym i siódmym premierem od czasu wyborów prezydenckich w 2022 r.

RÓŻOWA PANTERA W AKCJI

To się nie miało prawa stać, ale Luwr został obrabowany w biały dzień, na oczach zwiedzających. Rabunek bezczelnością przypominał te ze słynnej serii o „Różowej Panterze" i pociesznym inspektorze Clouseau. Czterech złodziei, udając robotników, podjechało pod muzeum ciężarówką z podnośnikiem. Z jego pomocą dostali się na drugie piętro i przez otwarty balkon weszli do Galerii Apollina. Tam rozwalili witrynę wystawową i skradli klejnoty z kolekcji Napoleona I i III – tiarę cesarzowej Eugenii, naszyjniki Marii Luizy, biżuterię królowych Hortensji i Marii Amelii. Wartość materialna to 88 mln euro. A potem uciekli na skuterach. Wszystko trwało 7 min. Tak obrobiono najczęściej odwiedzane muzeum świata – 10 mln osób rocznie.

> Tylko ostanie zdarzenia, czyli zuchwała kradzież w Luwrze, posłanie za kraty byłego prezydenta Sarkozy'ego i powołanie Sébastiena Lecornu na szefa rządu, pokazują, czym tak naprawdę jest dzisiejsza Francja

KLEJNOTY I KLAMOTY

Minister sprawiedliwości Gérald Darmanin zapłakał, mówiąc, że „stawia to Francję w okropnym świetle". Opozycja, czyli właściwie wszyscy, mówią, że to było „upokorzenie dla narodu". Rzeczniczka rosyjskiego MSZ Maria Zacharowa szydzi, że prezydent Macron zamiast bredzić o wysłaniu francuskich wojsk na Ukrainę powinien obstawić nimi Luwr. A brytyjscy politycy związani z brexitem cieszą się, ale pomstują, że 88 mln euro zrabowane w klejnotach to znacznie mniej niż 500 mln, które Francja kradnie Wielkiej Brytanii. Tyle bowiem dostał Paryż od Londynu na trzyletni program powstrzymywania desantu nielegalnych imigrantów przez kanał La Manche.

Kiedy rabusie pakowali klejnoty, dokładnie to samo ze swymi klamotami robił były prezydent Francji Nicolas Sarkozy. Dwa dni po napadzie na Luwr, 21 października, zatrzasnęły się za nim kraty paryskiego Prison De la Santé. Po naszemu to Więzienie Zdrowia. Sarkozy ma spędzić trzy lata w przybytku położonym w XIV Dzielnicy, po drugiej stronie Sekwany niż Luwr, w odległości dłuższego spaceru. To pierwszy przypadek w dziejach UE, by lider państwa wylądował za kratami. Na miejsce odprowadziła go małżonka – niegdyś słynna włoska modelka, a czasami piosenkarka Carla Bruni – i tłumek zwolenników w chustach z krzyżem lotaryńskim. Takim jak w herbach Litwy, Węgier, Słowacji i Jagiellonów. Nad Sekwaną to symbol dawnej Francji i Wolnej Francji walczącej w czasie II wojny światowej z Niemcami i kolaborantami reżimu Vichy.

Za co Sarkozy poszedł siedzieć? Wydaje się, że za całokształt, bo to był mało prawidłowy polityk. Nie tak jak Marine Le Pen, ale jednak. Tak czy owak sąd skazał go za próbę uzyskania od libijskiego przywódcy Muammara Kaddafiego pieniędzy na kampanię prezydencką. W zamian Kaddafiemu obiecano pomoc w odbudowie jego międzynarodowego wizerunku po tym, jak Trypolis oskarżono o zamachy bombowe na samolot pasażerski nad Lockerbie w Szkocji w 1988 r. i nad Nigrem w 1989 r. W oddzielnych sprawach Sarkozy usłyszał wyroki za próbę przekupstwa sędziego i malwersacje w kampanii wyborczej. Były prezydent miał też brać czy wyłudzać pieniądze od najbogatszej kobiety świata Liliane Bettencourt, właścicielki koncernu L'Oreal, ale został uniewinniony.

Dlaczego więc piszemy, że poszedł siedzieć za tzw. nieprawidłowy, nie dość postępowy całokształt? Bo od końca lat 60. XX w. i nierozwiązanej tzw. sprawy Markovicia – seksualnego skandalu, w który mieli być zamieszani prezydent George Pompidou i jego żona Claude – wszyscy władcy Francji byli oskarżani o machloje, łapówy i co tam jeszcze. Giscard d'Estaing o dobieranie się w ambasadzie w Kopenhadze do ówczesnej premier Danii Helle Thorning-

eprasa.pl 93eeccb096

-Schmidt, przyjmowanie diamentów od cesarza Środkowej Afryki Bokassy. Takie same wziątki brał François Mitterrand. Tego oskarżano też o podejrzane kontakty z René Bousquetem, byłym szefem policji reżimu Vichy, współodpowiedzialnym za zagładę francuskich Żydów. Mitterrand kumplował się z nim od kiedy sam był wysokim urzędnikiem kolaborującego z Niemcami Vichy. Bousqet nie doczekał procesu o ludobójstwo, bo tuż przed jego rozpoczęciem, w czerwcu 1993 r., został zastrzelony w swym mieszkaniu.

Jacques Chirac został skazany na dwa lata za defraudację publicznych funduszy i nadużycie władzy, ale w więzieniu nie wylądował. François Hollande był oskarżony o nadużycie władzy i nielegalne podsłuchiwanie dziennikarzy i polityków. Siedzieć poszli współpracownicy. Na razie Macron jest prezydentem, ale za wyłudzenia i nielegalny handel bronią siedzi szef jego ochrony Alexandre Benalla. Ochroniarz wylądował tam, gdzie Sarkozy, ale kumplami spod celi nie będą, bo każdy ma własną o powierzchni 9 m².

Reguła we Francji jest taka, że siedzieć idą służący, a nie władcy. Tych się co najwyżej zabija. Pytanie o to, dlaczego Mitterand, Chirac, Holland, d'Estaing nie wylądowali za kratami, ma taki sam sens, jak pytanie o Grodzkiego, Gawłowskiego i im podobnych. Dla Sarkozy'ego zrobiono wyjątek. Ot, weźmy np. historię prezes Europejskiego Banku Centralnego Christine Lagarde uznanej za winną tego, że jako minister finansów za prezydentury Sarozy'ego umożliwiła przedsiębiorcy Bernardowi Tapie nielegalne zagarnięcie od jednego z banków 400 mln euro. Część pieniędzy miała trafić na kampanię Sarkozy'ego. Lagarde została skazana na pogrożenie paluszkiem i w 2011 r. swobodnie wskoczyła na stanowisko prezesa Międzynarodowego Funduszu Walutowego, zastępując na stołku rodaka Dominique'a Strauss-Kahna. Ten miał zostać prezydentem Francji, ale mu się nie udało, po tym, jak został złapany w USA, gdy w hotelu próbował zgwałcić pokojówkę. Zresztą jeszcze jako minister był podejrzewany o machloje, gwałty, a potem też o udział w grupie przestępczej zajmującej się sutenerstwem.

Wspominamy o tym, bo jest jak w dawnym polskim powiedzeniu o Podolu. Choćbyś w ogrodach Pałacu Elizejskiego (siedziba prezydenta Francji) przy Hotelu Matignon, gdzie urzęduje premier, Pałacu Bourbonów i Luksemburskiego, gdzie mieszczą się Zgromadzenie Narodowe i Senat, jezuitów posiał, to i tak złodzieje wyrosną.

PAŁAC ZDROWIA

Jak Luwr ma w sobie historię tysiącleci, tak Więzienie Zdrowia dzieje świata i Francji ostatnich 150 lat. La Santé to więzienie francuskich i światowych sław. Gościli w nim m.in. dyktator Panamy Manuel Noriega, słynny terrorysta Ramírez Sánchez ps. Carlos Szakal, Jean Luc Brunel – właściciel agencji modelek, który raił Epsteinowi dziewczynki i jak on dobrowolnie powiesił się w celi. Siedział zgilotynowany później Pawieł Gorgułow – zabójca prezydenta Francji Paula Doumera. Swoje odsłużyli słynni pisarze i poeci, m.in. Jean Genet i Guillaume Apollinaire. Do tego całe tabuny polityków, burmistrzów, wysokich urzędników, aktorów, dziennikarzy, piosenkarzy, przedsiębiorców, jak wspomniany wcześniej Tapie, terrorystów i bojowników korsykańskich, baskijskich, hiszpańskich, bretońskich czy algierskich.

Każda cela to właściwie izba pamięci, i to często tej najgorszej, jak po Le Coral, jednym z ośrodków alternatywnego wychowania trudnych, obciążonych umysłowo czy pochodzących z patologicznych rodzin dzieci. Finansowane przez państwo i samorządy miejsca, w których uprawiano „terapię przez bliskość", były w rzeczywistości izbami tortur i najgorszych pedofilskich perwersji, „niebieskich baletów" – jak nazywano orgie z udziałem chłopców. W sprawę byli zamieszani bywalcy ośrodków, kolekcjonerzy artystycznych chłopięcych zdjęć, czyli jak zwykle politycy, sędziowie, profesorowie, filozofowie, pisarze, dziennikarze. I co z tego? Prezydent Mitterrand kazał utopić śledztwo i do sieci powędrowało kilka płotek.

Kiedy się patrzy na dokonania francuskich elit w ostatnich dziesięcioleciach, aż dziw, że to państwo jeszcze trwa. Nie dziwi natomiast kompletny rozkład polityczny, właściwie upadek V Republiki, do którego doprowadził Macron. Od wyborów prezydenckich w 2022 r. obdarzył Francję już szóstym premierem, poczynając od Élisabeth Borne, która, mężata i dzieciata, w wieku 60 lat przypomniała sobie, że jest lesbijką. Po niej był Gabriel Attal, który zasłynął głównie tym, że musiał się rozwieść, by objąć tekę szefa rządu, bo nie wypadało, by w jednym rządzie mąż był premierem, a jego mąż – czy jakoś tak – ministrem spraw zagranicznych. A potem byli kolejni.

Niestety sprawy tak się mają, że więcej Francuzów myśli o tym, czy żona prezydenta Francji jest facetem, niż kto jest szóstym premierem w ciągu trzech lat. I to wcale nie jest przenośnia. Nie ma sensu się zastanawiać, kiedy będzie kolejne wotum nieufności, czy Sébastien Lecornu je przetrwa i który z ministrów może go zastąpić. Żaden z nich niczego nie wymyśli. Samego Lecornu w ciągu tygodnia dosięgły dwa wota nieufności, z których jedno przeżył. Nie ma wątpliwości, że – jak zauważa polsko-francuski analityk i filozof Daniel Foubert z Instytutu Nowej Europy – Macron zniszczył każdą strukturę, która zapewniała we Francji jakąś równowagę. „Partia Socjalistyczna upadła pod jego prezydenturą, tracąc swój elektorat, ideologię i historyczną rolę instytucjonalnej lewicy. Konserwatyści z Les Républicains, osłabieni już wewnętrznymi podziałami, zostali wchłonięci i zneutralizowani. Macron przejął ich technokratów, ekonomistów i bazę społeczną, pozostawiając po sobie pustą organizację bez kierunku i celu. Jego ruch, La République En Marche, nigdy nie był prawdziwą partią, tylko machiną wyborczą zbudowaną wokół niego, zaprojektowaną do posłuszeństwa, a nie do debaty". Dodam, że bardziej przypominał Avon z wielkim mistrzem sprzedaży, liderami pod nim, a na końcu konsultantami. Różnica jest taka, że handluje się głosami i wpływami, a nie kosmetykami. Avon też upadł. „W niecałą dekadę Macron przekształcił francuski establishment w próżnię" – twierdzi Foubert. To ostanie należy jednak uznać za osiągniecie. Na co komu taki establishment? Lepiej niech już siedzi w Więzieniu Zdrowia.

eprasa.pl 93eeccb096

Tajemnica promu Jan Heweliusz

Wraz z premierą serialu „Heweliusz" na Netfliksie powraca jedna z najbardziej wstrząsających i tajemniczych tragedii morskich w polskiej historii. Twórcy sięgają po dramat sprzed ponad trzech dekad, by opowiedzieć o wydarzeniach, które do dziś budzą emocje i wątpliwości. To nie tylko opowieść o potężnym sztormie i tonącym statku, lecz także o błędach, zaniedbaniach i pytaniach, które do dziś nie znalazły jednoznacznej odpowiedzi

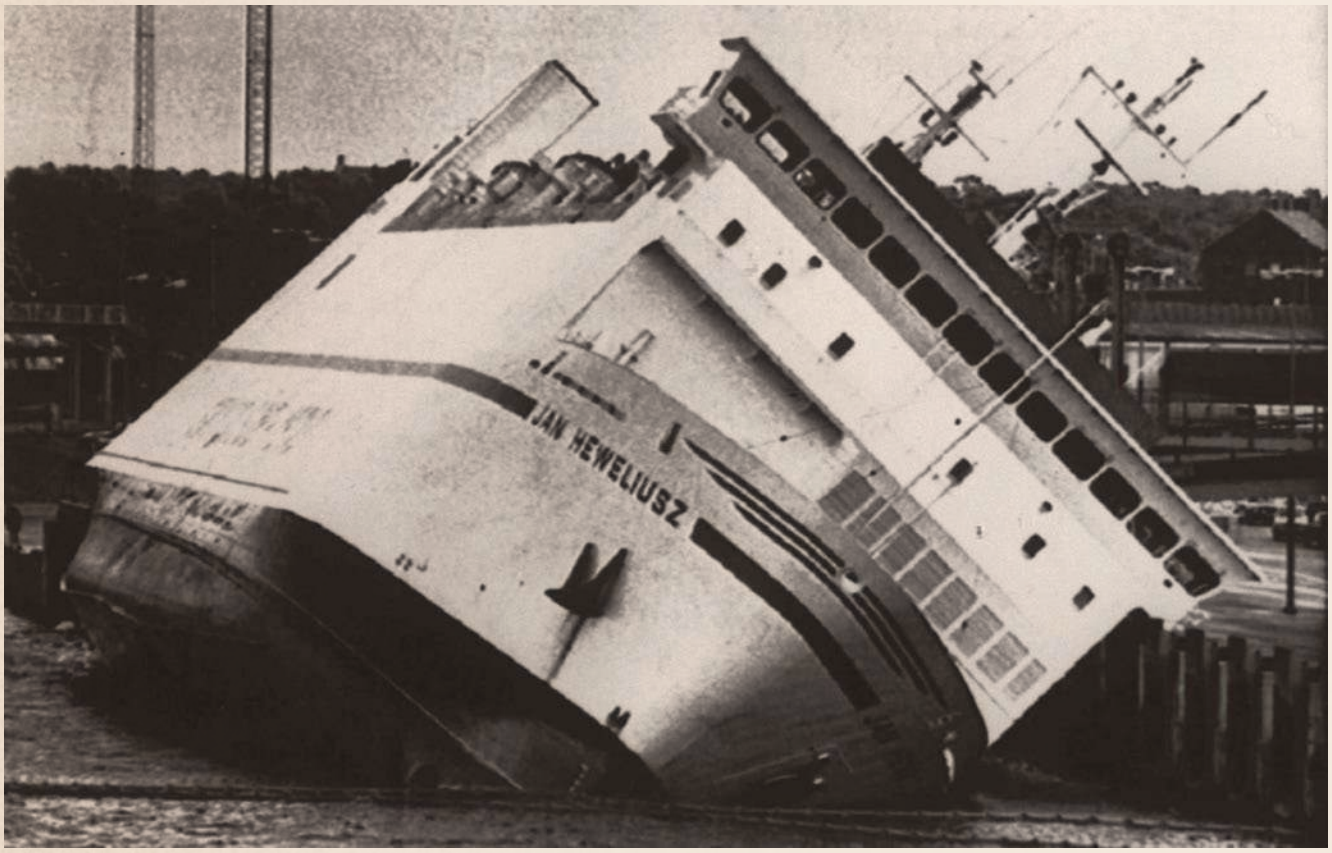

Fot. PAP/archiwum

STANISŁAW PŁUŻAŃSKI

Z pozoru był to zwyczajny rejs – rutynowa przeprawa promu ze Świnoujścia do Ystad. Zima 1993 r. nie należała do spokojnych, a Bałtyk tego dnia pokazał swoje najgroźniejsze oblicze.

Prom MF Jan Heweliusz, wysłużona jednostka pamiętająca lata 70., wypłynęła mimo ostrzeżeń o nadciągającym sztormie. Wkrótce po północy sytuacja na morzu zaczęła wymykać się spod kontroli. Nikt z załogi jeszcze nie przypuszczał, że ta podróż zapisze się w historii jako jedna z największych morskich katastrof współczesnej Europy. Że do dziś pozostanie w niej wiele znaków zapytania.

PROBLEMATYCZNA EKSPLOATACJA

Prom kolejowo-samochodowy typu Ro-Ro MF Jan Heweliusz zbudowano w 1977 r. w norweskiej stoczni Trosvik Verksted na zamówienie Polskich Linii Oceanicznych. Nazwany imieniem słynnego gdańskiego astronoma, wraz z bliźniaczym Mikołajem Kopernikiem obsługiwał linię Świnouj-

eprasa.pl 93eeccb096

Kadr z serialu produkcji Netflix

ście–Ystad, przewożąc ciężarówki i wagony towarowe. Z założenia miał być symbolem nowoczesności i morskiej niezawodności, jednak szybko stał się synonimem problemów.

Już od pierwszych lat służby wokół jednostki pojawiały się niepokojące sygnały. Jej konstrukcja sama w sobie niosła wyzwania związane z zachowaniem równowagi – szczególnie wtedy, gdy statek był mocno obciążony lub niepoprawnie załadowany. W raportach i wspomnieniach załogi wielokrotnie wspomina się o licznych awariach, kolizjach i silnych przechyłach.

Do momentu katastrofy Jan Heweliusz w ciągu 15 lat służby miał za sobą aż 28 incydentów: przechyły na otwartym morzu, dwukrotne przewrócenie się w porcie, zderzenia z kutrami rybackimi oraz awaria silnika. W 1986 r. wybuchł na nim pożar, w trakcie którego szczęśliwie nikt nie ucierpiał. Dokonano po nim wątpliwej jakości naprawy. Kadłub został wyrównany 60-tonową betonową wylewką, co zwiększyło jego ciężar i przesunęło środek ciężkości. Próby stateczności po remoncie nigdy nie zostały przeprowadzone.

Marynarze mówili o „pływającej trumnie", mając na myśli statek, który zamiast pewności, dawał poczucie zagrożenia. Ostatni, kluczowy sygnał ostrzegawczy pojawił się tuż przed tragedią. 10 stycznia 1993 r. podczas cumowania w porcie Ystad prom uszkodził furtę rufową, czyli klapę zamykającą wnętrze pokładu kolejowo-samochodowego. Awaria nie została zgłoszona administracji morskiej. Armator – firma Euroafrica – zadecydował, że naprawy będą prowadzone podczas postojów, bez remontu stoczniowego. Nie zdążono ich ukończyć przed kolejnym rejsem.

W chwili wypłynięcia Jan Heweliusz nie spełniał więc podstawowych wymogów strugoszczelności. Był jednostką wyeksploatowaną, wadliwie naprawianą i mimo ostrzeżeń nadal wysyłaną w morze. Ta kumulacja błędów, rutyny i ludzkiego zaniechania sprawiła, że tragedia wydawała się tylko kwestią czasu. Niestety wydarzyła się w najgorszych możliwych okolicznościach.

FERALNY REJS

W nocy z 13 na 14 stycznia 1993 r. Jan Heweliusz wyruszył ze Świnoujścia do szwedzkiego Ystad z dwugodzinnym opóźnieniem, niedługo przed północą. Na pokładzie trwały jeszcze prace przy uszkodzonej furcie rufowej. Kapitan chciał odwołać wyjście w morze i skierować jednostkę do portu, jednak Euroafrica nakazała dokończenie prowizorycznej naprawy. Na promie znajdowało się 64 ludzi: członkowie załogi oraz kierowcy 28 ciężarówek przewożących ładunki, takie jak odzież, stal, meble, konserwy, szkło, krzewy ozdobne, a nawet osocze. Oprócz tego Jan Heweliusz wiózł 10 wagonów kolejowych. By nadrobić stracony czas, jednostka z pełną prędkością ruszyła w kierunku Szwecji.

Wkrótce po opuszczeniu portu Jan Heweliusz znalazł się w samym sercu potężnego sztormu o sile 12 st. w skali Beauforta. Wiatr osiągał prędkość huraganu, a fale sięgały kilku metrów. Na bliźniaczym promie MF Mikołaj Kopernik na przyrządzie do pomiaru siły wiatru skończyła się skala. Mimo alarmujących warunków tamtej nocy wszystkie promy wypłynęły w morze. Presja przewozów i napięty harmonogram zwyciężyły nad rozsądkiem. Następne ciężarówki już czekały na wybrzeżu na przeprawę do Szwecji.

Załoga Heweliusza popełniła też kilka kluczowych błędów. Ładunek nie był właściwie zabezpieczony, a statek, zamiast trzymać się osłoniętego wybrzeża, obrał trasę przez otwarte morze. Włączono system kompensacji przechyłu, który w praktyce pogarszał stabilność jednostki, reagując z opóźnieniem na gwałtowne ruchy fal. Ponadto w związku z warunkami pogodowymi zdecydowano o zmniejszeniu prędkości statku. W obliczu dużych fal oraz silnego wiatru zwiększało to ryzyko utraty sterowności. Próbowano to zrekompensować za pomocą dziobowego steru strumieniowego, który wyłączał się na skutek przegrzania. Kapitanowie przepływających w pobliżu statków bezskutecznie nawoływali Heweliusza do zwiększenia prędkości.

Około 4.00 potężny podmuch uderzył w lewą burtę. Prom przechylił się, a kolejne fale zrywały mocowania naczep i wagonów. Ciężarówki zaczęły się przemieszczać po pokładzie, wywracając się i rozsypując ładunki. Przez uszkodzoną furtę rufową do środka wlewała się woda. Kapitan Andrzej Ułasiewicz zawiadomił Kopernika, że jego statek ma przechył 30 st., a on sam zmuszony będzie ogłosić alarm opuszczenia pokładu. O 4.37, kiedy jednostka nie była w stanie utrzymać się na powierzchni, wysłano sygnał SOS. Kapitan nakazał wszystkim pasażerom i członkom załogi ewakuację. Niespełna 40 min później, o 5.12, Jan Heweliusz przewrócił się.

AKCJA RATUNKOWA

Stacja brzegowa wywoływała Jana Heweliusza, pytając o pozycję jednostki. Odpowiedziano, że przechył na burtę dochodzi do 70 st., a następnie zapadła cisza. Załoga, wzywając pomoc, nie zdołała podać dokładnej pozycji statku, co opóźniło rozpoczęcie akcji ratunkowej. Służby wiedziały tylko, że tragedia rozgrywa się 16–20 mil morskich na wschód od wybrzeży wyspy Rugia. Choć wielu pasażerów przetrwało samo zatonięcie, zginęli później w lodowatej wodzie, wyziębieni przez porywisty wiatr i fale zalewające tratwy ratunkowe. Większość była zaskoczona katastrofą, wielu uciekało ze statku w piżamach. Członkowie załogi dysponowali ocieplanymi skafandrami, lecz nie wszyscy zdążyli je zabrać z kajut.

Tragiczny bilans pogłębiły błędy służb ratunkowych. Ratownicy z niemieckiego statku Arcona nie zeszli do rozbitków, ograniczając się do spuszczenia siatki, po której mieli się wspinać. Elektryk Andrzej Korzeniowski nie utrzymał się na

Fot. Netflix

eprasa.pl 93eeccb096

zdrętwiałych dłoniach i utonął. W innym momencie opuszczona ze śmigłowca lina z pasem ratowniczym zahaczyła o tratwę i przewróciła ją do góry dnem. Drugi oficer Mariusz Schwebs i kucharz Bogdan Zakrzewski zdołali w ostatniej chwili wyskoczyć, lecz steward Janusz Szydłowski, stewardesa Teresa Sienkiewicz i oficer pożarowy Janusz Subicki, ubrani w niezatapialne kombinezony, nie mogli się wydostać spod tratwy i zmarli.

Kadłub statku przez kilka dni dryfował do góry dnem po Bałtyku. W tym czasie służbom ratunkowym nie udało się dostać do środka promu. Następnie wrak osiadł na dnie.

W katastrofie zginęło 56 osób – 20 marynarzy i 36 pasażerów, w tym 2 dzieci. Uratowano 9 członków załogi. Liczba nieodnalezionych ciał – według różnych źródeł – waha się od 6 do 10. Większość pasażerów stanowili kierowcy ciężarówek z Polski, Szwecji, Węgier, Jugosławii, Austrii, Czech i Norwegii. Ten dramatyczny przebieg rejsu zestawiony z jego rutynowym charakterem czyni tragedię Jana Heweliusza jednym z najbardziej przejmujących epizodów w historii polskiej żeglugi.

TAJEMNICE, NIEDOPOWIEDZENIA I DOCHODZENIE

Dochodzenie ujawniło liczne zaniedbania: od wad konstrukcyjnych po błędy w decyzji o wypłynięciu. Potwierdzono, że prom miał uszkodzoną i nieszczelną furtę rufową, a mimo to został dopuszczony do rejsu. Śledztwo, pełne luk i pominięć, ciągnęło się latami, a jego wyniki nie rozwiały wszystkich wątpliwości. W maju 1993 r. Państwowa Inspekcja Pracy przygotowała raport obciążający armatora promu, jednak nie został on ujawniony opinii publicznej.

Wkrótce rozpoczęło się postępowanie przed Izbą Morską w Szczecinie, które zakończyło się w styczniu 1994 r. orzeczeniem nieprzypisującym winy żadnej ze stron. Według doniesień medialnych decyzja miała być podyktowana patriotyzmem, zgodna z racją stanu i mająca chronić polską żeglugę. Orzeczenie zostało jednak uchylone, a w tym samym roku sprawę przejęła Izba Morska w Gdyni. W lutym 1996 r. uznała ona, że Jan Heweliusz wypłynął w stanie niezdatnym do żeglugi, m.in. z nieszczelną furtą rufową. Według orzeczenia Izby odpowiedzialność za katastrofę ponosił armator Euroafrica oraz część załogi, w tym kapitan.

W toku postępowania odwoławczego stwierdzono co prawda zły stan techniczny jednostki, lecz uznano, że nie miał on bezpośredniego wpływu na tragedię, obarczając winą głównie kapitana. Sprawa trafiła następnie do Europejskiego Trybunału Praw Człowieka w Strasburgu, który w 2005 r. przyznał rodzinom ofiar odszkodowania. Trybunał orzekł, że polskie Izby Morskie nie działały w sposób bezstronny i niezależny, pomijały część dowodów i świadków, a skład sędziowski był powiązany z resortami sprawiedliwości i transportu, co stanowiło naruszenie Europejskiej Konwencji Praw Człowieka.

Wokół katastrofy pojawiły się liczne pytania i kontrowersje, w wielu przypadkach do dzisiaj niewyjaśnione. Jak to możliwe, że jednostka w tak złym stanie technicznym w ogóle wypłynęła? Dlaczego nie wykonano prób po remoncie? Czy armator świadomie ryzykował? Według relacji znajdowały się tam ciężarówki i wagony kolejowe z bardzo zróżnicowanymi ładunkami: od stali i mebli po konserwy, a nawet plazmę krwi. Czy wszystko było właściwie zabezpieczone? Czy to właśnie przesunięcie ładunku było kluczowym czynnikiem katastrofy? Pytania dotyczą także śledztwa, które było pełne pominięć. Przykładowo nie przeprowadzono próby przechyłowej po remoncie ani nie przesłuchano wszystkich świadków. Czy dochodzenie rzeczywiście dążyło zatem do prawdy, czy raczej do jej przykrycia?

Nie jest także znana dokładna liczba uczestników rejsu, co pokazuje przypadek szwedzkiego kierowcy Rolfa Gorgsa, który rzekomo miał przeżyć katastrofę, choć później się okazało, że prawdopodobnie nigdy nie znajdował się na pokładzie. Niejasne pozostają również losy piątki studentów Uniwersytetu Warszawskiego, którzy mieli wykupiony wspólny bilet, lecz ich nazwisk nigdy nie znaleziono na listach pasażerów. Powstały również teorie mówiące o przemycie, który rzekomo odbywał się na promie. Według jednej z wersji MF Jan Heweliusz miał być wykorzystywany do szmuglowania broni z Rumunii. Zaangażowanie funkcjonariuszy WSI w śledztwo dotyczące zatonięcia promu miało ukryć ten fakt.

> Marynarze mówili o „pływającej trumnie", mając na myśli statek, który zamiast pewności, dawał poczucie zagrożenia

PAMIĘĆ I REFLEKSJA

Serial „Heweliusz" ma szansę nie tylko przypomnieć o ofiarach jednej z największych morskich tragedii w historii Polski, lecz także ponowić pytania, które od 30 lat pozostają bez odpowiedzi. Kiedy jesienią 2025 r. pojawi się na platformie Netflix, widzowie powrócą do historii, która wciąż budzi emocje i kontrowersje. To nie będzie jedynie opowieść o morzu i sztormie, lecz także o systemie, który zawiódł, rutynie prowadzącej do tragedii i o ludzkich decyzjach, które zaważyły na życiu kilkudziesięciu osób. Produkcja, zapowiadana jako jedna z największych polskich realizacji Netfliksa, ma połączyć dramat katastrofy z thrillerem o odpowiedzialności, pamięci i milczeniu.

To także moment, by zadać sobie pytanie, czego tak naprawdę nauczyła nas tragedia Jana Heweliusza. Czy dziś bezpieczeństwo morskie w Polsce wygląda inaczej? Czy nadzór nad tego typu statkami jest skuteczniejszy? I wreszcie – czy poza pamięcią o ofiarach historia potrafi uczynić coś więcej, niż tylko informować? Bo katastrofa promu MF Jan Heweliusz to nadal otwarty rozdział dziejów polskiej żeglugi, którego cień do dziś unosi się nad Bałtykiem. I może właśnie dlatego wciąż nas fascynuje, porusza i przeraża.

eprasa.pl 93eeccb096

Fenomen Tildy

Do światowego kina weszła szlakiem Caravaggia. Na scenę Teatru TV trafi z poznańskiej Malty, gdzie odkrywała kostiumy z filmów Pasoliniego. Tilda Swinton – zjawiskowa i niepowtarzalna gwiazda ekranu, modowych wybiegów i wyobraźni

Fot. TVP

eprasa.pl 93eeccb096

JOLANTA GAJDA–ZADWORNA

Fot. TVP

W projekcie „Embodying Pasolini", czyli „Ucieleśnienie Pasoliniego" przymierza na scenie 28 kostiumów z filmów włoskiego reżysera Piera Paola Pasoliniego. Suknie, płaszcze i kapelusze – a w tle także detale z ekranowej scenografii – wyjęte z magazynów produkcji, takich jak „Ewangelia według świętego Mateusza", „Dekameron", „Król Edyp" oraz „Salò, czyli 120 dni Sodomy".

PRZYWOŁANY NA SCENIE

Zarejestrowane dla Teatru TV wydarzenie (premiera telewizyjna 3 listopada, godz. 20.30), w którym Tilda Swinton wystąpiła przed polską publicznością, miało miejsce na tegorocznym Malta Festival, łączącym różne dziedziny sztuki: teatr, taniec, muzykę, techniki wizualne i film.

W formułę poznańskiego wydarzenia wpisało się „Embodying Pasolini" – projekt czerpiący z performance'u, teatru, mody i kina. W takiej formule postanowił przypomnieć włoskiego twórcę Olivier Saillard. Francuski historyk mody i sztuki wszedł w materialny świat filmów Pasoliniego, by przywołać go na scenie pół wieku po premierze ostatniej produkcji („Salò, czyli 120 dni Sodomy") oraz tragicznej śmieci reżysera – skandalisty i wizjonera (zmaltretowanego i zamordowanego na plaży w Ostii w noc kończącą 1 listopada 1975 r.).

ARTYSTKA-KAMELEON

Autorski spektakl Saillarda, do którego zaprosił Tildę Swinton, to wyjątkowa publiczna prezentacja (wcześniej nie było na to zgody) kostiumów zaprojektowanych przez Danila Donatiego do filmów Pasoliniego. Po poznańskiej prezentacji pojawił się m.in. taki komentarz: „Zamknięta w pięknych tkaninach Swinton nie wciela się w przypisane kostiumom konkretne filmowe postaci. Jej rolą jest właśnie brak roli". I ta opinia właściwie mogłaby dotyczyć większości postaci stworzonych przez aktorkę. Nie zagranych, a hipnotycznie wypełnionych jej oryginalnością. Plastycznie wykorzystujących fizyczność aktorki. Bo Swinton to też artystka-kameleon. Wystarczy przypomnieć choćby podwójną rolę w filmie „Okja" (2017) albo Starożytną w „Doktorze Strange" (2016) lub legendę rocka Marianne Lane („Nienasyceni", 2015). Na długiej liście są też: Madame D. z „Grand Budapest Hotel" (2014), szalona psychoanalityczka z „Teorii wszystkiego" (2013), Mason, jeden z niewielu ludzi, którzy przeżyli zagładę Ziemi („Snowpiercer: Arka przyszłości", 2013), Blondynka w filmie Jarmuscha „The Limits of Control" (2009) czy Biała Czarownica z „Opowieści z Narnii: Lew, czarownica i stara szafa". W większości swoich ról Swinton jest zjawiskowa. Zresztą poza ekranem też. Od lat tworzy swój niepodrabialny wizerunek – inspirujący twórców i przyciągający widzów.

ZBUNTOWANA ARYSTOKRATKA

Tilda, a właściwie Katherine Matilda Swinton, urodziła się 5 listopada 1960 r. w Londynie, choć jej korzenie sięgają szkockiej arystokracji. Wychowywała się w ogromnej rezydencji, później trafiła do elitarnej i bardzo rygorystycznej West Heath Girls' Scholl (tej samej, do której uczęszczała Diana Spencer). Jako kolejny etap wybrała Fettes College w Edynburgu, a po nim, zamiast – jak chcieli rodzice – szukać odpowiedniego męża, zdecydowała się na... wyjazd do Afryki. Tam jako wolontariuszka zaczęła pracować w szkole. Po powrocie zaczęła studiowanie socjologię i politologię w Cambridge i ku przerażeniu ojca wstąpiła do Partii Komunistycznej. Zetknęła się też z teatrem eksperymentalnym oraz sztuką awangardową.

„Zbuntowałam się wobec tradycji wyższych sfer. Długo walczyłam o możliwość poświęcenia życia filmowi, nie mogłam się zgodzić, by o moim losie decydowało pochodzenie społeczne" – stwierdziła w jednym z wywiadów.

Ten brak pokory wobec narzucanych norm, potrzeba samostanowienia, mówienia własnym głosem, a także szukania dla siebie różnych rozwiązań i ról – zarówno aktorskich, jak i życiowych – towarzyszy aktorce do dziś.

PŁYNNOŚĆ I PRZEMIANY

Na ekranie zadebiutowała jako 26-latka w filmie „Caravaggio" (1986) awangardowego artysty i reżysera Dereka Jarmana. Później wystąpiła w jego wszystkich kolejnych siedmiu filmach (m.in. „The Last of England", 1988 czy „Edward II", 1991, który przyniósł jej nagrodę Volpi Cup dla najlepszej aktorki na festiwalu w Wenecji). Często wspominała, że ich pracy towarzyszyły długie i kreatywne dyskusje. Bardzo przeżyła śmierć Jarmana (1994 r, był chory AIDS). Na jakiś czas zrezygnowała z pracy.

Nim to się stało, w 1992 r. zagrała w filmie „Orlando" według powieści Virginii Woolf. Tytułowa rola obłożonego klątwą „bycia młodym na wieki" bohatera w filmie Sally Potter była jednym z punktów zwrotnych w jej karierze. Ze swoją androgyniczną urodą idealnie wpasowała się w opowieść o płynności i przemianie.

Autopromocja

eprasa.pl 93eeccb096

Zresztą motywy transformacji, granic płci i wyobraźni przewijają się przez całą karierę Swinton.

Choćby w „Suspirii" (2018), gdzie nie tylko zagrała ekscentryczną dyrektorkę szkoły baletowej, lecz także... 82-letniego mężczyznę. Jej charakterystyczna uroda od początku inspirowała twórców do proponowania jej brawurowych kreacji.

Początkowo specjalizowała się w kinie artystycznym. Dzisiaj występuje zarówno w niszowych, jak i mainstreamowych produkcjach. Widzowie mogą ją pamiętać z filmów „Opowieści z Narnii" (2005, 2008, 2010), „Ciekawy przypadek Benjamina Buttona" (2008), „Tylko kochankowie przeżyją" (2013), „Musimy porozmawiać o Kevinie" (2011), „Arki przyszłości" (2013) czy „Avengers: Koniec gry" (2019).

WŁASNE TRENDY

Swinton nie poddaje się trendom – raczej je wyznacza albo redefiniuje. Zarówno na ekranie, scenie, jak i w świecie mody. Tu też działa na własnych zasadach. Chętnie sięga po stroje uniseksowe – komentatorzy wybiegów podkreślają, że nikt tak jak ona nie nosi garniturów. Często też – choć to dla wielu w show-biznesie niedopuszczalne – powtarza stylizacje. W jednym z wywiadów stwierdziła, że woli te „ulubione części garderoby", niż bycie ofiarą szybkiej mody.

Fot. TVP

Poza czerwonym dywanem stawia na prostotę. Zarówno w wizerunku, jak i w codziennym życiu. Mieszka w rodzinnej Szkocji, w domu „zanurzonym w krajobrazie". Chodzi na długie spacery po plaży z psami rasy springer spaniel.

KAŻDY W SWOJEJ ROLI

Od lat ze stoickim spokojem potrafi mierzyć się z presją tabloidów. Po odebraniu Oscara za drugoplanową rolę w „Michaelu Claytonie" (2007) stała się obiektem zainteresowania mediów, zwłaszcza że nigdy nie ukrywała swojego życia prywatnego. Uważała, że każdy ma prawo podejmować własne decyzje i jeśli nikomu nie robi krzywdy, nie ma w tym nic złego.

Jako 24-latka związała się z pisarzem i malarzem Johnem Byrne'em, którego poślubiła i z którym ma dwoje dzieci, dziś dorosłe już bliźniaki – Xaviera i Honor. Kiedy na planie „Opowieści z Narnii" poznała młodszego o 18 lat Sandra Koppa, zostali parą, ale z mężem się nie rozstała. Obaj mężczyźni byli obecni w jej życiu (gdy była na planie, dzieci pozostawały pod opieką ojca). „Każdy z nich odgrywa w moim życiu inną rolę, nie są o siebie zazdrośni" – zapewniała. Dziś pozostaje w związku z Sandrem Koppem (Byrne zmarł w 2023 r.).

SZTUKA NA TRUDNE CZASY

Aktorka przy różnych okazjach podkreśla życiową i artystyczną filozofię: „Nie gonić, nie mnożyć dla pieniędzy, zostawiać przestrzeń na ciszę, odejście, kres". Angażuje się w działania społeczne i polityczne. Gdy w tym roku na festiwalu w Berlinie odbierała Honorowego Złotego Niedźwiedzia, nie bała się skrytykować rządów „uzależnionych od chciwości", przypomniała o „masowych morderstwach terroryzujących więcej niż jedną część świata" i potępiła tych, którzy „dogadują się ze zbrodniarzami".

Przy okazji prezentacji „Embodying Pasolini" podkreśla wiarę w siłę sprawczą sztuki. Uważa, że właśnie ona jest bardzo potrzebna w trudnych czasach.

eprasa.pl 93eeccb096

HITY i KITY ZAREMBY

Kafka – pisarz wciąż tajemniczy

„Franz Kafka" Agnieszki Holland to jej powrót do filmów „bezinteresownych". Tym razem sławna reżyserka nie chce za niczym agitować czy zbawiać świata. Opowiada interesującą ją historię

Film jest produkcji czesko-niemiecko-polsko-francuskiej. Aktorzy pochodzą z Czech (Kafka przez większość krótkiego życia mieszkał w Pradze) albo z Niemiec. Dialogi są prowadzone w obu językach. Niektóre sceny nie tłumaczą się same, ale nad cokolwiek chaotyczną fabułą udaje się zapanować. Mimo skoków chronologicznych – łącznie z obrazkami ze współczesnego muzeum pisarza w Pradze – i przywoływanych fragmentów jego utworów (makabryczna sekwencja z „Kolonii karnej").

Nie miałem z tą narracją kłopotu, ukształtowała mnie bowiem „Pułapka" Tadeusza Różewicza. Pojawiają się w niej te same postacie, co w filmie: ojciec, matka i siostry Franza, jego narzeczona Felice i jej przyjaciółka Greta, wreszcie najbliższy przyjaciel Max Brod, który ocalił jego twórczość.

W obu utworach opowiada się nam historię niestabilnego psychicznie młodego człowieka żyjącego w cieniu apodyktycznego ojca, kupca i fabrykanta. Franz wydaje się niezdolny do trwałych związków, czego dowodzi absurdalne narzeczeństwo z Felice. W filmie nie całkiem nawet budzi naszą sympatię, skoro robi awanturę żebrakowi, żądając od niego wydania reszty z jałmużny.

Czy to cała prawda o nim? Holland pokazuje jego romans z żoną znajomego, Mileną, i ten wątek akurat chyba nawet wyolbrzymia. I Różewicz, i autorzy filmowego scenariusza (poza reżyserką Czech Marek Epstein) pominęli za to jego końcowy, najtrwalszy związek z Dorą Diamant. Może więc – przy całej swojej neurotycznej chwiejności – gdyby nie gruźlica, ułożyłby sobie jakoś życie?

Holland nie tylko nie próbuje nas agitować. Ona nie formułuje żadnej twardszej tezy. Widzimy strach albo pogubienie w oczach Franza, ale poza rodzinnymi reminiscencjami, które nie tłumaczą wszystkiego, nie znajdujemy objaśnienia, skąd jego katastrofizm. Dlaczego przedstawiał świat jako wielką pułapkę?

Pozostaje to tajemnicą, bo przecież scenki z biurowymi, austro-węgierskimi rytuałami też nie są pełną odpowiedzią, choć znajdujemy ich spotworniałe karykatury w „Kolonii karnej", „Zamku" czy „Procesie". Bywamy nawet zaskakiwani. Oto Kafka czyta fragment „Procesu" grupie przyjaciół w zadymionym pokoju. I tak jakby traktował schizofreniczne opisy absurdalnych prawnych procedur jako zwykłą satyrę. Śmieje się z nich, a oni śmieją się wraz z nim.

Pozostaje gorączkowa potrzeba pisania zderzona z hałaśliwą, biologiczną codziennością świata w pięknie filmowanych przez Tomasza Naumiuka zakamarkach Pragi. Oczywiście można w tym widzieć przeczucie kataklizmu. Holland przywołuje kilka scen z postaciami z jego życia: ukochaną siostrą Ottlą czy przyjacielem Maksem już w czasach panowania nazizmu.

Mimochodem padają zdania o wyobcowaniu narodu żydowskiego – „bez tożsamości". Choć sama żydowskość nie jest tu głównym tematem. I ekspansywny ojciec, i racjonalny jako urzędnik – choć dziwaczny jako człowiek – Franz zdawali się zaprzeczać jej stereotypowym wyobrażeniom. Już mocniej brzmiało mi przeczucie Holokaustu, zabijającego część rodziny Kafków, u Różewicza. Zarazem trzeba pochwalić aktorów, zwłaszcza Idana Weissa jako wątłego, mającego kłopot z własną cielesnością Franza, i Petera Kurtha jako jego ojca, dominującego mięsożernego mieszczucha, jednak płaczącego w finale za synem.

Wielu widzów reaguje na brak mocnej tezy rozczarowaniem, narzeka na nudę. Ja się nie nudziłem, choć ten obraz Agnieszki Holland nie stał się moim ulubionym.

Piotr Zaremba

GORYCZ PROFESORA

„Rekapitulacja" Ryszarda Legutki nie jest klasyczną autobiografią, lecz raczej zbiorem refleksji, po części wywoływanych wspomnieniami. Uderzający jest pesymizm finałowych rozdziałów

Profesor pisze w finale tak: „Ktoś, kto gardzi Polską, głosząc nową formę patriotyzmu Wandy Wasilewskiej, nie porozumie się z kimś, kto Polskę kocha i chce jej suwerenności". Ryszard Legutko nie jest już politykiem, nie musi powtarzać rytualnych formułek o wierze w pojednanie ogółu Polaków.

Niby dodaje coś o możliwości zmiany, o perspektywie „nowej Solidarności". Ale na razie ma dla nas mnóstwo goryczy. Kończy cytatem z Ewangelii: „Jeśli jakieś królestwo jest wewnętrznie skłócone, takie królestwo nie może się ostać". To o Polsce.

Prof. Andrzej Nowak, polecając książkę, nazywa Legutkę „najmądrzejszym człowiekiem, jakiego spotkał". Moje spotkania z nim to obcowanie z wielką osobowością, z którą nie zawsze się zgadzam, choćby z jego wyniośle lekceważącym stosunkiem do większości popkultury. O tym szczęśliwie w „Rekapitulacji" jest niewiele.

Zarazem od czasu lektury „Nie lubię tolerancji", zbioru felietonów profesora z głębokich lat 90., podziwiam jego dar słownego fechtowania się z tym, co uważa za płaskie i niemądre. Dar ironii, którą konserwatyści nieraz potępiają, zastępując patosem. Tu też trochę jej używa. Skądinąd opowiada o swoim domu rodzinnym i szkole, o studiowaniu, o takich odległych zdarzeniach, jak Marzec 1968 r. na Uniwersytecie Jagiellońskim, o anglistyce i filozofii, o swoim pierwotnym środowisku, czyli akademikach.

DO KUPIENIA NA STRONIE
WSKLEPIKU.PL

Nie oszczędza tego środowiska, zarzucając mu brak cywilnej odwagi i niechęć do poznawania rzeczywistości, a w ostatnich latach nasilające się tendencje cenzorskie. Łączy to z niepokojem, a miejscami przerażeniem, z powodu podobnych, tyle że bardziej zaawansowanych zjawisk w Europie Zachodniej czy w Ameryce. Człowiek, którego wykład, a właściwie sama jego zapowiedź, wywołała zamieszki na jednej z amerykańskich uczelni, nie może być w tych realiach szczególnie szczęśliwy.

Opis Unii Europejskiej jako jednego wielkiego oszustwa kiedyś kwalifikowałbym jako zbyt przyczerniony, niepozostawiający Polakom miejsca na jakąś grę. Dziś uważam ten portret za coraz bardziej zbliżający się do prawdy. Należałoby spytać: co z tego wynika? Na razie musimy się kontentować enigmatyczną uwagą: może przyjdzie jakaś globalna zmiana. Skądinąd książkę czyta się jak pasjonującą powieść.

Zabijanie demona maczyzmu

Serial „Na dobre i na złe" w TVP 2 trudno uznać za nowość. Jest z nami od 1999 r., zdążyło się zmienić kilka obsad. Jeśli zauważam początek jego nowego, jesiennego sezonu, to dlatego, że w zabawny sposób kumuluje tendencje charakterystyczne nie tylko dla polskiej popkultury

A kurat ten serial, którego akcja rozgrywa się w publicznym szpitalu, zawsze mnie bawił fikcją medycznych realiów. Kiedy przyjmowany na oddział w prawdziwej placówce medycznej spytałem o kapcie, usłyszałem od pielęgniarki: „Nie jest pan w Leśnej Górze". Komfort natychmiastowej i kompleksowej opieki nad nowo przyjętymi w miejsce wielogodzinnych kolejek na SOR to czysta fantastyka.

Zarazem tabunowi scenarzystów i reżyserów udawało się kreować czasem wciągające fabułki, zwłaszcza te jednorazowe, dotyczące rozmaitych pacjentów. Widziałem scenariuszowe szwy, a jednak czasem się nawet wzruszałem.

Od miesięcy zauważałem jednak pewną tendencję. Oto w sferze relacji między płciami coraz częściej powtarzał się jeden schemat. Wyraziste przeciwstawienie facetów czułych, rozumiejących kobiety, „przemocowcom". Wiem, że wymyślanie coraz nowych historyjek nie jest łatwe. Ale jeśli w odstępie kilku odcinków dostaję dwie niemal identyczne opowiastki o kobiecie w ciąży terroryzowanej przez zbyt ekspansywnego partnera, coś to oznacza.

Zwieńczeniem tej tendencji była postać doktora Maksa Begera, utalentowanego kardiologa, zarazem pozbawionego empatii despoty i molestatora, znakomicie granego przez Tomasza Ciachorowskiego. Przez chwilę zdawało się, że scenarzyści chcą mu dać szanse. Naprawdę zakochał się w młodej stażystce Glorii (Aleksandra Grabowska), ale autorzy scenariusza szybko zerwali ten związek. Beger stawał się coraz gorszy. Więc świtała nowa myśl: światła dyrektorka (Emila Komarnicka) się go pozbędzie. Ale nagle nie tylko wrócił, lecz także udało mu się zostać... dyrektorem.

Autorzy serialu uczynili z niego demona maczyzmu. Nietrudno się domyśleć, co będzie dalej. Cały światły, feministyczny personel, a może i pacjenci, zjednoczą się, żeby przebić go osinowym kołkiem. Już wrzucono do netu „nagranie poprzedniej dyrektorki", pełne pasji i rozżalenia. Ta wzmożona fala dydaktyzmu bawi, a równocześnie ujawnia, co dziś ma podsycać (pytanie, na ile podsyca) emocje w takich prostych opowiastkach. Pewnie dojdzie do rewolucji. „Dobrzy" odtańczą triumfalny taniec nad trupem pokonanego maczo.

3 MIŁOŚCI

Sigma, czyli Józef

ROBERT TEKIELI

Św. Józef nie chodził na siłownię. Ale to on, sigma, jest dzisiejszym ideałem mężczyzny. W dniu, w którym piszę ten tekst, w codziennej porannej modlitwie różańcowej na moim kanale na YouTube jedna z osób przywołała jego wielowiekowy tytuł – Pogromca Duchów Piekielnych, a ponieważ trwa oktawa Święta Wszystkich Świętych, czyli ośmiodniowa duchowa walka o dusze, kilka zdań o oktawach i odpustach. Najkrócej: do soboty możesz pomóc swoim bliskim zmarłym. Jest kilka warunków, ale o tym za chwilę.

Wróćmy do popkultury, do współczesnych ideałów. Sigma nie musi – jak samiec alfa – niczego udowadniać. Ma naturalny autorytet, potrzebę pomocy słabszym, czyli prawie wszystkim. Robi to po prostu i jest w tym autentyczny. Jest gotów umyć nogi każdemu, kogo Bóg postawi na jego drodze. Nie narzuca się, nie wspiera nikogo na siłę. Jest jak sługa nieużyteczny: zrobiłem swoją robotę, nie oczekuję oklasków za wypełnienie obowiązków, usuwam się w cień i czekam, abym znów mógł służyć swemu Panu.

I takiego właśnie mężczyznę – bliskiego ideału – poznajemy dzięki Pismu św. Św. Józef nie wypowiada w nim ani jednego słowa, nie dostał w Ewangeliach ani jednej kwestii, choć jego żona wypowiada ich wiele. Ale zawsze jest na miejscu. Daje poczucie bezpieczeństwa. Unosi się nad dzieciństwem Jezusa jak opiekuńczy duch. Jest nim również dzisiaj – dla tych, którzy chcą go w ogóle zauważyć.

W Biblii jego imię pojawia się tylko 14 razy. Ewangelie poświęcają mu jedynie 26 wierszy. A był nieskończenie ważny dla Boga. I Bóg, Jezus, do dziś go słucha. Był „sprawiedliwy". To wielki komplement. Jest porównywany do Abrahama, w panteonie katolickich świętych zajmuje miejsce absolutnie niezwykłe. Pozostaje w pierwszej trójce, najdalej pierwszej piątce świętych najczęściej proszonych o pomoc. Miał duży wpływ na moje życie. Tak – nieżyjący facet sprzed ponad 2 tys. lat wielokrotnie dał mi robotę. Na początku nawet nie w odpowiedzi na moją modlitwę. Po prostu, tak sobie – zacząłem pracować w radiu Józef, stworzyłem je w warstwie programowej na prośbę JE prymasa Glempa. A potem, po latach, kiedy absurdalną decyzją zamknął je JE kardynał Nycz, św. Józef zorganizował mi nowy model biznesowy i podpisał się pod pierwszymi trzema dużymi okazjami do zarobku, żebym zobaczył jego zaangażowanie. I wiecie co? Kiedy zaczynałem tworzyć radio Józef, uważałem imię Józef za szczyt obciachu. A namacalnie doświadczyłem jego pomocy. Chciał, żebym o tym wiedział.

Dziś unikamy myślenia o śmierci. Współcześnie najczęściej bywa kojarzona ze strachem przed nią. Śmierć należy do tragicznej triady ludzkiej egzystencji – obok cierpienia i winy. Ale jest też nauczycielką dobrego życia. Nadaje kończącej się egzystencji głęboki sens

Teraz małe świadectwo. Dwa razy modliłem się obliczu śmierci, w tym raz w oktawie Święta Wszystkich Świętych. Dlatego wiem, że świętych obcowanie nie jest bajeczką dla niegrzecznych dzieci. I przy tych okazjach miałem wielką łaskę, właściwie nieświadomie, przyczynić się do zbawienia dwóch osób.

Mieliśmy wiekową Ciocię. Prowadziła światowe życie z dala od Boga. Była najstarsza ze swego rodzeństwa. W czasie wojny, gdy po młodą, zdrową dziewczynę przyszli niemieccy żołnierze, by wysłać ją na roboty do Niemiec, wylała na siebie cały gar wrzącego rosołu. I nie pojechała. Zrobiła to, bo wiedziała, że słabego zdrowia mama nie wychowa sama czeredy swych braci. Kochała ich bez pamięci i bezwstydnie manipulowała nimi przez całe życie. Kiedy zaczęła myśleć o śmierci, przyszła do nas, świeżo nawróconych, i pokazała, że kupiła sobie książeczkę do nabożeństwa. Boga również chciała zmanipulować. A my byliśmy z O. pewni, że ją nawrócimy. Tyle że umarła.

Byłem w szoku. Jak to? I 8 listopada – bo akurat odeszła w tym czasie – dotarło do mnie, że trzeba się za nią pomodlić na cmentarzu, że odpust zupełny jest w naszym zasięgu. Jechaliśmy właśnie z O. po odbiór dokumentów potrzebnych do pogrzebu. I w sekundę atmosferę w samochodzie dało się kroić nożem. Skończyło się totalną kłótnią i oboje nie byliśmy już w łasce uświęcającej. Wyskoczyłem z samochodu w szczerym polu, gdzieś pod Siedlcami. Przełamałem się dopiero po paru godzi-

eprasa.pl 93eeccb096

nach, pogodziliśmy się i O. w ostatniej chwili, o 20.45, wyspowiadała się u warszawskich jezuitów przy katedrze. Wracając, stanęła przy bramie cmentarza i pomodliła się za Ciocię. Na pogrzebie niezależnie od siebie mieliśmy głębokie doświadczenie wewnętrzne, że poszła do nieba.

Bóg osiąga swoje cele. I nie łamie ludzkiej woli. Ciocia niewiele rozumiała z prawd wiary. Nie nawrócilibyśmy jej – jedyne, co moglibyśmy zrobić, to swym neofickim natręctwem odepchnąć od Kościoła. Ale wszechdobry Bóg osiągnął swój cel. Nikomu nie będziemy zaglądali do czyśćca.

I druga historia. Spędzaliśmy kolejne wakacje z dziećmi w naszej ulubionej otulinie Słowińskiego Parku Narodowego. Skończyły się pieniądze. Znalazłem informację o najbliższym oddziale naszego banku, pojechaliśmy więc do Słupska. Na miejscu się okazało, że jest tylko wpłatomat, znaleźliśmy więc kolejny oddział banku i pojechaliśmy do Koszalina. Gdybyśmy od początku wiedzieli, że trzeba będzie jechać tak daleko, skrócilibyśmy wakacje, bo szóstka małych dzieci w samochodzie czyni 200 km męczącą przeprawą. Podczas podróży przypomniałem sobie, że w Koszalinie mieszka moje Wujostwo. Zajechaliśmy i okazało się, że Wuj po udarze leży w agonii. Odjeżdżając, postanowiliśmy, że za parę dni, wracając już do domu, przejedziemy przez Koszalin, by jeszcze raz zajechać do umierającego Wuja. Był bowiem do końca wierzącym komunistą, antyklerykałem, wojującym ateistą. Bardzo bałem się o jego duszę. Gdy po tych kilku dniach dojeżdżaliśmy do domu Wujostwa, zaczęły się jakieś absurdalne przepychanki między mną a O. – potem zrozumiałem, że nieprzyjaciel natury ludzkiej robił wszystko, byśmy nie dojechali do domu Wuja.

Gdy wreszcie zostałem z nieprzytomnym sam na sam, powiedziałem mu, że może odejść, że zajmę się Ciocią; że jak pojawią się przy nim konkretne postacie i będą pytać, żeby nie uniósł się dumą; żeby nie zareagował odruchowo, tylko rozsądnie i na pytanie Bożych posłanników odpowiedział po prostu „Tak"; że przecież już widzi, iż jest inaczej, niż myślał przez całe swoje życie. Opisałem mu w miarę dokładnie, jak to wszystko będzie wyglądać, wiedziałem bowiem, jak wyglądają ostatnie chwile okultystów i że Bóg zawsze próbuje dać kolejną szansę.

Wuj, który przez ostatnie trzy miesiące praktycznie się nie poruszał, na moje słowa zareagował gwałtownie, próbował wręcz zejść ze specjalnego łóżka z poręczami, które – ponieważ był znanym i wpływowym lekarzem – dostał po znajomości ze szpitala – za darmo.

Po miesiącu na pogrzebie oboje mieliśmy z O. wewnętrzne przekonanie, że posłuchał mojej rady.

Po latach ta historia do mnie wróciła, gdy wziąłem do ręki świetną książkę. „Brama życia wiecznego" ks. prof. Andrzeja Zwolińskiego. Rzecz traktuje o śmierci.

O głównym aspekcie tego dzieła („Śmierć kliniczna a życie po śmierci. Near Death Experience. Dowody, świadectwa, katolicka ocena") napiszę innym razem. Teraz skoncentruję się na sprawach ostatecznych. Oddając jedną tylko z myśli ks. Zwolińskiego.

Dziś unikamy myślenia o śmierci. Współcześnie najczęściej bywa kojarzona ze strachem przed nią. Śmierć należy do tragicznej triady ludzkiej egzystencji – obok cierpienia i winy. Ale jest też nauczycielką dobrego życia. Nadaje kończącej się egzystencji głęboki sens. Dopinguje do dobrego przeżywania swego życia, stając się źródłem odpowiedzialności. Tymczasowość życia mobilizuje człowieka do konkretnego i dobrego wykorzystania czasu, każe sensownie przeżywać każdą chwilę, wzbudza odpowiedzialność za przemijający czas. Bo głównym zadaniem człowieka jest żyć w pełni – ku dobru i szczęśliwej wieczności.

DO KUPIENIA NA STRONIE
WSKLEPIKU.PL

Śmierć biologiczna jest skutkiem postępowania pierwszych ludzi, ciąży tak samo na wszystkich i jest odpowiedzialna za fizyczny rozkład ciała. „Jednakże wszyscy ludzie, zgodnie z nauką chrześcijańską, zostaną wskrzeszeni i odzyskają swe ciała. Wówczas, po sądzie, może nastąpić »śmierć druga« – nie unicestwia ona ciała, które na pewien czas uległo biodegradacji, a śmiercią wówczas jest odwrócenie od Boga, skazującego człowieka na wieczne potępienie. Tej śmierci nie wszyscy ulegną. Sprawiedliwe życie zostaje nagrodzone wieczną szczęśliwością (prawdziwym życiem), a niesprawiedliwe – ukarane życiem w cierpieniu bez Boga (wieczna śmierć, śmierć drugiej instancji, od której nie ma już odwrotu). Po zmartwychwstaniu wieczne więc będą dusze i ciała, zarówno ludzi dobrych, jak i złych. Różne jednak będą ich losy".

W sensie ogólnym oktawa jest dla katolików ośmiodniowym okresem celebrowania ważnej uroczystości. Oktawa Wszystkich Świętych to okres od 1 do 8 listopada, podczas którego modląc się za zmarłych, mamy możliwość uzyskania odpustu zupełnego za dusze cierpiące w czyśćcu, nawiedzając cmentarz, będąc w łasce uświęcającej, modląc się w intencjach papieża. A co do losu niektórych osób, które kochaliśmy, a które nie żyją, możemy mieć niemałe wątpliwości. Warto więc wykorzystać czas do soboty. Warto też zaprzyjaźnić się z Pogromcą Duchów Piekielnych.

Opiekuna Jezusa i Maryi często wzywają egzorcyści w sytuacjach patowych. Swoją świętością i wstawiennictwem św. Józef jest w stanie skutecznie odpierać ataki szatana. Warto więc jego też wezwać w godzinę własnej śmierci.

eprasa.pl 93eeccb096

Polska energetyka jądrowa – rozwój czy walka o przetrwanie?

Komu zależy na wyhamowaniu polskiego programu jądrowego, dlaczego nie rozwijamy własnych projektów jądrowych i jak zapewnić Polakom tani prąd, mówią ***dr Grzegorz Czelej****, senator RP, przewodniczący senackiego zespołu ds. Energetyki Jądrowej i OZE, oraz* ***Andrzej Piotrowski****, wiceminister odpowiedzialny m.in. za energetykę jądrową w resorcie energii w latach 2016–2018, w rozmowie z Maciejem Wośką*

MARIA w Świerku jest jedynym w Polsce reaktorem atomowym

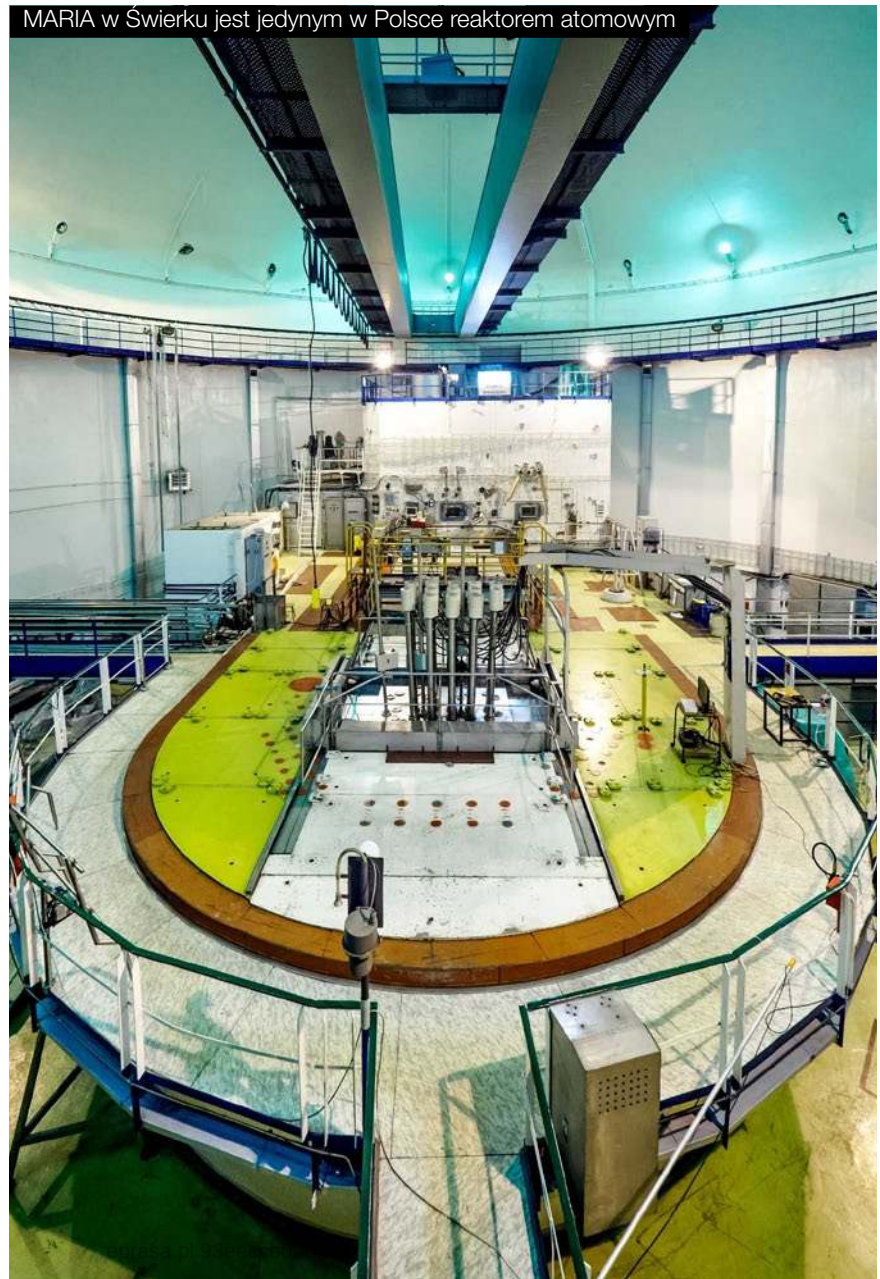

Fot. ncbj

Dr Grzegorz Czelej

Panie senatorze, fakt, że temat energetyki, taniej energii, energii jądrowej i OZE pojawił się przynajmniej w kilku panelach podczas ostatniej Konwencji Programowej PiS „Myśląc Polska" świadczy – jak rozumiem – że to jedno z najważniejszych wyzwań stojących przed naszym krajem w najbliższym dziesięcioleciu?

Grzegorz Czelej: Absolutnie tak. Po pierwsze, dotyczy bezpieczeństwa nas wszystkich, a także bezpieczeństwa całego państwa. Po drugie, musimy zwrócić uwagę na konkurencyjność polskiej gospodarki. Już teraz przegrywamy z Azją w wyścigu gospodarczym. Jeżeli cena energii dla przemysłu jest w Chinach 3,5-krotnie tańsza, nasz przemysł – a także przemysł europejski – nie ma nawet szans podjąć konkurencji.

Więcej – inwestorzy, widząc niebezpieczeństwo wzrostu cen energii w Polsce, wolą lokować inwestycje w Czechach, na Węgrzech, szukać innych lokalizacji, obawiając się, że u nas może być za drogo.

G.C.: Tu też już jest drogo. Właśnie dlatego tak wiele firm wyprowadza się z Niemiec do Azji i do tych stanów w USA, gdzie nie ma tzw. opłat emisyjnych, a energia jest tańsza. Mają dzięki temu bardziej konkurencyjne fabryki na rynkach światowych. Dziś Europa przegrywa w tym starciu. A my? Mamy zamrożone projekty jądrowe i spóźnione inwestycje. Energię jądrową mają nasi sąsiedzi – Ukraina, Szwecja, Węgry, Czechy, a Słowacy nawet pięć reaktorów. W ostatniej fazie prób jest też szósty reaktor w tym kraju, gdzie podjęto też decyzje o budowie reaktora czwartej generacji. Przypominam, że projekt polskiego reaktora HTGR-POLA od roku leży w szufladzie.

Ale przecież premier Tusk przekonuje na konferencjach prasowych, że przy innowacjach trzeba podejmować ryzyko...

G.C.: Na świecie jest w tej chwili ok. 90 przedsięwzięć rozwojowych dla małych i średnich reaktorów, więc widać, że cały świat idzie w tym kierunku. W tym roku Szwecja zdecydowała, że rezygnuje z budowy dużych bloków i inwestuje w SMR, średniej wielkości reaktory jądrowe. Dlaczego? Bo modułowość tych urządzeń sprawia, że będą dużo szybsze w budowie, a więc tańsze i bardziej elastyczne ze względu na mniejszą moc.

A Francuzi, którzy są przecież europejskim liderem w energetyce jądrowej, prognozują, że do 2050 r. powstanie 100 SMR, które pozwolą dostarczyć energię elektryczną i cieplną dla przemysłu i mieszkańców.

G.C.: Raptem tydzień temu w ambasadzie francuskiej odbyła się prezentacja nowego francuskiego NUWARD SMR (Grupa EDF). A mamy przecież naszą, polską technologię do produkcji ciepła i pary technologicznej dla przemysłu. To reaktor HTGR-POLA, który czeka na dosłownie ostatni impuls techniczny. Francuzi są za nami jakieś pięć lat, a ich ambasada już reklamuje i poleca tę technologię, namawia inwestorów do tego rozwiązania. To nieprawda, że nikt nie jest zainteresowany projektem polskiego reaktora, jak usłyszeliśmy od pełnomocnika rządu ds. energetyki jądrowej. Wręcz przeciwnie – 10 międzynarodowych koncernów sygnalizuje duży potencjał POLI, a gdy gościłem ambasadora Francji w Senacie RP, wyraził zainteresowanie wspólnym kontynuowaniem prac nad reaktorem HTGR, który notabene nie jest konkurencyjny wobec rozwiązań francuskich. Jest więc pole do sprawnego rozwoju POLI.

Andrzej Piotrowski

Andrzej Piotrowski: Warto dodać, że projekt POLA to właśnie tzw. czwarta generacja małych reaktorów jądrowych – na tyle bezpieczna w konstrukcji, że możemy stawiać je bardzo blisko, „pod bokiem" odbiorcy. Bardzo podobny reaktor przygotowany przez Amerykanów trafia właśnie do firmy AWS, technicznej części Amazona, który chce stawiać takie reaktory w centrach danych. Zapewni energię elektryczną i cieplną, którą można wykorzystać po przetworzeniu do chłodzenia serwerów centrum danych.

Ale żeby to się stało, potrzebne jest „działanie, nie gadanie", strategia i plan jej realizacji. A ja odnoszę wrażenie, że ostatnio rząd zajmuje się wywoływaniem i gaszeniem pożarów, a nie dynamicznym rozwojem tej branży. Zajmowało nas choćby wielomiesięczne oczekiwanie na pozwolenie Państwowej Agencji Atomistyki na funkcjonowanie jedynego działającego w Polsce reaktora

Fot. Andrzej Kozlara/grzegorzczelej.pl, Ministerstwo Energii

eprasa.pl 93eeccb096

MARIA i zmiany w Narodowym Centrum Badań Jądrowych.

G.C.: Moim zdaniem to nie tylko brak kontynuacji projektu reaktora POLA, lecz także – dosłownie – zamach na naszą perłę, jaką jest Narodowe Centrum Badań Jądrowych (NCBJ) w Świerku. Najpierw zamknięto reaktor MARIA, który produkując radiofarmaceutyki, jest głównym źródłem dochodu dla Świerku. A w kwietniu w haniebny sposób zwolniono dyrektora prof. Krzysztofa Kurka, człowieka z olbrzymim doświadczeniem, który prowadził w NCBJ polskie kluczowe projekty jądrowe. To prof. Kurek nadzorował m.in. projekt POLI, budowę lasera na swobodnych elektronach (FEL) oraz cyklotronu, mającego rozszerzyć zakres produkcji farmaceutyków. Warto dodać, że laserem jest zainteresowane wojsko... To są supernowoczesne i superinnowacyjne projekty, które dziś leżą. Świerk potrzebuje z budżetu niecałych 50 mln zł (bo sam zapewnia sobie finansowanie w 90 proc. – jest instytutem, który w największym stopniu komercjalizuje swoje produkty). Brak tych 50 mln jest kuriozalny, biorąc pod uwagę, że amerykańska firma X-energy, rozwijająca projekt bliźniaczy do POLI, dostała już 2,5 mld dol. pomocy od rządu USA. Na projekt reaktora POLA wydaliśmy z budżetu i środków unijnych niewiele ponad 100 mln zł i zatrzymaliśmy go po ukończeniu tzw. basic design. Nie ma nic gorszego, niż wstrzymać finansowanie projektu tuż przed metą, wydając wcześniej ponad 100 mln, ale rozmawiać z zagranicznymi dostawcami.

A.P.: Pytanie, jak długo ten projekt będzie leżał w szufladzie, bo widzimy ogromne zainteresowanie tą technologią na świecie. A najtańszą metodą przejęcia takiego projektu jest przecież przejęcie pracowników, którym obecny pracodawca nie może płacić w sposób satysfakcjonujący.

Szkoda tych SMR? Mogliśmy być pierwsi, mieliśmy szansę na ciekawy wyścig technologiczny ORLEN i KGHM, dwóch polskich megakoncernów. Tymczasem projekty gubią się w gąszczu deklaracji, zapowiedzi i biurokracji, a świat ruszył w stronę małych reaktorów. Szkoda tego entuzjazmu, który najwyraźniej został celowo wygaszony.

A.P.: Reaktor SMR, który chciał mieć KGHM – NuScale – jest obecnie budowany i dynamicznie rozwijany w Rumunii, z myślą o dostawach m.in. do Polski.

> Senator Grzegorz Czelej: Powiem tak – rozwój energetyki jądrowej w Polsce nie jest w interesie żadnego z naszych wielkich sąsiadów. Francuzi promują swoje reaktory hasłem „Europejski atom dla Polski", ja wciąż powtarzam – mamy szansę zaproponować „polski atom dla Europy". To jest nasze hasło, bo alternatywą w perspektywie kolejnych dziesięcioleci jest niemiecka energia z rosyjskiego gazu

G.Cz.: A budowa pierwszego reaktora BWRX rozpoczęła się w Kanadzie w styczniu br. W Polsce rozmowy między ORLENEM a Synthosem stanęły w martwym punkcie i mamy dwa lata opóźnienia. To rzeczywiście układa się w pewien ciąg zdarzeń. Potężne uderzenie w Świerk, zwolnienie dyrektora, wstrzymanie finansowania projektu POLA, zablokowanie prac nad elektrowniami z reaktorem BWRX-300 w Synthos Green Energy i zatrzymanie współpracy z NuScale. Szwedzi mówią, że największym ryzykiem w energetyce jądrowej jest ryzyko polityczne. My się o tym przekonujemy na własnej skórze. Projekty nuklearne znacznie wykraczają poza kadencyjność, ale niestety w ciągu ostatnich dwóch lat to właśnie ryzyko polityczne, z różnicami między resortami, blokowało rozwój energetyki jądrowej. Warto zwrócić także uwagę na bardzo duże różnice polityczne w rządzie, między poszczególnymi resortami. Projekt POLI był finansowany przez Ministerstwo Nauki, które jasno opowiadało się za jego kontynuacją. Podobnie było ze wznowieniem działalności reaktora MARIA w Świerku. Z góry wiedziałem, że nowy minister energii Miłosz Motyka jest za wznowieniem pracy reaktora i dziwnym trafem dwa, trzy dni po objęciu urzędu reaktor w Świerku został włączony. To jednak pokazało, że regulator (Polska Agencja Atomistyki), który powinien być apolityczny, działa raczej jak zbrojne ramię władzy. A jeśli wykonuje jedynie wolę polityczną, przestaje być regulatorem.

Ale w czyim interesie leży wyhamowanie rozwoju polskiej energetyki jądrowej? Brukseli, która uparcie promuje odnawialne źródła energii, wiatraki i fotowoltaikę? Berlina, który tylko czeka, żeby sprzedawać energię z rosyjskiego gazu?

G.C.: Powiem tak – rozwój energetyki jądrowej w Polsce nie jest w interesie żadnego z naszych wielkich sąsiadów. Francuzi promują swoje reaktory hasłem „Europejski atom dla Polski", ja wciąż powtarzam – mamy szansę zaproponować „polski atom dla Europy". To jest nasze hasło, bo alternatywę w pespektywie kolejnych dziesięcioleci stanowi niemiecka energia z rosyjskiego gazu.

Czas działa na naszą niekorzyść, a ja wciąż widzę na konferencjach prasowych to samo zdjęcie wyciętego lasu w okolicach Choczewa, gdzie powstaje pierwsza i na razie jedyna polska elektrownia jądrowa.

G.C.: To się wpisuje w cały kompleks antyjądrowych działań rządu. Gabinet deklaruje działanie, ale fakty mówią zu-

eprasa.pl 93eeccb096

pełnie coś innego. W budowie pierwszych trzech bloków elektrowni Kopalino-Choczewo opóźnienie osiągnięte w ciągu dwóch ostatnich lat wzrosło do roku. Termin planowany na 2035–2036 rok jest, moim zdaniem, w tym momencie nie do utrzymania. Choć obecność amerykanów z Westinghouse jest kluczowa, także ze względu na dotrzymanie terminów, wiem, że nie są zachwyceni tempem prac. Licznik bije. Energetyka jądrowa może być tania przy spełnieniu dwóch warunków: pierwszy – koszt inwestycji jest wysoki, więc trzeba budować szybko, drugi – musi pracować w trybie ciągłym, dostarczać energię. Jeśli blok będzie pracował w części, w połowie swoich możliwości, koszt energii wzrasta.

Tymczasem Komisja Europejska promuje OZE i nakazuje np. Czechom wykorzystywać nowe bloki, notabene budowane przez Koreańczyków z KHNP, którzy wycofali się z Polski, jedynie w 43 proc. mocy. Resztę energii w systemie ma uzupełniać OZE.

G.C.: Jeśli chcemy mieć tanią energię, musimy bazować na atomie, a duże bloki nie są technologicznie stworzone do tego, żeby w ciągu dnia je włączać i wyłączać. Warunkiem taniej energii z dużych bloków jest włączenie ich do podstawy. Jeżeli będą zmuszone do regulowania mocy ze względu na wymuszone politycznie pierwszeństwo OZE, to zapomnijmy o taniej energii. Gigantyczny koszt budowy bloku jądrowego powoduje, że jeżeli ma on pracować na połowę możliwości, prąd jest dwa razy droższy. Znacznie bardziej elastyczne są małe reaktory, które mogą pełnić taką funkcję regulatorów systemu. Dziś to węgiel i gaz. W przyszłości mogłyby to być SMR. Taką elastyczność zapewnia HTGR-POLA.

Cały czas słyszę, że energetyka jądrowa jest droga, a OZE tanie.

G.C.: OZE nie jest tanie, choć w pewnym zakresie jest użyteczne, ale jeżeli przekracza dozę rozsądku, zaczyna powiększać cenę końcową. Niezależnie od rozwoju OZE dla bezpieczeństwa energetycznego kraju – do czasu powstania elektrowni jądrowych – musimy bazować na sterowalnych źródłach energii: węglu, węglu brunatnym i gazie. Bloki węglowe i gazowe będą nam zatem potrzebne jeszcze przez ładnych kilkadziesiąt lat, może 50 lub więcej. Bo przecież będziemy potrzebowali znacznie więcej energii, niż planujemy uzyskać z energetyki jądrowej. Bezpieczeństwo energetyczne kraju oznacza dostępność prądu w każdym momencie, gdy go potrzebujemy. Także gdy nie ma wiatru lub słońca. Musimy więc bazować na sterowalnych źródłach energii. I nie mówmy, proszę, o magazynach energii, bo jeśli budowany właśnie za ogromne pieniądze magazyn będzie w stanie zapewnić poziom mocy dla całego kraju na nieco ponad minutę, to ta technologia dopiero musi się rozwinąć. A my chcemy taniego prądu tu i teraz, na wyjściu z systemu – w naszych gniazdkach.

A.P.: Warto dodać, że energetyka to też ciepłownictwo miejskie, które trzeba dostosować do aury i sezonu. Tu Polska ma przewagę nad projektami z Finlandii i Francji, gdyż my już mamy polski reaktor MARIA, doskonale nadający się do tych celów po niewielkich modyfikacjach i 50 latach doświadczeń – w odróżnieniu od projektów dopiero przygotowywanych. Grzejnictwo miejskie to ekwiwalent 60 proc. energii elektrycznej zużywanej rocznie w Polsce. Jednak to chyba temat na osobną rozmowę, ale też ważny, bo istotny dla finansów wielu mniej zamożnych rodzin w Polsce.

Tymczasem szykuje się nam trudny przełom roku, bo minister energii Miłosz Motyka już zapowiedział, że nie będzie utrzymywał ceny 500 zł za MWh. Uwolnienie cen, nawet zakładając dobrą wolę URE, może się okazać pułapką. Co się musi wydarzyć, żebyśmy jednak mieli tani prąd?

G.Cz.: Kluczowa jest rezygnacja z opłaty za emisję CO_2, czyli systemu ETS. Mam nadzieję, że Unia dojdzie do tego wniosku, zanim doświadczymy poważnego kryzysu. Przez takie opłaty Europa przegrywa na rynkach światowych ze Stanami Zjednoczonymi, Chinami i Indiami. Już odczuwają to Niemcy, a my nie unikniemy następstw tego trzęsienia. Jeśli chodzi o działania krajowe, potrzebne jest autentyczne przyspieszenie rozwoju polskiej energetyki jądrowej (dużej, średniej, małej i mikro). Należy też utrzymać i remontować bloki węglowe i gazowe, ponieważ nawet najszybciej rozwijana „jądrówka" nie zaspokoi rosnącego zapotrzebowania. Przy obecnej polityce możemy się jednak spodziewać tylko znacznego wzrostu cen energii. I to już w przyszłym roku.

Co możemy – musimy – zrobić, żeby uniknąć tego w kolejnych latach?

G.C.: Musimy rozwijać własne technologie – reaktory MARIA i POLA – by Polska mogła wejść do gry w energetyce jądrowej jako jeden z właścicieli technologii, a nie tylko z pracownikami elektrowni. Celem jest tania, czysta i niezawodna energia dostępna dla wszystkich w postaci energii elektrycznej, a także ciepła komunalnego czy wysokotemperaturowego ciepła dla przemysłu. To wymaga strategii i stworzenia odpowiedniego otoczenia dla polskich firm, które potrzebują przewidywalnego rozwoju. Należy również wdrożyć program rozwoju polskich uczelni w kierunku kształcenia kadr dla energetyki jądrowej, stworzyć centrum symulatorowe oraz zaangażować polskie firmy do procesu. To już ostatni dzwonek, kiedy należy zacząć szkolenie kadr. Naszym pomysłem, który przedstawiłem na Konwencji Programowej PiS „Myśląc Polska", jest stworzenie Narodowego Laboratorium Jądrowego i powołanie konsorcjum uczelni z zsynchronizowanym wieloetapowym procesem szkolenia, bo specjalisty nie wyszkolimy w ciągu pięciu lat. W przypadku dużych bloków jądrowych – takich jak te w planach – już jesteśmy spóźnieni z rozpoczęciem szkolenia kadr. Potrzebujemy stworzyć europejskie centrum szkolenia z symulatorami reaktorów, a Świerk, który ma reaktor, jest naturalnym zapleczem. Proponujemy rozwój polskiej energetyki jądrowej, bazując na własnych technologiach, które już mamy. Czekają jedynie na impuls i konsekwentny proces decyzyjny.

eprasa.pl 93eeccb096

MARCIN PIOTROWSKI*

Pogranicza są wyjątkowe

Gorajec leży na przysłowiowym końcu świata, ale dla nas jest to początek. Tu się wszystko zaczyna. Nasza wioska – licząca 41 mieszkańców – leży zaledwie 15 km od granicy z Ukrainą. I stanowi przykład tego, że kultura jest siłą i bronią; że tam, gdzie nie ma pracy, przemysł kreatywny, pomysły i uatrakcyjnienie przestrzeni nie tylko zatrzymują stałych mieszkańców, lecz także przyciągają gości i tych, którzy chcieliby tu zamieszkać. U nas nie można już kupić działki – takie jest zainteresowanie.

Nasiliło się to szczególnie po czasie pandemii COVID-19. Ludzie zamknięci w dużych miastach, w klatkach bloków, zaczęli szukać przestrzeni i zieleni. Taką przestrzeń daje wieś. A pogranicza dodają coś jeszcze. Są wyjątkowe.

Przed II wojną światową nasz region leżał w centrum Rzeczypospolitej i był jednym z najgęściej zaludnionych. Teraz jest jednym z najbardziej wyludnionych i tym bardziej kultura powinna tu działać, odwoływać się do dawnej wielorodności i wielokulturowości.

Kiedyś Gorajec był wioską ukraińską, w Cieszanowie przeważali Żydzi, Freifeld skupiał osadnictwo niemieckie, Rudka czy Dąbrówka były wioskami polskimi. Wszystko to w obrębie „naszego trójkąta bermudzkiego" – pomiędzy Rzeszowem, Zamościem a Lwowem. Do każdego z tych miast mamy ok. 1,5 godziny jazdy. Żeby do nas trafić, trzeba ruszać na wschód.

Roztocze Wschodnie jest piękne o każdej porze. I o każdej porze dzieje się tu coś ciekawego. Jeżeli chodzi o „najradośniejszy festiwal", czyli Folkowisko, to zapraszamy latem. Najbliższa edycja 9–12 lipca 2026 r. Będziemy ruszać Łukiem Karpat, opowiadać o kulturze pasterskiej, górskiej. Dlaczego na Roztoczu? Bo nasze wioski były zakładane na prawie wołoskim, kiedy przybywali tu Wołosi z Mołdawii, Rumunii, ze stadami owiec. I to były podwaliny kultury, która stała się naszą kulturą.

Ale przyciąga do nas nie tylko Folkowisko. Nasza wioska jest chyba jedyną, która świętuje dzień wolności chłopskiej w kolejne rocznice zniesienia pańszczyzny (w 1852 r. we wsi postawiony został pomnik wolności – krzyż pańszczyźniany).

My tę historię chłopską, ludową, odgrzebujemy, staramy się ją „odcepeliować", pokazać, że może być atrakcyjna również dla młodego pokolenia. Bardzo nam zależy na kulturze tradycyjnej, niestylizowanej, a także udowadniamy, że całkiem dobrze może się ona odnaleźć w nowych formach, nawet w wersji punk czy rock. Że można czerpać ze swojej tradycji, można być z niej dumnym. Można się z nią weselić. Tak jak robimy to podczas Folkowiska czy – w najbliższym czasie – gdy 11 listopada wystąpią u nas m.in. dziewczyny z zespołu Traszno. Ale z naszego regionu wywodzą się też Niezapominajki, które zasłynęły własną wersją „I Can't Get No Satisfaction" Stonesów. Na ich koncerty zapraszamy do gorejeckiej cerkwi w okresie Bożego Narodzenia.

Jak widać, jest co u nas zobaczyć także zimą. I o każdej innej porze roku również. Ja np. uwielbiam podróżować szlakiem PGR. Tylko w naszej gminie jest siedem miejsc, w których wokół dawnych dworów stworzono Państwowe Gospodarstwa Rolne.

Krajobraz popegeerowski – zarazem industrialny i wiejski – potrafi przyciągać swoimi historiami, ale przede wszystkim przestrzenią wokół.

To, co się u nas dzieje, sprawdzajcie w mediach społecznościowych. Bo Folkowisko to nie tylko festiwal. A zdjęcie zostało zrobione w naszym domu – Chutorze Gorajec. Z tyłu jest deskal Arka Andrejkowa – pokazuje dawnych mieszkańców naszej wsi, rodzinę Łaszynów. Deskal to technika malowania farbą na starych drewnianych budynkach. Projekt nazywał się Cichy Memoriał.

Notowała ***Jolanta Gajda-Zadworna***

** twórca Festiwalu Folkowisko, laureat nagrody Ministra Kultury w 2025 r. w kategorii „Animacja kultury"*

Fot. Materiały prasowe

eprasa.pl 93eeccb096

SŁODKO-SŁONY

Flaki na rozgrzewkę

ANNA MONICKA

„Pani Ludwiko, a kupi pani flaki? Mam dziś młodziutkie, cielęce" – pani Jadwiga chodziła po wojnie po Otwocku, Świdrze, Józefowie. W białych lnianych ściereczkach miała pozawijane gicze, nerkówki i różne inne kawałki mięsa. Przywoziła je ze wsi i nosiła tylko do zaprzyjaźnionych, stałych odbiorców, bo taka prywatna inicjatywa była tępiona. Tak samo kupowało się mleko, śmietanę, jajka.

Prababcia zawsze brała te flaki, a moja mama z siostrami obierały je z błon, szorowały specjalnymi szczotkami przy studni i godzinami płukały, a wodę wylewały do ogródka. Potem prababcia je kroiła, kilka razy obgotowywała, zlewając wodę, żeby pozbawić je specyficznego flaczego zapachu, wreszcie doprawiała czosnkiem, majerankiem, gałką muszkatołową i imbirem. Były podawane w pachnącym bulionie wołowym, który parę godzin naciągał z włoszczyzną, pieprzem, listkiem bobkowym i zielem angielskim, w którym pływały także malutkie pulpety z cielęcych wątróbek.

Mama do dziś wspomina upiorną robotę przy studni oraz wybitny smak gotowego już dania. Ja nawet nie pamiętam, kiedy pierwszy raz go spróbowałam i kto walczył z półproduktem, bo prababci nie miałam okazji poznać. Ale na pewno nie był to nikt z naszej rodziny. Czasem siostra zamawiała flaki u bardzo wiekowej ciotki, a czasem, gdy poczułam, że czas na nie, szłam na Bazar Różyckiego albo w inne pewne miejsce – do baru, w którym urządzano konsolacje przy Cmentarzu Bródnowskim. Tam kucharki znały się na rzeczy.

Ostatnio postanowiłam sama zmierzyć się z tematem. Spisałam rodzinne opowieści i kupiłam zamrożone w kilogramowych kostkach, dobrze oporządzone i pokrojone, przygotowane do dalszej obróbki Flaki Wołomińskie, podobno najlepsze. Obgotowałam je solidnie kilka razy, a potem zalałam osolonym wrzątkiem i pogotowałam jeszcze godzinę z włoszczyzną i cebulą. Marchew pokroiłam drobno do zupy, resztę wyjęłam i wlałam rosół wołowy (zawsze mam w zamrażalniku kilka porcji długo gotowanego, niemal gęstego bulionu). Do tego trochę czosnku, imbiru, wędzonej papryki, gałki muszkatołowej i mnóstwo pięknie pachnącego majeranku z mojego ogródka. I porządna kajzerka. Oczywiście flaki muszą się trochę pogotować na małym ogniu, ale warto na nie cierpliwie poczekać. Żadna inna zupa tak nie rozgrzewa po jesiennym spacerze.

Fot. Shutterstock

WILCZYM OKIEM

Czapla gigant

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Przyroda i sztuka – a zwłaszcza sztuka inspirowana przyrodą – to niekończące się źródło obserwacji, inspiracji i wiedzy. Po malowidłach paleolitycznych spójrzmy na twórczość starożytnych Egipcjan.

Wielka czapla – jak to w przypadku Egiptu – pojawiała się na rysunkach i malowidłach w kontekście jednego z bóstw. Naprawdę jest bardzo duża, ale cóż – w religii, w której pojawiają się postacie ludzkie z głowami zwierząt, wielki ptak mógłby się wydawać czymś jeszcze stosunkowo zwyczajnym.

Na jednym z papirusów sprzed kilku tysięcy lat widzimy jednak czaplę raczej nie mityczną, lecz wyglądającą na ptaka istniejącego rzeczywiście. Jest narysowana wyraźnie i ze szczegółami. Na trzcinowej łodzi, jaką pływali Egipcjanie po Nilu, stoi naprzeciwko człowieka olbrzymia czapla i jest od niego wyraźnie wyższa. Jeżeli istniałaby rzeczywiście, byłaby dużo wyższa niż jakikolwiek z żyjących obecnie ptaków – za wyjątkiem strusi afrykańskich. Musiałaby mierzyć ok. 2 m wysokości lub niewiele mniej.

Nie znamy tak wielkiej czapli, na egipskich malowidłach widziano już jednak wizerunki zwierząt uważanych za mityczne lub zmyślone, których istnienie potwierdziła później współczesna nauka (np. antylopa gerenuk).

Znamy natomiast czaplę olbrzymią (*Ardea goliath* – na zdj.), największą z żyjących obecnie. Nie jest ona aż takim gigantem, ale rzeczywiście jest duża – może osiągać aż 1,5 m wysokości. Zamieszkuje rejony nad Zatoką Perską i Afrykę, w tym Egipt.

Starożytne egipskie wizerunki gigantycznej czapli mogłyby zostać przeoczone, gdyby kilkadziesiąt lat temu nie odkryto kości długiej pochodzącej z nogi czapli. Należy ona do ptaka, który żył w tamtym rejonie 2–3 tys. lat przed Chrystusem i był wielkości czapli z papirusu.

Po tym odkryciu czapla Bennu nie wydawała się już zwierzęciem istniejącym wyłącznie w egipskiej mitologii. Byłaby gigantem (proszę sobie wyobrazić dwumetrową czaplę), lecz mogła istnieć naprawdę. Być może kiedyś pojawią się kolejne dowody na to, że mamy do czynienia z gatunkiem wymarłym całkiem niedawno – być może jeszcze większym podgatunkiem wspomnianej, wciąż żyjącej czapli olbrzymiej, a może gatunkiem odrębnym. Na razie ma już naukową nazwę łacińską: *Ardea bennuides*.

eprasa.pl 93eeccb096

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Pamięci Feliksa Konecznego

www.wojciechreszczynski.pl

1 listopada 1862 r. w Krakowie urodził się Feliks Koneczny. Zmarł 10 lutego 1949 r. Niezwykle pracowite 87 lat jego życia wciąż są wielkim wyzwaniem dla historyków, prawników, polityków, wydawców, dziennikarzy, chcących oddać godny szacunek za wszystko, co zrobił dla Polski i naszej cywilizacji łacińskiej. Dwa tygodnie temu nakładem Fundacji Kwartalnika „Wyklęci" – jak poinformował mnie jej prezes Kajetan Rajski – ukazał się 16. tom „Dzieł Zebranych" Konecznego. Zdajmy sobie sprawę z tego, że każdy z tych tomów zawiera ułożone chronologicznie prace profesora liczące 790–950 stron tekstu. Nasz wielki rodak interesował się nie tylko historią – choć od niej zaczynał prace badawcze – lecz także antropologią, socjologią, ekonomią, prawem, psychologią, socjologią, filozofią, teologią i etnologią. W „Dziełach" są również jego recenzje teatralne oraz ostatnie artykuły pisane w latach 1948–1949 do „Niedzieli" i „Tygodnika Warszawskiego". Dowiedziałem się, że w planach wydawnictwa jest jeszcze 17. tom – „Suplement", który ukaże się w czerwcu przyszłego roku. Znajdą się w nim trzy niewydane jeszcze książki Konecznego przepisane z rękopisów i ponad 40 nieznanych dotąd artykułów.

„Dzieła Zebrane" Konecznego (w sumie ponad 15 tys. stron!) to potężny materiał intelektualny. Piszę o tym także dlatego, że w polskiej nauce wciąż pokutuje PRL-owskie spojrzenie na dokonania profesora – głównie dlatego, że poprzez udokumentowane fakty promował cywilizację chrześcijańsko-łacińską i Polskę oraz zachował ducha wolności i umiłowanie prawdy. Przypomnę wydarzenie z ostatnich lat życia profesora dwóch naszych najważniejszych – uniwersytetów krakowskiego i wileńskiego: gdy w styczniu 1945 r. oferował swoją pracę UJ w Krakowie, to ówczesny dziekan, prof. Zenon Klemensiewicz, nie mógł znaleźć dla niego „odpowiedniego zajęcia". Dla Polski zaczynał się wtedy nowy etap dziejów państwa ateistycznego – pod sowiecką dominacją, z ograniczoną wolnością słowa i badań naukowych.

Przez te długie lata wykształciło się wielu naukowców, dla których świat nauki przedwojennej Polski oraz sprawdzonych metod badawczych Konecznego należał do nieznanej i niechcianej przeszłości. Tak szanowana przez niego metoda aposterioryzmu została zastąpiona tępym aprioryzmem. Musieliśmy czekać wiele lat, aby prace profesora doczekały się monumentalnej edycji w „Dziejach Zebranych".

Warto przypomnieć, że przez te wszystkie lata znajdowali się jednak ludzie – dość wąskie grono prawdziwych intelektualistów – którzy nie zapomnieli, o czym pisał Koneczny i dlaczego należy być dumnym z jego dokonań. Zapewne byli przy jego grobie na krakowskim Salwatorze 1 listopada, w rocznicę jego urodzin. I zapewne będą tam także, gdy Fundacja „Wyklęci" – mam nadzieję, że przy współudziale miejscowego oddziału IPN, który zainicjował postawienie nowego nagrobka profesora i jego rodziny – doprowadzi do ekshumacji z grobu w Sanoku i pochówku w rodzinnym krakowskim grobowcu jego wnuka Wiesława, zmarłego w 2003 r. ostatniego z rodu Konecznych. „Konecznologów" nie zabraknie też 15 listopada br. o 11.00 na cyklicznej konferencji „Życie i twórczość Feliksa Konecznego" w Muzeum Armii Krajowej w Krakowie.

Badany dziś szczegółowo życiorys Konecznego przypomina nam też mało znany fakt z jego życia. W końcu XIX w. tworzył partię o nazwie Stronnictwo Katolicko-Narodowe. Choć istniała krótko, wiele przemyśleń profesora natury politycznej można odnaleźć w jego późniejszych pracach. Dziś mogą być bardzo przydatne, np. 40 tez opublikowanych w piśmie „Trybuna Narodu" w 1927 r. Teza pierwsza: „Ze wszystkich spraw publicznych najbardziej publiczną jest religia. Polska albo będzie katolicka, albo jej nie będzie. Cokolwiek zmierza do wyrządzenia szkody Kościołowi katolickiemu, jest zarazem szkodliwe dla Polski. Wszelka nieprawość w życiu publicznym jest równie godna potępienia i wzgardy, jak w życiu prywatnym". Nie trzeba komentarza do tych słów, choć uznanie religii za najważniejszą ze spraw publicznych odnosi się nie tylko do Polski. Kto bacznie obserwuje współczesny świat, znajdzie potwierdzenie słuszności tej tezy.

Już 100 lat temu Feliks Koneczny rozprawił się z mrzonkami o powszechnej równości, idei tak dziś lansowanej przez środowiska lewicowo-liberalne. „Ze wszystkich przesądów wypaczających życie społeczeństwa i państwa najcięższym jest mniemanie, jakoby wszystkim należała się równość we wszystkim" – pisze profesor w tezie drugiej. Tymczasem „rozwój społeczeństwa wymaga hierarchicznej nierówności, opartej na różnicach zdatności w wydatności pracy". Postulat równości to oczywiście równość obywateli wobec prawa oraz prawo równego traktowania przez władze publiczne (art. 32 Konstytucji RP), a także równość szans na godne lepsze życie, co nie oznacza jednak „równości we wszystkim". Ta byłaby, jak pisze prof. Koneczny, „największą niesprawiedliwością, gdyż sprawiedliwość polega na sprawiedliwym podziale nierówności".

eprasa.pl 93eeccb096

OGNIEM NA WPROST

Nieszczerość ma zbyt wysoką cenę

Andrzej Rafał Potocki

Niestety sprawdzają się nasze prognozy. Po przejęciu władzy przez prezydenta Donalda Trumpa pisaliśmy, że Ruski nie chce końca wojny i jedyną rzeczą, która zmusi Kreml do rozmów pokojowych bez udawania, jest zwycięstwo Sił Zbrojnych Ukrainy (SZU) na froncie. Teraz w tym samym tonie relacjonuje stacja NBC News, powołując się na źródła w Kongresie i amerykański wywiad. Według tej oceny „Władimir Putin jest bardziej niż kiedykolwiek wcześniej zdeterminowany, aby kontynuować wojnę na Ukrainie i mieć przewagę na polu bitwy". Analiza, którą przekazano członkom Kongresu w tym miesiącu, wykazała, że według wywiadu nie ma oznak świadczących o tym, iż Kreml jest gotowy do kompromisu w sprawie Ukrainy. Z kolei jak podaje portal Defence24, według tej analizy „w obliczu dużych strat wojsk rosyjskich i niepowodzeń gospodarczych w kraju Putin chce opanować ukraińskie terytorium i rozszerzyć wpływy swojego państwa, by usprawiedliwić ludzkie i finansowe straty". Oczywiście administracja Trumpa potrzebowała czasu, żeby przekonać świat i przede wszystkim własnych obywateli, iż nie ma innego wyjścia niż wygrana na froncie. Czy to ekonomicznym (ostatnio nałożone sankcje na dwa największe rosyjskie koncerny naftowe Rosnieft i Łukoil wywołały poważne perturbacje na giełdzie w Moskwie), czy na wojennym. Ale owoc dojrzewa powoli. Czekamy, aż spadnie na ziemię. Nie byłoby źle, gdyby z hukiem.

Trwa ostra walka o Pokrowsk w Donbasie. Pisaliśmy o ukraińskim kontruderzeniu z końca września i widmie zamknięcia Moskali pod miastem w kotłach. Jednak te operacje nie odwróciły biegu walk o miasto, choć opóźniają jego przewidywany upadek. Obecna sytuacja operacyjna to walki już w samym Pokrowsku, w którym ok. 200 bojców ściera się na śmierć i życie z resztą ukraińskiego garnizonu, którego liczebność szacuje się na kilkuset żołnierzy. Jak informują ukraińskie media, głównodowodzący SZU gen. Ołeksandr Syrski spotkał się z dowódcami korpusów, brygad i jednostek wojskowych walczących w Pokrowsku i okolicach, zaznaczając w kontekście wygłaszanych przez nich propagandowych przechwałek, że „nieszczerość ma zbyt wysoką cenę – życie naszych żołnierzy. Moim pierwszym żądaniem jest prawda, cokolwiek to jest. Dowódca, który ukrywa prawdę o sytuacji na polu bitwy, nie ma prawa być dowódcą". To odpowiedź na medialne zarzuty, że w machinie wojennej Ukrainy zatarły się tryby, a największą bolączką obrony jest zafałszowanie prawdziwej sytuacji. A rzeczywistość wcale nie wygląda tak różowo, jak przedstawia część dowódców polowych.

Na południe od Pokrowska Moskale zyskali inicjatywę operacyjną. Nie tylko wbili się klinem do ruin miasta, lecz także oparli linię frontu o strategiczną szosę M-30. Od północy wdarli się do miejscowości Rodyńskie, gdzie jedna z jednostek triumfalnie sfotografowała się z proporcem swojej jednostki. Trwają ciężkie walki o Myrnohrad. Według Defence24 załamanie „linii Rodyńskie–Myrnohrad będzie oznaczało załamanie się całej północnej flanki Pokrowska". Upadek jednej reduty powoduje bowiem efekt domina na froncie, co było widać po upadkach Awdijiwki oraz Wuhłedaru. Upadek Pokrowska może spowodować „trzęsienia ziemi" na innych odcinkach frontu. Trzymajcie się chłopaki!

W zaciekłej obronie raczej nie pomoże gen. Walentym M. Ten awansowany i mianowany przez gen. Syrskiego pułkownik został dowódcą Wojsk Szturmowych SZU. Może i przedni z niego szturmowiec, ale z głową nie jest najlepiej. Ma słabość do mediów i parcie na szkło. Było już parę zadym z jego udziałem, ale ostatnia przeszła wszystkie. Generał zamieścił w mediach społecznościowych zdjęcie. Siedzi rozparty w fotelu, a na kolanach trzyma buldoga francuskiego, którego łapy leżą na rozłożonej mapie z zaznaczonymi znakami taktycznymi. Generał zapomniał zablurować (zakryć) część pozycji wojsk. Na domiar złego obok widać pulpity z wyświetlanym obrazem z dronów. Walentyn M. służył jako oficer w wywiadzie wojskowym (HUR), skąd został wyrzucony za nieudany rajd na Enerhodar. Miał wyprowadzić desant specjalsów przez Dniepr prosto pod czołgi Moskali. Po wyrzuceniu z HUR postanowił nagrywać filmiki na social mediach, gdzie w jednym w spodenkach tańczy w rytm ruskiej piosenki. W jednym z komentarzy czytamy, że to „opóźniony umysłowo pułkownik, który tańczy przy mapie i chełpi się jak Napoleon". Nic dodać, nic ująć.

Współpraca: „Skipper"

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 93eeccb096

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Nienawiść nasza powszednia

Aleksander Nalaskowski

W debacie publicznej, w dyskursie politycznym, a w dużej mierze i w mediach doszło do przepotężnej zmiany. Medium tej zmiany jest język, w którym wyraźnie – jak w lustrze – odbijają się umysłowe możliwości stron. Wysłuchałem z uwagą niedawnego przemówienia Jarosława Kaczyńskiego. Mówił o sprawach najżywotniejszych i dla Polaków najważniejszych. Mówił bez wzmożenia emocjonalnego, konkretnie, bazując na faktach. Nikogo nie obrażał, z nikogo się sardonicznie nie śmiał, nie kłamał. To był głos męża stanu i człowieka odpowiedzialnego za każdą sylabę. Był krytyczny, ale wyważony. Nie chciał się nikomu podobać, bo nie jest od podobania się. Jest od roboty i tyle.

Na drugim biegunie mamy jakiegoś Kontka, doktorzynę o rynsztokowym umyśle i takimż języku, ubliżającego Marzenie Nykiel, redaktor naczelnej konserwatywnego portalu. Jest on podobno pracownikiem elitarnej warszawskiej uczelni. Tutaj muszę zrobić pewien wtręt. Otóż – jak pewnie część czytelników pamięta – swego czasu w jednym z felietonów poddałem surowej krytyce tzw. marsze równości. Nie szczędziłem ostrych sformułowań, ale nie użyłem żadnego wulgaryzmu. Za ów felieton zostałem zawieszony przez rektora uniwersytetu. Przeżyłem istną nagonkę, a w końcu odszedłem na emeryturę w wieku – jak na profesora – przedszkolnym. Po ostrej reakcji społecznej zawieszenie cofnięto, ale swąd pozostał. Dostałem łatkę „kontrowersyjnego profesora", a to w znacznej mierze oznaczało skazanie na środowiskową banicję.

Ciekawym więc, czy elitarna warszawska uczelnia w jakikolwiek sposób odniesie się do werbalnych wymiocin swojego pracownika. Czy jako nauczycielowi akademickiemu pozwoli mu nadal wychowywać młodzież? Sprawę tę na wniosek skrzywdzonej ma rozstrzygnąć sąd.

Niestety Kontek nie jest wyjątkiem. Nasze polityczne elity (cóż za obraza dla pojęcia „elita"!) roją się od rozmaitych Giertychów, Brejzów, Zembaczyńskich, Frasyników, Michników i innych elitasów, dowolnie poczynających sobie z językiem i argumentami. Potrafią rzucać wyzwiskami, kłamać, używać wulgaryzmów i tym samym ustalać standardy debaty publicznej. Tak działają tylko ludzie ulepieni z nienawiści, dla których jest ona nie tylko środkiem działania, lecz także celem samym w sobie. Dochodzi tutaj także do ironicznego zawoalowania językowego szamba. Tak odczytuję słynne osiem gwiazdek. Przecież i tak wszyscy wiedzą o co chodzi, prawda? Zresztą przy rozmaitych okazjach wulgaryzmy wybrzmiewają już nader dosłownie i bez woalek.

Na miejscu więc będzie zadanie pytania, czy z takim językiem, z taką werbalną (ale nie tylko werbalną) agresją da się walczyć, da się dyskutować językiem Kaczyńskiego, Ziemkiewicza, Nykiel? Językiem normalnej polszczyzny. Charakterystyczne, że z prawej strony sceny politycznej nie ma bluzgów i wulgaryzmów. W sferze słów to niemal zupełnie inny świat. Świat, który w zastraszającym tempie się kurczy, ustępując pola zwykłej chuliganerii i politycznemu menelstwu. Jeśli uświadomimy sobie, że język jest projekcją tego, co w umyśle, to naprawdę robi się nieciekawie, a nawet groźnie. Zwłaszcza jeśli w mózgu jest tylko nienawiść i agresja.

Charakterystyczne, że z prawej strony sceny politycznej nie ma bluzgów i wulgaryzmów. W sferze słów to niemal zupełnie inny świat

Czy da się z tym walczyć bez przemocy i nienawiści? Czy można wyprzeć z życia społecznego nienawiść, nie nienawidząc? Nie wiem. Ale jednego jestem pewny – trwa eskalacja złych emocji, eskalacja kłamstwa, eskalacja podziału na lepszych i gorszych. Jej tempo jest wręcz przerażające.

Jest widoczne gołym okiem, że po stronie lewicowo-liberalnej istnieje przekonanie, iż trzeba nienawidzić tak jak szef, jak Donald Tusk. Dlatego nie jest ważne, co zostało powiedziane, ale kto powiedział. Ataki nie idą bowiem *ad meritum*, ale *ad personam*.

Czy da się to wszystko odbudować? Czy potrafimy wspólnie wypracować akceptowalny model sporu politycznego? Uważam, że nie. I chyba nie tylko ja nie jestem w stanie zapomnieć tego, co powiedział Giertych, co zrobił Bodnar, Żurek, Sikorski, Tusk, Hołownia, Kosiniak-Kamysz i inni. Żeby doszło do jakiejkolwiek zmiany, jedna strona musi wyparować, przejść w niebyt, przestać istnieć, całkowicie zniknąć ze sfery publicznej. Czekające nas w 2027 r. wybory niczego nie zmienią. Bez względu na wynik pozostanie nam w spadku nienawiść, kwestia tylko, jaką formę przybierze. Ale na pewno z nami zostanie. I w tym wszystkim bardzo trudno będzie się poruszać prezydentowi. Jest mocny, zdeterminowany i odporny na ciosy, ale czy to wystarczy?

eprasa.pl 93eeccb096

***Michał Korsun prezentuje:** Żegnaj PO, witaj KO*

***Wycinki z** przeszłości*

Lampy gazowe, popularne w XIX w., dawno ustąpiły miejsca nowoczesnemu oświetleniu. W 1963 r. „Kurier Szczeciński" opisywał, jak ludzie potrafili wykorzystać trwające zmiany: „Stare, gazowe latarnie kończą już swój pracowity żywot udało nam się odnaleźć stary gazowy kandelabr zaprzęgnięty w służbę najnowocześniejszej techniki – mianowicie... telewizji. [...] Gazowa latarnia posłużyła jako część anteny".

(sp)

STARE i NOWE

STARE, gazowe latarnie kończą już swój pracowity żywot na ulicach miasta. Wypierają je bezlitośnie światła jarzeniowe i nowoczesne lampy rtęciowe.

Wędrując po zakątkach Starego Miasta, udało nam się odnaleźć stary gazowy kandelabr — zaprzęgnięty w służbę najnowocześniejszej techniki — mianowicie... telewizji.

Nie myślcie, że to telewizor „na gaz". Po prostu gazowa latarnia posłużyła jako część anteny dla jakiegoś pomysłowego posiadacza telewizora. (kg)

Kurier szczeciński

Wallace skapitulował

DYMISJA premiera Grecji

Z WOLEJA

PKOl pod polityczną nawałnicą

Ryszard Czarnecki

Mam poczucie, że rzucam grochem o ścianę. Miejscem owych rzutów jest felieton w tymże szacownym tygodniku, grochem – apele, aby zaprzestać absolutnie politycznej wojny wokół polskiego sportu, ścianą zaś – rząd i związki sportowe (choć nie wszystkie). Dodajmy: związki całkowicie zależne od rządu ze względu na państwowe wsparcie finansowe. Wyjątkiem jest Polski Związek Piłki Nożnej, który dostaje od państwa – a raczej, mówiąc ściślej, od państwowego podatnika – jedynie na piłkę młodzieżową tylko promil tego, co wyrywa z rynku sportowego. Rynku skądinąd w oczywisty sposób skoncentrowanego na futbolu.

Trochę zabawne – ale głównie straszne – że aktorzy tego szkodliwego dla polskiego sportu spektaklu udają, że nie mają nic wspólnego z polityką. Oto głos zabiera prezes struktury zrzeszającej, jak się to określa, „prezesów sportu" (sic!) i atakuje prezesa PKOl. A pamiętam, że przecież wół był kiedyś cielęciem i ów prezes to obecny poseł Platformy Obywatelskiej. Sorry, po liftingu – Koalicji Obywatelskiej. Pamiętam też, że w swoim czasie kandydował z list PSL do Parlamentu Europejskiego, choć bez powodzenia. Po stokroć zabiera jednak głos na tematy stricte polityczne. Pod apelem uderzającym w prezesa Polskiego Komitetu Olimpijskiego podpisał się też prezes Polskiego Związku Gimnastyki Sportowej, który wcześniej był... posłem PO! Inny zaangażowany w polityczną dintojrę przeciwko urzędującemu szefowi polskiego ruchu olimpijskiego to kolejny obecny poseł PO. Ba, więcej – był on również ministrem sportu w koalicyjnym rządzie PO-PSL. Ponadto był także szefem wydziału sportu w Urzędzie Miejskim w Gdańsku, gdzie rządzi PO i nominacje na te stanowiska są polityczne. Teraz jest prezesem Polskiego Związku Towarzystw Wioślarskich. Wśród sygnatariuszy listów i apeli atakujących prezesa PKOl jest też pani prezes Polskiego Związku Pływackiego, która była kandydatem PO do Parlamentu Europejskiego.

Wszyscy oni nie znaleźli się w Sejmie lub resorcie sportu (albo i tu, i tu), lub na listach do europarlamentu, albo w urzędzie miasta rządzonego przez PO na zasadzie przypadku, że ot tak – „wpadli z tragarzami", jak w scenie znanej komedii Barei „Miś". Byli i jak widać są zaangażowani po określonej stronie sporu politycznego w Polsce. Ich prawo. Jednak niech teraz nie udają, że nie są czy nie byli związani z określoną opcją polityczną. Niech też dziennikarze nie robią z siebie idiotów, udając, że nie wiedzą o tych politycznych koneksjach działaczy sportowych.

W tym wszystkim szkoda tylko polskiego sportu...

eprasa.pl 93eeccb096

OD A DO ZYBERTOWICZ

Chopin jak Dante: przewodnik po bólu istnienia

Internetowa strona muzeum zapowiada wystawę jako wyjątkową, i taka zaiste jest. Ze względu na eksponaty

Poprzedni Międzynarodowy Konkurs Chopinowski, który z powodu pandemii odbył się z rocznym opóźnieniem, miałam szczęście śledzić w Filharmonii Narodowej w Warszawie. Na żywo, z wypiekami na twarzy... zasłoniętej maseczką. Czasem zdarzało się miejsce w pierwszym rzędzie i wtedy emocje uczestników czułam niemal na własnej skórze.

W tym roku tak się złożyło, że gdy rozgrywały się kluczowe boje pianistyczne, byłam poza Polską. Nie śledziłam konkursu tak intensywnie jak poprzednio. Wprawdzie co jakiś czas zerkałam do internetu, ale to już nie to samo...

MUZEUM NA OSŁODĘ

Dlatego gdy tylko wróciłam do kraju, od razu pobiegłam do Muzeum Fryderyka Chopina w Warszawie. Na pocieszenie postanowiłam obejrzeć wystawę czasową zatytułowaną: „Życie romantyczne. Chopin, Scheffer, Delacroix, Sand".

Internetowa strona muzeum zapowiada ekspozycję jako wyjątkową, i taka zaiste jest. Ze względu na eksponaty. Duża ich część została wypożyczona m.in. ze zbiorów Muzeum Życia Romantycznego w Paryżu, a dwa rysunki przedstawiające Chopina, których autorem jest Eugène Delacroix, przyjechały z Luwru. Podobno opuszczają Paryż raz na 20 lat. To również pierwsza wystawa, która pozwala poczuć klimat paryskiego życia Fryderyka Chopina: pukle włosów zamknięte w puzderku, zasuszone kwiatki w okazałej ramie, odcisk dłoni Chopina oraz innych postaci – wszystko jako wyraz bliskości, przywiązania i pamięci.

KONKURS SIĘ SKOŃCZYŁ, FASCYNACJA TRWA

Świadomie wybrałam porę przedpołudniową i środek tygodnia, licząc na to, że w muzeum będzie spokojniej, co pozwoli niespiesznie nacieszyć się zwłaszcza malarstwem romantyków.

A jednak ludzi było sporo. Wszystkie stanowiska do słuchania muzyki okupowali Japończycy, którzy wyglądali na pasjonatów. W muzealnym sklepiku ustawiła się pokaźna kolejka. Prawie od razu udałam się na piętro z wystawą, którą przede wszystkim chciałam zobaczyć.

W ROMANTYCZNYM KRĘGU

Ekspozycja nie jest duża, można ją okrążyć nawet kilka razy – od obrazu do obrazu, od bibelotu do bibelotu...

Chociaż przyszłam głównie dla Chopina, nie mogłam się oderwać od „Świętego Augustyna i świętej Moniki" Ary'ego Scheffera – to przepiękna, pełna kojącego blasku akwarela. Malarz uchwycił chyba epizod opisany przez św. Augustyna w jego „Wyznaniach". Ten ojciec Kościoła wspominał, jak na krótko przed śmiercią matki (znamy ją jako św. Monikę) rozmawiał z nią o Królestwie Niebieskim.

Na dłużej pozostanie ze mną również wykonany ołówkiem rysunek Delacroix. Nie ten, który służył jako szkic do najbardziej znanego portretu Fryderyka Chopina, ale ten, który przedstawia kompozytora jako Dantego Alighierego. Pod szkicem widnieje napis „Cher Chopin", a w lewym dolnym rogu – podpis artysty w formie rebusu (trzy elementy: „2", „la" oraz krzyżyk). Nasz kompozytor ma na głowie florencki kaptur i wieniec laurowy, tak samo jak Dante na obrazie Sandra Botticellego.

BRZMIENIE OBRAZU

Nie wiem, czy to efekt przeczytanej przeze mnie jakiś czas temu fascynującej biografii Dantego napisanej przez włoskiego historyka Alessandra Barbera („Dante", wydana po polsku przez Wydawnictwo Marginesy w 2020 r.), ale ten szkic Delacroix mówi do mnie więcej niż niejeden koncert.

Dlaczego tylu ludzi z tak bardzo różnych kultur kocha muzykę Fryderyka Chopina? Bo Chopin niczym Dante przeprowadza wielu z nas przez egzystencjalne *piekło* cierpienia, które tak często nie wynika z konkretnego zdarzenia, lecz z samego faktu bycia: życia, wrażliwości, obecności w świecie. To muzyka potrafiąca uchwycić „ból istnienia", który pewnie każdy z nas w sobie nosi. Nosił go Dante, nosił Chopin. Ten wewnętrzny ciężar dla jednych będzie refleksją nad sensem życia, przemijaniem, może samotnością. Dla innych – tęsknotą za niespełnionym marzeniem, wyrzutem sumienia z powodu życiowego zaniechania, przyczynienia się do jakiejś straty. Dla jeszcze innych – świadomością, że życie – poza wszystkim innym – może także pozostać niezrozumiałe, niejednoznaczne, niepojęte. Taka pielgrzymka duszy.

Katarzyna Zybertowicz

Autopromocja x2

eprasa.pl 93eeccb096

SUBSKRYPCJA wPolityce.pl Premium + i SIECI

Czytaj wygodnie i **wcześniej** niż inni już od 7,90 zł

- mocne komentarze publicystów, aktualne informacje z Polski i ze świata, wywiady z najważniejszymi ludźmi polityki
- **wszystkie zamknięte artykuły na** wPolityce.pl Premium +
- pełne **e-wydanie tygodnika** SIECI wcześniej niż inni, bo już w niedzielę o 18:00
- **w prezencie świetne ebooki Sieci Extra** udostępniane TYLKO subskrybentom

Zamów dziś na **www.siec.wpolityce.pl/oferta**

ZESKANUJ KOD I DOWIEDZ SIĘ WIĘCEJ

eprasa.pl 93eeccb096

Czytaj nas w najlepszej cenie!

Teraz **tylko 7,35 zł** za jedno wydanie (w prenumeracie rocznej), podczas gdy cena w kiosku to **12,90 zł**.

Jak zamówić papierową prenumeratę tygodnika SIECI ?

1

Wybierz swoją prenumeratę

	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
cena prenumeraty	118 zł	207 zł	**375 zł** NAJLEPSZY WYBÓR
cena w kiosku	~~167,70 zł~~	~~322,50 zł~~	~~657,90 zł~~

Informacje o prenumeracie: tel. 22 616 36 00 (poniedziałek-piątek w godz. 14-16)

2

Zamów i opłać

- Zamów prenumeratę przez stronę **www.sieciprawdy.pl/prenumerata** i opłać przelewem ze swojego konta
- **Jeśli nie korzystasz z internetu**, opłać prenumeratę na poczcie, podając dane do wpłaty w okienku

Wytnij karteczkę-niezbędnik na pocztę

Dane do opłacenia prenumeraty Sieci na poczcie:

Nazwa odbiorcy: Fratria sp. z o.o.

Nr konta: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290

Tytuł wpłaty: .....

.....

(tu wpisz adres dostawy prenumeraty – to warunek otrzymania prenumeraty)

Kwota: .....

(tu wpisz cenę wybranej prenumeraty, np. 375 zł)

eprasa.pl/93eecccb696